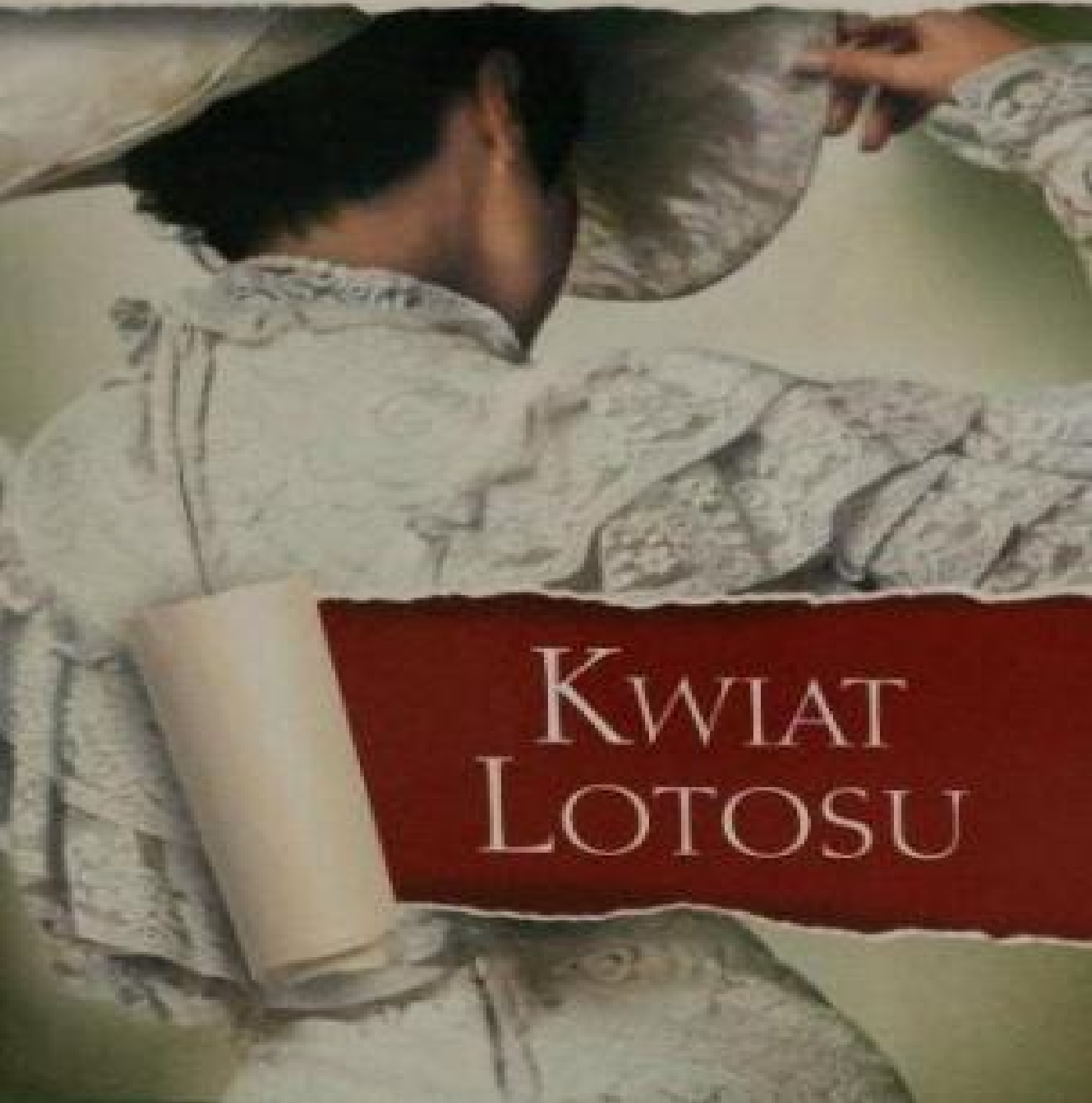


MARIA
RODZIEWICZÓWNA

Biografia Literatury Kobiecej tom 4

A woman in a white lace dress is shown from the chest up, looking down at a rolled-up document she is holding. The background is a soft, light green. The title 'KWIAT LOTOSU' is written in white serif font on a dark red rectangular background at the bottom of the image.

KWIAT
LOTOSU

Maria Rodziewiczówna

Kwiat lotosu

I

Szpakowaty, ale jeszcze krzepki obywatel piął się mozolnie na strome, ciasne i od powstania swego nie myte schody ogromnej kamienicy. Na ka dym przęśle przystawał, ocierał pot z czoła, sięgał do kieszeni obszernego płóciennego kitla, wydobywał odwieczne, w róg oprawne okulary i nałó ywszy je na nos odczytywał na drzwiach nazwiska mieszkańców.

- Szelmowskie schody! - mruczał pod wąsem. - Przecie to nie tutaj jeszcze...

Wybudują, panie, chałupę jak wie ę Babel i końca nie ma, i rozumu zgoła. I to się nazywa piękność i wielkie miasto. Uf! obłoków, to ju chyba, panie, Bóg nie łaskaw. Ha, ale to upał! Mówią, panie, e na północy biegun, czyli to globus, z lodu! Jadę, jadę no i, panie, dojechałem do takiej spieki, jaka u nas i w kanikułę nie bywała! Ładny, panie, biegun, co! Kłamię, panie, te ksią ki, z roku na rok gorzej kłamię i nie wiem, na czym się to skończy! Uf!

Stanął. Znowu troje drzwi miał przed sobą; brudy i upał rosły w stosunku bliskości obłoków. Jegomość dobył znowu zbawczych szkieł i jął sylabizować pierwsze nazwisko z brzegu.

- Stefan Grzybowski - wyczytał.

- A to, panie, postny człowiek! Na suche dni niezawodnie święci swego patrona.

Posunął się w rotacyjnym ruchu na prawo.

- Adam abuski - stało na blasze.

- Nie znam, panie, nie z naszych stron.

- Wiktoria Brzeza! - biło z daleka w oczy na trzecich i ostatnich drzwiach, a pod spodem, białą kredą na brudnych deskach, ktoś śmiało i wyraźnie rzucił rysunek legendowego pelikana krwawiącego dziobem własne piersi dla nakarmienia zgłodniałych dzieci, jeszcze zaś ni ej stał sześciowersz: Pani Brzezowa sądowa wdowa, panna Brzezina cudna dziewczyna, kto mi nie wierzy, niech w dzwon uderzy.

Stary odczytał wszystko, palcem dotknął pelikana i, widocznie niedowiarek, wedle rady rymowanej, zadzwonił.

- A to, panie, huncwot jakiś, tak sprofanować białogłową - burczał chowając okulary. - No, alem trafił! Błazen się schował jak lis w norę; wykopałem. Ho, ho, dowiem się o paniczu całej prawdy!

Na dźwięk dzwonka wewnątrz powstał piekielny hałas. Prym trzymał

piskliwy głosik pudła czy pinczera, wtórował dyszkant kobiecy i łomot zamykanych drzwi i odsuwanych sprzętów. Wszystko zbli yło się ku niemu.

- A to, panie, dmuchnałem w ul! - zauwa ył.

- Leonka, Leonka! Ktoś dzwoni!

- wołał głos kobiety przeciągłym białoruskim akcentem. - Odeprzyj e drzwi, bo ja właśnie szołtonosami zajęta! aczek, będziesz ty cicho!

- Ale aczek wcale być cicho nie myślał, tylko wrzeszczał wniebogłosy; natomiast z głębi rozległy się kroki i u drzwi ucichły.

- Leonka, Leonka! Czy e ty nie słyszysz! Odeprzyj drzwi; to mo e który z panów na obiad!

- A czym e otworzę - odparł mrukliwie drugi głos.

- Jak e to to czym? Kluczem to przecie?

- Kiedy klucza wcale nie ma.

- Jezusie! Mario! Jak to klucza nie ma! A gdzie e by się on podział! Poszukaj e, dziecko, bo ja właśnie szołtonosy na wodę puszczam! aczek, poczekaj, dam ja tobie, dam!

- Gdzie mam szukać, kiedy go nie ma! - odparł obojętnie drugi głos. - Pewnie pan Feliks wziął go z sobą!

- Co ty gadasz! Nie mo e być! Nic beze mnie się nie obejdzie! A któ to dzwoni?

- Nie mogę widzieć przez deski!

- To spytaj e się! Albo nie, poczekaj! Ju sama idę. Ach, Bo e, gdzie to mój czepek! Leonka, nie widziałaś czepka? Tylko co le ał ot tu na krześle i ju go nie ma. Okropność, jak w tym domu wszystko ginie! Nigdy w innych mieszkaniach tego nie bywało; takie widno zało enie feralne, Jezus!!!

Pauza, i wnet podniósł się łośny lament aczka, targanego snadź za uszy i okrzyki:

- Ot tobie mój czepek! Ot tobie rozpusta! Ot tobie psie figle! Masz, masz, masz, masz! Po wymierzeniu doraźnym sprawiedliwości, jejmość znalazła się u drzwi i rezolutnie spytała:

- A kto tam?

- Ja, moja dobrodziko! Z interesikiem, panie, tego. Ale, słyszę, klucz zdysparował, to co będzie?

- Ach, Bo e, to pewnie pan do moich panów! Są, są, ale wyszli i widno klucz zabrali! Ach, Bo e, co to będzie, co to będzie? Leonka, ten pan do naszych panów, a tu klucz przepadł! Ach, ja nieszczęśliwa! Tyle razy prosiłam pana Rafała, eby mi tego nie spłatał; no i trzeba wypadku, e dzisiaj właśnie przestrogi zapomniał.

- Dziś właśnie o niej pamiętał - poprawił drugi głos.

- Ej, co ty gadasz? Taki polityczny * (*Polityczny – dobrze wychowany, roztropny, układny*), młody

człowiek. Z przypadku, mówię ci! Pan łaskawy z daleka?

- Moja dobrodziko, choćby z ulicy, to do pani daleko. Do chłopca mego przyjechałem zobaczyć go i zabrać z sobą, bo i ferie teraz! Adres pani mi przysłał. Feluś mu na imię! A mo e zmyślił, niecnota!

- Jest, jest pan Feliks! Bardzo stateczny kawaler. To pan jego rodzic? Bardzo mi przyjemnie! Łaskawy pan raczy spocząć, ja zaraz podam krzeselko!

- A którądy, moja dobrodziko?

- Ach, prawda! Nie ma klucza.

Co to za dom! Rąk i głowy nie starczy! A to niespodzianka dopiero! Wiesz, Leonka, to ojciec pana Feliksa! Mówię panu, syn pański to taki cichy, w sobie zamknięty, e o swoim ojcu nigdy nie wspomniał. Za sierotę go miałam i często patrząc nań a na płacz mi się zbierało, takie to smutne i opuszczone.

- Osobliwość! - odparł tonem podziwu obywatel. - Błazen nie ma czego się smucić ani ukrywać! Ojca ma, siostrę ma, dom chwała Bogu ma, a za te pieniądze, co mnie tu kosztuje, wszystkie uciechy kupić mo e. No, no, i mówi pani, e cichy!

- Jak panienka. Ani mru mru! Głosu jego nie słyszać! A hardy i do nauk zawzięty, e strach. A cię ka to nauka, panie mój, cię ka! Ja, co się strasznie widoku umarłych boję, pojąć nie mogę, jak on mo e trupy krajać!

- Trupy krajać! Mój Feliś! - wrzasnął obywatel.

- A kraje, panie mój, kraje biedaczek! Taka to ju bezecna nauka ta medycyna!

- Jaka medycyna! Czy dobrodzice rozum się pomieszał, czy mnie, ale nie inaczej, komuś z dwojga! Jaka medycyna! Feliś na medycynę chodzi, trupy kraje!

Matko Boska! A to go na prawo posyłałem, jurysty chciałem, có znowu z tą medycyną?

- Medyk on, panie mój, i pociechę z niego mieć pan będzie. Chocia prawnika i ja bym wolała, ale mi Bóg syna nie dał, tylko córkę. A syn prawnik byłby się zdał, oj zdał! Bo trzeba panu wiedzieć, e my z magnatów jesteśmy, dobra są, Ochajny, mo e pan słyszał, na Polesiu, mil siedem od Jaremnego, tylko e nieboszczka moja matka z Burhaków była secundo voto za Zudrą, * (*Secundo voto.../lac./ - z drugiego mał eń stwa; tu: potocznie, niepoprawnie*), po raz drugi wyszła za mąż za...i choć sterilis zesła z tego świata..., naprawdę sterilis, są dokumenta...

jednakowo Zudrowie łapes capes skrzywdzili nas i zabrali de hajda majątki! Ale to do czasu, panie mój, do czasu! Dwunasty rok pilnuję interesu, przeszedł

wszystkie instancje; czasem oni wygrali przekupstwem, ale to nic! Od trzech lat senat go rozpatruje!

- Ale Feliś mój, dobrodziko, Feliś! Odkąd e on na medycynę chodzi? Po co, jak?

Skończenie świata!

- Zawsze chodzi, panie mój, zawsze! O! pracowity i, myślę, zamiłowany w swym fachu! Przyznam się panu memu, e ja z nim rzadko kiedy się spotykam, bo ten proces, nie da pan wiary, ile to czasu zajmuje, a on, aby z kursów, szmyk do swego pokoju i tam siedzi. Raz słyszę, dzwoni, a e się spóźnił na obiad, biegnę, panie mój, otworzyć. Kiedy spojrzę, coś trzyma w ręku! "Co to?" pytam. "Oczy!"

odpowiada i pokazuje bli ej ze śmiechem. Jezusie, Mario! Wie pan, co to było?

Naprawdę oczy, oczy ludzkie, ywiuteńkie, z trupa.

- Chryste Panie! - wykrzyknął obywatel.

- Od tej pory, panie mój, ju nigdy nie otwieram. Leonkę posyłam, bo trzeba panu wiedzieć, e ta dziewczyna za chłopca stanie, taki u niej rezon, takie postanowienie. Talenta ma: rozwijam je, rozwijam; a przy tym pisze prośby i ka dy dokument odczyta! O, panie mój, nawet pan Feliś z nią czasem rozmawia, bo rozumek jest i mówią, e do mnie podobna.

- Proszę mamy! - rozległo się w głębi. - aczek zjadł szołtonosy.

- Jezusie, Mario! Jak? Co? Szołtonosy z rondelka! No, co teraz, to koniec z nim!

Powieszę, własnymi rękoma powieszę! Ach, Bo e! Ale to takie gorące, jeszcze mu zaszkodzi! Ciu, ciu, ciu, aczek!

Ładniem trafił! - zaburczał obywatel. - Baba za urlopem od czubków, Feliś trupy kraje, Zudry nie Zudry! Gwałt. Babińska republika, słowo, panie, daję.

A oka e się wreszcie, em nie trafił. - Moja dobrodziko, za pozwoleniem! - dodał głośniej.

- Co pan ka e? - ozwał się głos panny zagłuszony rozdzierającym uszy wyciem karanego aczka.

- Powiedzcie mi dokumentnie: czy mieszka u was Feliks Rahoza?

- Mieszka, panie.

- A có on porabia?

- Maluje, panie, przewa nie!

- Ma- lu- je! Chryste Panie! A to co nowego? Jak to maluje? Co on maluje?

- Przewa nie karykatury, z których jedną ma pan przed sobą na drzwiach.

- To ju nie kraje trupów?

Coraz lepiej! Któ trupy kraje w takim razie?

- Mamy i medyka.

- Aha! To có , u licha, mówiła mi matka pani? Tu trzeba głowę stracić!

- Matka się pomyliła. Syn pański przez art zamienił się ze współlokatorem, medykiem, na imię. Tamten się Rafał nazywa!

- To Feliś mój na serio maluje! Cóż to za nowa breweria?

Leonka, Leonka! - ozwał się jak piszczałka głos pani Brzezowej. - Gdzie to kluczyki? Gdzieś je widziałam! A gałgan, rozpusztnik, nicpoń! Zjadł co do jednego, takie gorące i nic mu się nie stało! Tymczasem szołtonosów nie będzie i sama nie wiem, co dać na trzecie danie! Jak myślisz? Mo e naleśników tak naprędcie! Ale kiedy znowu tych kluczyków nie ma, a mąka i jaja w kantorku!

Bo e, Bo e, co to za dom! Niczego się nie doszukać!

Aj, dobrodziko, dobrodziko! - zawołał szlachcic zza drzwi. - A godziło się to takiego mi pietra napędzić tą medycyną! To to słyszę oni się poprzezywali, drapichrusty! Ale znowu skąd e Feliś malować się nauczył! Awantury arabskie!

Ach, Bo e! To prawda! Moja biedna głowa! Poprzezywali się! Prawda, prawda! To pan dobrodziej ojciec pana Rafała? Bardzo mnie miło...

- Feliksa jestem ojciec, Feliksa Rahozy! - bronił się rozpaczliwie obywatel.

- Ach, tak, przepraszam! Tak zawsze na tym mieszkaniu język mi się miesza!

Bardzo polityczny pański syn, a wesół, a przylepka, a jakie do panien ma szczęście! Skarb takie dziecko!

- A có on robi? Czego się uczy?

- Ach, panie mój, czego on nie robi! To śpiewa, to gra, a jakie kalikatury maluje!

A zawsze czas znajdzie na wesołość; ot i tego podłego psa ró nych sztuk nauczył i Leonkę rozerwie od zbytku nauki; Ach, panie mój, co to za kochany człowiek!

Pociecha w smutku, pomoc w potrzebie!

- Co ja słyszę, co ja słyszę! A uczyć się, uczyć, to on, oprócz błazeństw i malowania, nic więcej nie robi?

Uczy się, panie mój, uczy! Pewnie, pewnie, bo jak eby to wszystko umiał

bez nauki! Taki śliczny, a wesół e, wesół! A do przezwisk to ju jedyny! Siebie poprzezywali, a i ten

pies gałgan uczek się wabił, a teraz aczek i aczek! Sama nie wiem, jak to przyszło, e i ja go tak nazywam! Niby, widzi pan, pan Rafał

woła aczek, a pan Feliks uczek. Jezus! A to mi się język splątał, pan Feliks aczek... pfe! ju i sama nie wiem, ale pan łaskawy rozumie! Ot i szołtonosy dziś zjadł i tak co dzień, niech ręka Boska broni, co to za dom, co to za zało enie jego feralne! Od kwartału muszę się wyprowadzić, bo zwariować trzeba! A mo e i wcale dalej się wyniesiemy, bo widzi pan, lada dzień przyjdzie rezolucja *senatu!

(Rezolucja – uchwała, rozstrzygnię cie). Siedzi tu wprawdzie średni Zudra, stryjeczny mę a mojej babki, wie pan, syn chorą ego, onaty te z Burhakówną, ale z innej rodziny... otó ... co ja miałam mówić... Aha! Siedzi Zudra, Ignacy mu, i forsuje, forsuje, i ja nic, grosika nie dają, ale wspomni pan moje słowo: wygram, bo nie zasypiam sprawy! A trzeba panu wiedzieć...

- Proszę mamy, mo e pan Rafał zostawił swój klucz w pokoju? - ozwał się z głębi głos córki.

- Ot gadanie! Tylko co dowodziłaś, e właśnie pan Rafał zabrał go przez psotę.

Ale, prawda, prawda! Zawsze się mylam! Mo e być, mo e! Pan daruje, zaraz słu ę! Pewnie jest zapaśny klucz. e te to mi z początku nie przyszło do głowy.

Uciszyło się na sekundę i wnet rozległo się z triumfem:

- Jest, jest! Ratunek w biedzie ten pan Feliks. Z systematem człowiek, z wielkim systematem. Proszę, proszę pana mojego w ubogie progi! Byłam pewna, e jest drugi klucz, ale przez te szołtonosy reszta pamięci mi uleciała.

Drzwi się rozwarły. Szlachcic wszedł w sień długą jak korytarz, skąd na obie strony rozchodziło się czworo drzwi, wszystkie rozwarte gościnnie.

Naprzeciw niego stała kobieta sucha i drobna, w staroświeckiej mantylce *

(Mantyla – lekki szal z czarnej lub białej koronki, okrywają cy głowę i ramiona kobiet), w czepku krzywo osadzonym na ruchliwej głowie. ółta, pomarszczona, ale zdrowa widocznie i nad wiek ywa. Dygnęła przed gościem stylem zeszlowiecznym i trzepała jak tartak:

- Wiktoria Brzezowa, do usług pana łaskawego! Z mę a tak, a z domu ółbikówna, wdowa teraz i w lada jakim bycie, ale to minie, minie! Da Bóg, przyjmę inaczej pana dobrodzieja, skoro tylko ten proces...

- Powodzenia, moja dobrodziko, powodzenia! Właściwie rzecz biorąc, nie bardzo ja tam w prawo wierzę, ale bywają wyjątki. Stefan Rahoza, do usług. Słyszę, u pani jest jeden medyk i jeden malarz na stacji, ale ja takiego syna nie mam. Mój Feliś prawnik; pewnie jest trzeci u pani?

- Trzeci był, panie, był, taki blondynek, ale wyniósł się ju od miesiąca.

Suchotnik, biedaczek, budowniczy zdaje mi się.

- Prawnik, panie, prawnik. Blondyn, zdrów!

- Jest u mnie prawnik; zdaje się, e wspominał raz kiedyś, i na ten wydział myśli chodzić. Nie pamiętasz, Leonka?

- Pan Feliks Rahoza mieszka u nas! - odparł zza drzwi dalszych niecierpliwy głos.

- Właśnie, właśnie.

- To gdzie on teraz, u diaska!

- Gdzie pan Feliks, Leonka?

- Wyszedł do państwa Satinów. Przed wieczorem nie wróci.

- Masz tobie! A gdzie ci państwo Satin? Co to za jedni?

- Nie wiem, panie mój, nie wiem! Proszę pana do bawialni, proszę; obiadek za chwilę podam. Leonka, zabaw e pana tymczasem! Satin, Satin, no proszę! Coś mi się ciągle zdaje, e ju kiedyś słyszałam to nazwisko. Nie pamiętasz, Leonka?

Szlachcic znalazł się w saloniku. Okna tej bawialni wychodziły na podwórze, ciasne jak studnia, rozpalone jak krater wulkanu. Atmosfera była przesiąkniętą wyziewami kuchenki, upał panował tropikalny. W upale tym nędznie wegetował u okna mirt suchotniczy i wazon z merum-verum. Wegetowała te w tym zaduchu i gorącu dziewczynka śniada i mizerna, pochylona nad stołem zarzuconym szkolnymi ksią kami, zatopiona całą uwagą w cię kim arytmetycznym zadaniu. Sztuka to była uczyć się w takiej spiekocie i przy wtórze matczynej gawędy; uczyła się jednak pilnie, nie podnosząc oczu z zeszytu.

Gdy gość wszedł i matka ją wezwała do bawienia, rzuciła pióro niecierpliwie i wstała z błyskiem niechęci w czarnych jak węgiel, posępnych źrenicach. Ukłoniła się niezgrabnie i gryząc blade wargi uła niezadowolone.

Młode to jeszcze bardzo było stworzenie, wysmukłe i mdłe jak piwnicza roślina, bardzo anemiczne i bardzo brzydkie.

- Satin, słyszymy bardzo często od pana Feliksa - pomogła matczynej tępej pamięci.

- Ach, prawda! e te mi to wcześniej nie przyszło na myśl! Pan Feliks tam bywa, często bywa. Bardzo musi być porządny dom, bo i bukiety nosi i cukry, i ró ne słodycze.

- To taak? - rzekł przeciągle stary Rahoza. - To taak! To tak tutaj prawo, pani, wertują, ha!

Smutne te uwagi przerwał uczek wpadając do salonu w radosnych podskokach. Był to pudelek, tym ró ny od psiego rodzaju, e miał ogon pomalowany na ółto, korpus na zielono, łapy na błękitno, a pyszczek purpurowy.

Tęczy ten egzemplarz niósł w zębach zaczęta pończochę, za którą ciągnęła się nić i kłębek. - Jezu! Moja pończocha! - wrzasnęła pawim głosem pani Brzezowa. -

Wczoraj zarobiłam piętę, miałam spuszczać! Ach, ten pies utrapiony! No, poczekaj, niech no cię dostanę w rękę!

Ale uczek nie czekał skutecznienia groźby i zrejterował pośpiesznie, trzęsąc pończochę, z której sypały się druty. Za nim podskakiwał kłębek i rzuciła się w pogoń pani Brzezowa.

- A gdzie mieszkają ci Satinowie, moja panienko? - zagadnął zafrasowany obywatel.

- Nie wiem, panie, ale za chwilę wróci pan Rafał na obiad, ten pana poinformuje.

- I pani powiada, e mój Feliś tam słodycze nosi? Cóż to, amory, panie tego?

- Nie wiem, panie. Pana Feliksa rzadko widzujemy - odparła dziewczyna wymijająco.

- Jak to? Wszak tu mieszka?

- Mieszka niby, czasem obiada i niekiedy nawet na noc wraca.

- A zwykle? Przecie się uczy czegokolwiek?

- Nie wiem, panie. Ja sama do gimnazjum chodzę, potem lekcje daję, a wieczorem mam w domu robotę. Nie mam czasu ani obowiązku wglądać w czynności naszych lokatorów.

- No, no, no! - stękał stary Rahoza. - Malatury, * (*Malatura – malowidło; farby u yte do malowania*), figle i Satin! Otó i pociecha! A gdzie jego stancja, panie tego? Mo e ju i odzienie pozastawiał?

Pokój panów obok. Słucham panu - odparła panna Leonia widocznie rada z okazji pozbycia się gościa; poszła przodem i wprowadziła starego do stancyjki dość obszernej i czysto wymiecionej. W oknie była zielona roleta, sprzęty lepsze, pościelenie czyste i białe. Za to na ścianach nie było nigdzie czystego miejsca. Całe od podłogi do sufitu były zapełnione szczelnie rysunkami czarną kredą i węglem.

Czego tam nie było? Postacie ywcem wzięte z humorystycznych typów miejskich, apokaliptyczne zwierzęta, kłowny, akrobaci, perspektywy świątyń i pałaców, muskulatury, czarci i anioły, wszystko zgmatawane, rzucone jedno na drugie w chwilowej fantazji. Nad jednym pościeleniem był portret szpetnej Finki czy Czuchonki, nad drugim ładna kobietka w efektownym negli u. * (*Negli –*

poranny albo nocny strój domowy).

- A to to za bazgroty! - wykrzyknął Rahoza wytrzeszczając oczy.

- To robota pańskiego syna - odparła dziewczynka.

- Mimo woli stary się roześmiał na widok cudacznych twarzy i kostiumów, wydobył nawet w pomoc

okulary.

Mieszkanka pan mój ogląda! - zapiszczała pani Brzezowa z kurytarza. -

Aha i landszafty * (*Lanszaft – krajobraz, pejza ; tu: rysunek*), pana Feliksa; jest talent, panie mój, jest talent. Co miesiąc bielę ściany, a byle dwa wieczory posiedział, znowu pełno! Taka to u niego w rękę pracowitość. I mnie umieścił, uwa a pan, z uczkiem, i Leonka jest, i coś tam napisanego pod nią. Ach, Bo e mój, oczy nie słu ą! Leonka, Leonka, co tam stoi pod twoim konterfektem (*portretem*)?

- Obejrzała się, córka znikła, ale zarazem spostrzegła na krześle futerał od okularów i chwyciła go skwapliwie.

- No proszę! Pierwszy raz jest coś w porę pod ręką w tym domu. Proszę pana mojego, ju co okulary, to najgorzej giną. Zaraz, zaraz przeczytam. Ach, ach, to pusty futerał, daremna pociecha; ale gdzie mogą być okulary? Osobliwe, osobliwe!

- A to mój futerał, dobrodziko, a okulary mam na nosie; proszę się nie inkomodować (*trudzić*) - odparł szlachcic nie dosłyszawszy początku.

Ma pan dobrodziej moje okulary! - uradowała się pani Brzezowa. - To dobrze, to dobrze, bo ja noszę numer czwarty. Czy pasują? Ach, panie, to te papierki tak mi popsuky oczy! Dawniej widziałam przez ścianę, a teraz literki jak maczek; a dopiero jak mi plenipotent * (*Plenipotent – pełnomocnik, osoba upowa niona przez mocodawcę do działania w jego imieniu*), co napisze, to ani w ząb. Ślepię, panie, mozolę się, ale to nic, bo wiem, e finalnie (*ostatecznie*) Zudrów pognębię; a uwa am, e i oni coś zaczynają tracić nadzieję. Mówił mi to jeden sekretarz, co mi doradza i trudniejsze papiery pisze. Bo trzeba pan wiedzieć, e i prośby na cesarskie imię zanosila. Oho, poznają Zudrowie, co umiem! Oho!

Ot i dzwonek. Pewnie pan Feliks.

Rzuciła się do sieni nie przestając paplać; ruszył za nią stary, niecierpliwy widoku syna.

- Czy to panowie? - wołała gospodyni. - A dobrze, dobrze, tylko po co pan Rafał

klucz zabrał? Czy to ładnie? A tyle razy prosiłam! A tu właśnie do pana gość przyszedł i tak go przyjął niepolitycznie, a uczek szoltonosy zjadł! A gość rzadki; pan się takiej radości nie spodziewał! Ho, ho! Niech pan tatusia uściska i za klucz przeprosi!

- Z tymi słowy otworzyła szeroko drzwi. Wysoki, smukły młodzieniec przestąpił

próg, ale zamiast wybuchu radości rzekł spokojnie:

- Ojciec mój od lat dziesięciu nie yje, a klucza nie brałem. Gdym wychodził, wracała panna Leonia i zamknęła za mną drzwi.

- Ach, Bo e, to prawda! Co ja gadam? O panu Feliksie myślę. To umarł ojciec pański, wieczny mu spokój! Przepraszam, przepraszam! ale pan w czas wrócił, obiad gotowy; będą piero ki, barszczyk i

miały być szołtonosy, kiedy tymczasem...

Młody człowiek nie słuchał wyliczania. Skłonił się nieznacznie i zwrócił do swej izdebki, gdy mu stary Rahoza drzwi zastąpił.

- Za pozwoleniem pana akademika! Jestem Stefan Rahoza, syna szukam. Czy to prawda, e on bawi u państwa Satin?

- A skąd e ja mogę o tym wiedzieć? - odparł zagadnięty z odrobiną niecierpliwości w głosie.

Wynurzył się teraz z mrocznych sieni i, oświetlony z okna pokoju, ukazał

się oczom szlachcica w całej okazałości. A okazały był w całym tego słowa znaczeniu. Wzrostem wybujały, smukły i zgrabny, łączył w swej postaci cały wdzięk Ganimeda * (*Ganimed – syn Trosa, króla Troi, słynny z urody młodzieniec, porwany na Olimp przez zakochanego w nim Zeusa /w postaci orła/, aby służyć w czasie uczt*), z muskulaturą Samsona. * (*Samson /dosł. słoneczny/ -*

sędzia i bohater izraelski odznaczający się nadludzką siłą, narodzony w okresie czterdziestu lat zaboru kraju przez Filistynów).

Na hardym karku osadzona głowa łączyła te w sobie harmonię cienkich wyrzeźbionych rysów i siłę męskiego wyrazu. Wysokie kanciaste czoło osłaniała gęstwina ciemnych lekko kędzierzawych włosów, spod silnych brwi patrzyły oczy ciemnoszafirowe, z których byka dziewczyna mogła być dumna, a ślicznie zarysowane usta miały świeżość rzadką i barwę jagody dojrzałej.

Stary Rahoza utkwiał w nim oczy, które rozszerzały się bezmiernym zdumieniem, otworzył usta i machinalnie podniósł rękę do czoła, jakby przeegnać się chciał.

- Panie, panie! - zawołał chwytając studenta za rękaw. - Kto pan taki?

Młodzieniec z wysokości swego wzrostu zmierzył natręta ostrym wzrokiem. - Rafał Radwan! - odparł lakonicznie, starając się przejść do swej stancji.

Ale Rahoza trzymał go krzepko za rękaw i nie ustępował.

- A kogo pana rodził, panie?

- Ano, matka i wypadek! - rzucił student z szyderskim grymasem, który jego piękną twarz demonicznie wykrzywił.

- A matka jak się zwała?

- Nie wiem, nie pamiętam jej wcale.

- Gdzie to było, panie? Jak się zwał ojciec pana? - badał gorączkowo stary.

- Noszę jego nazwisko przecie. Karol Radwan zwał się i był mędrce!

Przez oczy mówiącego przeszedł blask zapału i dumy na te słowa wyrzeczone z naciskiem.

- Czy ojciec pański studiował w Moskwie?

- Studiował czas jakiś, ale w Niemczech nauki kończył i osiadł w Monachium.

Potęgą naukową był i na całą Europę sławą medyczną! Przed dziesięciu laty zmarł.

- A matka, a matka? - pytał Rahoza.

- Matki nie znałem, nie wiem jej imienia.

- Nieboraczka musiała zasnąć w Bogu młodo! - wtrąciła pani Brzezowa, która słuchała ciekawie opowieści, rada, e przecie dowiedziała się czegokolwiek o swym lokatorze. - Radwan, znajome mi nazwisko z Białorusi; nawet czy nie oka e się i powinowactwo między nami, panie Rafale? Podśędek * (*Podśędek /dawne/ -*

urzędnik w sądzie ziemskim; zastępcą sędzię), Urban Brzeza, cioteczny mój dziad, miał synowicę za Radwanem. Nawet i to pamiętam, e po tym ciotecznym należało się nam coś w sukcesji (*spadku*). Dochodzić chciałam od jego zięciów, bo trzy córki tylko zostawił i z tych jedna do klasztoru wstąpiła, ale dokumentu jednego brakło i tak zostało.

Tej sądowo-genealogicznej dysertacji * (*Dysertacja – rozprawa naukowa broniąca publicznie przy ubieganiu się o stopień naukowy*), nikt nie słuchał; student nareszcie uTORował sobie wstęp do pokoju i przerzucał ksiązkę na stoliku, a Rahoza coś kombinował, nie spuszczać z niego oka.

- Rafaela zwała się pańska matka? - zaczął zmienionym głosem. - Nieprawda, panie?

- Być może. Dała mi zapewne w spadku imię - odparł Radwan nie przerywając swego zajęcia.

- Co to imię! Wszystko panu dała! Swoje oczy, swoje rysy, swój głos nawet!

Takie podobieństwo! Takie podobieństwo! Jakbym ją żywą widział, a przecie to lat trzydzieści, jakeśmy się rozstali! Więc to ojciec pański, Karol Radwan, ha, ha, on ją posiadał, on? Pan powiada, sławny był; zapewne, kobiety lubią sławę, blask, ha, ha!

Mówił urywkowo, do swych myśli i wspomnień raczej niż do młodego, który na ostatnią uwagę podniósł oczy.

- Sława a blask, nie jedno. Na blask biorą się ci, przed sławą mądrości korzy się ka dy! - rzekł.

Ale Rahoza za swą myślą szedł i nie dosłyszawszy przerwy, mówił dalej:

- Czy przynajmniej szczęśliwa była? Czy bez zawodów i trosk było jej życie?

Warta była doli dobrej, o warta!

- Pan znał moją matkę? - zagadnął Rafał znudzony gawędą i nieproszonym gościem.

- Pannę Rafaelę Wilbik! Znała ją cała Moskwa! Córka urzędnika! Ilu naszych było w uniwersytecie, wszyscy w ich domu bywali! Ha, ha! stare dzieje, panie! Prędzej bym się nagłej śmierci spodziewał, ni tego, e tu, po latach trzydziestu, spotkam jej syna i e on mi obcym będzie! Dawno pan tutaj?

- Od trzech lat.

- Krewnych pan ma?

- Nikogo. Po śmierci ojca zabrał mię przyjaciel jego z Monachium do Rygi, doktorem był. Gdy umarł, tu się przenieśliem.

- Więc pan nikogo swego nie ma?

- Mam samego siebie, to mi wystarcza.

Niech e mię pan uwa a za swego, panie Rafale. Bo mi pan jak dziecko rodzone będzie drogi! Stary wyciągnął dłoń szeroko rozwartą ku niemu, ale źle trafił ze swą serdeczną ofiarą. Piękna twarz młodzieńca pozostała nieporuszoną; skłonił się w milczeniu i końce palców podał do uścisku.

- Obiadek czeka na moich panów! - zapiszczała pani Brzezowa ukazując się na progu.

- Proszę, proszę bardzo i naprzód przepraszam za ró ne kuchenne niedostatki, ale te kucharki tutejsze, to szczególny naród! Ani huzarskiej pieczeni, ani flaków, ani ludzkiej leguminy nie potrafią. Ot, sama latam, ale czasu skąpo, bo tej pisaniny a bieganiny to huk, a tymczasem w tym domu to z niczym się połapać nie mo na!

Proszę, proszę!

- Dziękuję, dziękuję! - bronił się Rahoza. - Ja mojej dobrodziki dłu ej inkomodować nie będę! Feliś, myślę, gdzie się zabałamucił, więc tylko o adresik owych Satinów poproszę i błazna wykurzę rychło.

- A któ to są owi państwo? - spytał Rafała.

- Urzędnicy z trzema córkami. Z najmłodszą pan Feliks enić się zamyśla - odparł

student z drwiącym półuśmiechem. - Nadzieja się zowie – dodał.

- To, to to! Ładna, panie, nadzieja! No, ale i mnie mo e pozwolą słówko w tej materii rzec! Płonna to nadzieja, panie, płonna! Oka e się!

- Ej, bo i pewnie! - potakiwała pani Brzezowa. - Ma pan mój całkowitą rację. Coś ktoś tych Satinów ze złej strony przedstawiał. Popleczniki * Zudrów pewnie. Bez koligacji * ludzie, kondycji * nieosobliwej; dobrze pan dobrodziej mówi, dobrze!

(*Poplecznik – zwolennik, zauszniak, ten, kto popiera kogoś (z odcieniem pogardy).*

(*Koligacja - pokrewieństwo (z ludźmi mi wysoko postawionym i).*

(*Kondycja - stanowisko społeczne, warunki bytu.*)

- Gdzie to ich locum standi (*łac. miejsce stałego zamieszkania*) kochany panie Rafale? - zagadnął Rahoza wkładając pośpiesznie płaszcz. - Tylko mi pan napisz, bo zapomnę, i du ymi literami na stare oczy! Za obiadek dziękuję pani dobrodziejce; drugim razem skorzystam, teraz mi do chłopca pilno, a i tak zamarudziłem. Rączki całuję, przepraszam za mitręgę; z Felisem przyjdziemy.

Do widzenia, panie Rafale! Zamieniono tysiąc ukłonów i wreszcie się za gościem drzwi zamknęły, przy wtórze po egnań i szczekaniu uczka. Pani Brzezowa westchnęła.

- Ach, jaki polityczny człowiek! Jaka rozmowa z nim pouczająca! Jak to zaraz poznać człowieka z głową! Ho, ho! Nawet zdaje mi się, e i tabakę za ywa! Panie Rafale, proszę do stołu.

Po chwili w małej jadalni siedzieli we troje nad owym tylekroć wspomnianym barszczykiem i pierokami. Student i Leonka jedli prędko, w milczeniu, gospodyni paplała za troje.

Pierwszy wstał Rafał i mruknąwszy coś w kształcie podziękowania, wyszedł

do siebie; za nim ruszyła Leonka do kuchenki i założywszy gruby fartuch zaczęła sprzątać i pomywać naczynia wspólnie z kucharką; pani Brzezowa zaś zamknęła się w swoim pokoju nad stosem sądowej bibuły.

Przez chwilę w hałaśliwym tym domu zapanowała wyjątkowa cisza, bo i uczek, wylizawszy talerze, usnął pod piecem, i panią Brzezową pochłonęły dokumenta.

Leonka sprzątała szczątki obiadu, zamiotła jadalnię, wytarła skrzętnie kurze i z westchnieniem ulgi wróciła do saloniku, gdzie leżały jej książki, a na papierze na pół skończone czerniało trudne matematyczne zadanie.

Obok, w izdebce lokatorów, Rafał się krzątał coś gwiżdżąc przez zęby.

Zanim się wzięła do roboty, słuchała chwilę i potrząsnęła głową.

- Złości się - mruknęła.

Wtem gwizdanie ustało. Student izdebkę zamknął i zajrzał do salonu.

- Czy pani dziś nie wychodzi – spytał?

- Nie. Dzisiaj nie mam korepetycji – odparła.

- Ja idę na miasto i wrócę wieczorem. Je eliby Lachnicki przyszedł do mnie, proszę go zatrzymać. Niech na mnie poczeka. Dobrze?

- Dobrze - rzekła oglądając się na niego.

- Zostawić pani książkę? - zagadnął.

- Dziękuję. Nie ma czasu. Jutro czwarty egzamin.

- Farsa, te kobiece egzamina. Niewarte zachodu - mruknął ramionami ruszając.

Klucz zgrzytnął w zamku, wyszedł.

- Leonka, Leonka! - ozwała się pani Brzezowa. - Czy to ty wyszłaś?

- Jestem - odparła córka wstając z rezygnacją.

- Chodź e tutaj! Chodź, posłuchaj, co to za prośba, jak to napisane! Głowa, mówię, kwadratowa tego Chruścickiego!

Otó to, widzisz, trzeba przepisać tę suplikę * (*Suplika - pokorna prośba pisemna*). i dołączyć kopię z tych trzech dokumentów; uważasz, jest to wwód *

(*Wwód (ros.) - /terminy prawne/ wprowadzenie w stan posiadania; w sukcesję -*

spadek) i rezolucja guberskiego * (*Guberski - dotyczący guberni, wyszej jednostki administracyjnej w Rosji carskiej i podległych jej krajach*), rządu co do spadku; trzecie to metryka nieboszczki twojej babki; dla zapasu niech i to będzie, zaraz, zaraz mi to skopiuj, czytelnie, ładnie jak na imieniny wiersz! Rozumiesz?

Bo ja wyjść muszę do radcy i nie wiem naprawdę, kiedy wrócę. Ot, masz i pisz!

Dziewczynka bez słowa protestu i niechęci wzięła papiery, cztery wielkie arkusze zapisane od początku do końca, czysty papier i wyszła. Przybywało jej trzy godziny roboty.

Pani Brzezowa zabrała resztę, odziała się w szarą mantylkę i odwieczny kapelusz, i opuściła te swe penaty. * (*Penaty - starożytna bóstwa domowe; w przenośni mieszkanie, dom, ojczyzna*).

Teraz stała się tak wielka i osobliwa cisza, e nawet uczek się zadziwił. Obszedł

pisząc całe mieszkanie i przykucnął nareszcie u nóg Leonki, oglądając się na wsze strony.

Godziny bieły. Biały papier przed dziewczyną zapełniał się pismem; słońce gdzieś gasło na czystym horyzoncie, bo w pokoju robiło się coraz mroczniej; stary zegar chropowatym chodem budził martwą ciszę. Potem nad stolikiem zabłysł słaby krąg światła z małej lampki i oświecił pilną pracownicę. Gęstwina rozdartych hebanowych włosów pokrywała jej rozpalone czoło, oczy czarne gorzały chorobliwym podnieceniem, usta blade rozchyłał szybki oddech.

Zmęczona była i wycieńczona okropnie. Sztuczne były rumieńce, które co chwila rzucały na jej mizerne policzki niby blask zdrowia i ustępowały wnet, zostawiając na skroniach krople potu, a w

oczach mgłą zawrotu; sztuczne były siły, co ją utrzymywały tyle godzin schyloną u tego stolika; sztuczna była ywość, z którą pisała tak bez przerwy. Spieczone wargi powtarzały machinalnie kreślone wyrazy dokumentów, wszystkie swoje myśli utopiła w robocie i śpieszyła, śpieszyła.

Nagle drgnęła nerwowo. Dzwonek ją przestraszył; zbudził się uczek, który przeraźliwie ujadając rzucił się w korytarz. Leonka wstała, by otworzyć drzwi.

- Dobry wieczór pani - ozwał się sympatyczny głos - i przepraszam. Czy zastałem Rafała?

- Wyszedł, ale prosił, by pan na niego zaczekał.

Zamknęła drzwi i wprowadziła gościa do saloniku. Był to tak e student, trochę starszy od medyka. Wielkie marzycielskie oczy, tak jasne jak bławatki, rozjaśniały jego powa ne łagodne oblicze. Na jej wezwanie usiadł naprzeciw niej i trochę onieśmielony obracał w rękę czapkę.

- Zdaje mi się, em dzisiaj spotkał na ulicy ojca pana Feliksa - rzekł wreszcie.

- Był tutaj. Pan go zna?

Po twarzy studenta przeszedł ognisty rumieniec.

- Znam, pani. Mój ojciec słu y u pana Rahozy; jest nadleśnym - dodał po chwili.

Leonka poruszyła brwiami na jej tylko wiadome, myślne spostrze enie.

- Pani jakby się dziwiła? - rzekł młody człowiek ju śmielej.

- Nie. Tylko zestawiam panów. Pan cały człowiek, a Feliks słomiana lala.

- Pan Feliks urodził się w pałacu. Ka dy szczyt dla niego bli szy i ka dy ludzki ideał dostępnejszy. Dlatego mozolić się nie potrzebuje ani mordować się nauką.

On ma kartę legitymacyjną od urodzenia daną tam, gdzie ja się wdzierać muszę, i kto wie, czy się wedrę. Na jego miejscu mo e bym i ja u ywał tylko.

- Wątpię, a przeciwnie, jestem pewna tego, e pan Feliks na ka dym miejscu byłby paso ytem.

- Bardzo pani surowa.

- A pan stronny.

- Stronny? - zagadnął zdziwiony.

Spojrzeli sobie w oczy. Ona badawczo, on niespokojnie, i znowu poczerwieniał ogniście.

- Tak mi się zdawało - odparła przez zęby.

Zapanowała chwila milczenia.

- Przerwałem pani robotę - rzekł - a teraz się pani krępuje moją obecnością. Jeśli pani pozwoli pozostać, będziemy razem pracowali. Mam ksiąkę z sobą, nie będę pani przeszkadzał.

- Dobrze - odparła szczerze, porywając śpiesznie pióro.

On rozłożył ksiąkę i tak naprzeciw siebie siedzieli milcząc.

Stary zegar wybił godzinę. Dźwięk miał chrypliwy i gniewny, jakby nie mógł darować ludziom, e go męczą w tak późnym wieku.

uczek, znudzony bezsennością, wynalazł gdzieś nieszczęsną pończochę pani Brzezowej i bardzo pilnie zaczął ją rozdzierać na sztuki; lampka tłała skwiercząc.

Leonka odłoyła ostatni arkusz i, bez przerwy i wytchnienia, dobyła z tornistra pęk zeszytów, kilka starych podręczników i wzięła się do odrabiania jutrzejszych lekcji. Student oczy podniósł i przypatrywał się jej długi czas w milczeniu, badawczo.

- Czego się pani uczy w tej chwili? - zagadnął z cicha.

- Chemii organicznej - odparła prędko, nie podnosząc głowy.

- Zaraz pani skończy?

- Zaraz.

- Wszystko ju ?

- Nie. Mam jeszcze historię i zadania.

- Kiedy to pani zrobi?

- Noc długa, zrobię.

- Przecie jutro niedziela. Mo na odpocząć.

- Jutro mam korepetycyj trzy godziny.

- W niedzielę?

- A tak. Na poniedziałek.

- Du o pani ma tych lekcji?

- Co dzień trzy godziny.

- Kiedy pani to załatwia?

- Po lekcjach w gimnazjum.

- To pani od rana jest w robocie do szóstej wieczorem.

- Do siódmej z drogą.

- A gdzie pani obiada? -

- Podczas pauzy południowej. Obiad mam w tornistrze.

- Ile pani zarabia lekcjami?

- Po dwadzieścia kopiejek za godzinę - sześćdziesiąt dziennie.

- Osiemnaście rubli miesięcznie.

- Mniej więcej. Kiedy nie ma wielkich świąt. Czasem tylko szesnaście.

- A dawno ju pani zarabia?

- Ju dwa lata. Od czwartej klasy.

- To ju sobie pani zebrała chyba posag! - uśmiechnął się smutno.

Przestała się uczyć, oparła łokcie o stół, rękoma objęła gorejące czoło i uśmiechnęła się tym uśmiechem czterdziestoletniej osoby.

- A wpisowe? A ksią ki? - rzekła.

- Jak to? Pani sama płaci? A matka?

- Matce brak na moją naukę. Płaciła do czwartej klasy, potem nie mogła. Kazała przestać na tym. Ale ja tak e mam przed sobą cele, ideały, szczyty niebotyczne, na które dostać się pragnę, jak pan. Matka mi daje utrzymanie i dach, więcej mi nie trzeba.

- Ile pani ma lat, panno Leonio? - zagadnął z zajęciem.

- Szesnaście ju - odparła z dumą.

Wyglądała na dwadzieścia, ale nie rzekł tego, tylko przez jego sympatyczne, otwarte rysy przeszedł cień serdecznego współczucia.

- To ju dwa lata stoi pani własnych siłach?

- Od czwartej klasy - powtórzyła. - Teraz kończę szóstą; jeszcze rok.

Myśli jej nie zrozumiały celu jego pytań, a nie chciała rozumieć.

Odpowiadała trzeźwo, mo e krótko. Przestała się uczyć; podniecenie opadło, opanowywała ją jakaś chorobliwa abstrakcja, wynik nadmiernego wycieńczenia ciała i ducha.

Przymknęła oczy; w zmęczonych źrenicach migąły koła i zygzaki złote, zielone i pąsowe; w mózgu tłoczyły się cyfry, daty, formuły i gmatwanina zdań ksiąg kowych.

Cichy głos Lechnickiego zbudził ją jak ze snu.

- A czy była pani kiedy dzieckiem?

Rozwarła ciężkie powieki, nie zrozumiała na razie.

- Dzieckiem? No, a jak e? Byłam!

- Goniła pani motyle, szukała gniazd, miała lalki, śpiewała, skakała przez sznur, tarzała się w trawie?

Potrząsnęła głową.

- Ej, nie! U nas w domu były licytacje ciągłe i bieda, a potem choroba ojca i ałoba. Był ogród i motyle w nim zapewne, i gniazda, ale ja tym się nie bawiłam.

Nie było czasu. Sama byłam i czytałam. Pisarz prowontowy * (*Pisarz prowontowy – urząd dziennik prywatny /oficjalista/, obliczający ci dochody majątku ziemskiego*), czytać mnie nauczył, a więcej guwernantka, bardzo sroga. Tyle było roboty i tyle ksiąg w szafie, to sobie czytałam na rekreacji.

- A matka?

- Matka już się wtedy procesowała. I ona nie miała czasu. Był ojciec chory i dziadunio ślepy, i procesa, i gospodarstwo! A ile matka miała roboty! Potem i guwernantka odeszła; proces tyle kosztował! Mama mi kazała dziadunia doglądać...

Przymknęła znowu oczy i opowiadała z cicha, jak przez sen, jakby sobie samej przypominała te czasy i nie miała słuchacza.

- Dziadunio nie lubił wychodzić. Miał swój pokój, a świat był dla niego wszędzie ciemny. Chore miał nogi, w ranach i kaszel okropny. Nauczyłam się rany mu opatrywać, gotowałam ziółka, i czytałam zawsze jedno: "ycie Napoleona".

Dokończywszy, zaczęliśmy znowu od początku. Bardzo lubił słuchać, ale zawsze się spierał o zdanie autora. Potem tak przywykł do mnie, że na chwilę nie puszczał. Spałam też u niego w fotelu, bo i w nocy często usługi potrzebował.

Biedny dziadunio!

Umilkła. Zdawało się słuchającemu, że się zająknęła niby łkaniem, ale moc w niej była jakaś nieludzka, bo po chwili mówiła dalej:

- Raz zimą wichur wył i sowa jęczała. Dziadunio powiada: "To na mnie". Kazał

mi przestać czytać i położył się. Matki nie było, stawała na sądzie w powiecie; pusto było w domu,

był tylko kucharz i ojciec, a ten leżał chory. Dziadunio się położył, dał mi swój krzyżyk srebrny na pamiątkę i pobłogosławił po łacinie. A potem kazał wziąć księgę do nabożeństwa i czytać różne modlitwy. Więc czytałam, a dziadunio odpowiadał. Wieczór tak zeszedł i kilka nocnych godzin, a świeczka dopaliła się i zgasła, i ja tam zasnęłam na skórze niedźwiedziej u dziaduniowego łóżka. I wtedy on umarł cichutko. Nie zbudził mnie; zapewne niczego nie potrzebował...

- A ile lat wtedy pani miała?

- Dziesięć skończonych.

- A có potem było?

- Potem mi mama zleciła doglądać ojca, więc doglądałam. I wtedy już więcej miałam czasu, bo i szafy nasze z księgami zabrali z licytacji. Nic prawie w domu nie zostało, tylko pościel i nasze odzienie. Jak ojciec umarł, przeniosłyśmy się do oficyny, * (*Oficyna – boczny budynek przy pałacu dla służby dworskiej*), a w domu zamieszkali Zudrowie. Mama wtedy nauczyła mnie po rusku i przepisywałam jej różne papiery. Tak trwało kilka miesięcy, wreszcie i z oficyn trzeba się było wynosić. Tutaj przyjechałyśmy dla pilnowania procesu. Sześć lat niezadługo się skończy.

- I zawsze miałyście panie lokatorów?

- Zawsze. Czasem po czterech nawet.

- Rafał już dawno mieszka?

- Od trzech lat. Pan Rahoza od roku. Przedtem inni byli, różni.

- To Rafał stary znajomy. Lubi go pani?

- On dla mnie taki wielki, taki mądry! O, i dobry! On nie drwi, nie przedrzeźnia, nie konceptuje. * (*Konceptować – artować, dowcipkować*), O, on cały człowiek!

- Demon! - szepnął powaźnie Lachnicki.

Dziewczynka nie zauważyła przerwy.

- eby nie on, to bym zmarniała. Gdy mi matka cofnęła wpisowe przed dwoma laty, jak dziecko byłam. Płakać tylko umiałam i rozpaczać. A on mnie nauczył

wielu rzeczy, wszystkiego. Teraz już bym nie potrafiła płakać. Nauczył mnie myśleć, dał mi odrobinę swej mocy. Przez niego jestem tym, czym jestem, i będę, czym zostanę. On mój mistrz!

- Feliksa pani nie lubi. Dokucza drwinami.

Ruszyła wzgardliwie ramionami.

- Co mi on? To nie człowiek. Egzaminu nie zdał i śmieje się. ebym ja egzaminu nie zdała... Urwała i

oczy jej błysły dziko.

- To co?

- To bym nie yła! Ale ja co rok zdaję z nagrodą pierwszą. I pan Rafał pierwszy.

Pan Feliks ambicji nie ma ani woli. Czy to człowiek?

- Ale wesół i poczciwy.

- Wesół i wróbel, i uczek, i wszystko co nie myśli. Czy zasługa i cnota? Mnie to nie bawi, nie mam czasu. U pana Feliksa nic nie ma świętego ani szanownego.

- No i Rafał w niewiele świętości wierzy i mało co szanuje.

- Pan Rafał ma świętość szlachetności, ma poszanowanie wielkości ducha i nauki.

Miałby prawo patrzeć z góry na świat i ludzi, z wy yn swej wiedzy i siły; on mędrzec i uczonec, a pan Feliks dziecko.

- A dokąd e panią Rafał zaprowadził?

- Do tych źródeł, z których się pan Feliks nigdy nie napije, do takich celów, których on nie rozumie, choć śmie artować z pana Rafała. On!

- Byle z Bogiem, yczę pani powodzenia. Wieczne ycie dają zdroje gorącej wiary i poświęcenia, a orle siedliska na podniebnych szczytach ma myśl wielka i wiedza.

Ale całe niebo ma ten dopiero, kto wielce kocha, a źródła cudowne ma ten tylko, kto cierpi i dziękuje. I takich wiele na świecie... Zna ich pani?

Podniosła na niego oczy czarne, zmęczone, a tak czyste i głębokie, e w nich jak w krynicy widać było do dna myśl i duszę.

- Miłość, jak ka da namiętność, jest słabością, a cierpienie, znoszone z podzięką

- niewolnictwem! - odparła po namyśle.

Oczy jej czyste świadczyły, e wypowiada frazes * (*Frazes – zwrot, wyra enie, tak e o wyszukanej formie, ale bez głę bszej treś ci*), nauczony, e zdecydowała o kwestii, o której nie miała adnego własnego pojęcia.

Błękitne oczy studenta sypnęły iskrami. Podniósł dumne czoło.

- To fałsz, panno Leonio. Czy to przez słabość i ądę pielęgnowała pani dziadunia? Czy to przez słabość i ądę zdławiły panią łzy na te wspomnienia?

Nad miłość nic nie ma duchowniejszego i gwiazdy przy niej nieczyste, a nad podziękę w cierpieniu nie ma większej potęgi i mocy. Nie człowiek i nie mędrzec, kto tego nie doznał i nie pojął.

Dziewczynka słuchała go uwa nie, zamyśliła się.

- Ja nie wiem - odparła wreszcie - tak czytałam.

- Więc Rafał nie uczył tego pani?

- Nie. Nigdyśmy o tym nie mówili. Czytałam.

- To i chwała Bogu. Znam Rafała; nie mistrz on do tego, o nie! Nieszczęsny ten, komu on będzie kształcił uczucie.

- Dlaczego, panie? - spytała spokojnie.

- Bo i on tylko czytał o tym, jak pani, i nie wiem, czy kiedykolwiek odczuje.

Leonka nagle podniosła głowę, nastawiła ucha.

- Pan Rafał idzie! - rzekła.

Student spojrział na zegar i wstał zaniepokojony.

- Ju dziesiąta? Niepodobna! - zawołał.

- Sądziłem, e przed chwilą przyszedłem. Zająłem pani tyle czasu i wbrew obietnicy przeszkodziłem w robocie. Proszę darować.

- Nic nie znaczy. Noc długa. Zawsze pracuję do późna. I ja się nie spostrzegłam, eśmy rozmawiali. Otó i pan Rafał!

Klucz zazgrzytał w zamku. Lachnicki się uklonił.

- Chciałbym po wakacjach zapisać się na listę lokatorów państwa i przegwarzyć z panią wiele takich wieczorów. Dziękuję za łaskawe towarzystwo.

- Czy jest Adam? - rozległ się głos Rafała z sieni.

- Jestem. Czekam od dawna.

Rafał wszedł do saloniku. Czoło miał posępne, a w oczach przykry blask.

Kiwnął głową Leonce i Lachnickiemu, i przeszedł się kilka razy wzdłu i wszerz po pokoju, nie mówiąc ani słowa.

- Nie ma naturalnie nikogo - rzekł w końcu - tylko panna Leonia. Dobrze, eś został, mam z tobą do pomówienia. Zapewne ojciec z synem Rahożowie nie poka ą się dzisiaj. Mocno pocieszające

"zapewne"! Mo e my zostać. Chodź do mego pokoju.

- I owszem, bo i ja mam interes do ciebie, a raczej prośbę. Dobranoc pani.

Wyszli. W stacji swojej Rafał zaczął znowu chodzić z końca w koniec i mówił swym lekceważącym tonem:

- Wezwałem ciebie, ebyś sobie zabrał, jeśli na co ci się zdadzą, moje książki medyczne, notatki i narzędzia. Mogę ci te i to darować. Przystanął u stolika i uderzył pogardliwie ręką po czaszce ludzkiej białej i lśniącej, która wśród gratów przerónych leżała w pyłe, szczerząc dwa rzędy przepysznych zębów w szyderskim uśmiechu.

- Kiedy obiekt kipnął, pamiętasz? był to wielki wynalazca, samouk, nędzarz, rozbijałem się za tym czerepem, a dostawszy go mierzyłem, ważyłem, badałem.

Idiotyczna nauka i idioty jej adepci! Tyle w tej głowie sensu, co w rozbitym garnku. Wyrzuć nerwy, mózg, krwiste przewody, zostanie ci figa! Na nawóz cała facecja, i basta! Zmarnowałem trzy lata! Nie dziwię się, e mój ojciec dał szcztka medycynie, tylko e zrobił to za późno. Ja ju mam jego doświadczenie oprócz rozumu i zrobię to wcześniej.

- Jak to? Z trzeciego kursu? Z twymi zdolnościami rzucasz? Rafale, co tobie?

Świetną przyszłość masz przed sobą i u wrót triumfu ustajesz?

- Nie ustaję, ale zostawiam pole. Budujcie tę świetną przyszłość, oszukując osłów i siebie! Ja ju opłaciłem frycówkę. Teraz bywajcie zdrowi!

- Cóż myślisz robić dalej? - pytał Lachnicki oszołomiony.

- Przede wszystkim rzucić to obrzydłe gniazdo, nim mnie jeszcze do reszty nie ogłupiło! Ładna tu młodzie, przyjemne nauki, inteligentne towarzystwo, nie ma co mówić! Mo na skorzystać!

- Czego chcesz od naszej kolonii? Nie brak otwartych głów, śmiałych myśli i poglądów, wybitnych umysłów. Nie hulamy, nie yjemy z długów, pracujemy!

- Winszuję, jeśli ci to wystarcza! Otwarte głowy chcą świat reformować, a nie potrafią odpowiedzieć, czym są, czym byli i czym będą - stado narwańców!

Wybitne umysły zgrywają się w karty, a pracownicy, do których i ty się rachujesz, to gromada wołów orzących niewolniczą rolę obowiązków pod batogiem rodziny, kraju, walki o byt, religii, obyczajów i tym podobnych zabytków barbarii! Miła kolonia!

- Do wybitnych zaś umysłów ty się rachujesz i te jesteś zapalonym graczem.

- Naturalnie! Dziwię się, e wśród tej miłej kolonii nie zostałem dotąd rozbójnikiem, szpiegiem lub mordercą! Przykład jest zaraźliwy, a brak stosownego koleeństwa popycha do upadku! Przybyłem szukając wiedzy i swobody; odjadę bez jednego i drugiego!

- Więc rzeczywiście wyje d asz? Stanowczy projekt?

- Moje projekty są dziełem rozważli, więc stanowcze. Wyje d am jutro, na zawsze!

- Jutro ju ? Dokąd?

- Do Monachium. Do stolicy ojca. Jego dzieło będę dalej ciągnął, od miejsca, gdzie przestał. W tamtejszym uniwersytecie moje stanowisko.

- Więc się rozłączymy na wieczne niezobaczenie? Szkoda!

- Jaka szkoda! Pasujemy do siebie jak polip do ptaka; nie rozumiemy się nigdy.

Nie wiem doprawdy, o czym mogliśmy rozmawiać przez ten rok i dlaczego zwłaszcza poznałem się bliżej? To tak e jedno więcej zmarnowanie czasu! Zapewne, e się nie spotkamy, bo i po co? I dowcipnego pana Feliksa nie ujrzą więcej moje oczy! Nie będzie swego blasku nade mną roztaczał! To tak e szkoda!

Lachnicki usiadł przy stoliku, podparł czoło ręką i słuchał bez śladu obrazy.

Tylko twarz jego łagodna posmutniała bardzo, a oczy zaszły wielkim ale. Rafał

nie patrzył na niego. Chodził wciąż po pokoju, istotnie demoniczny w swym cynizmie i pogardzie.

- Poznałem dzisiaj rodzica tego obiecującego młodzieńca i dowiedziałem się, e staruszek niegdyś kochał się w mojej matce! Jakże to czułe!

A mu nos zbiegał na to wspomnienie! Nieborak, w braku matki, syna wyściskał i o wzajemność prosił. Stara Brzezowa a się obliżywała na widok tej sceny. Bo i o koligacji * (*Koligacja – pokrewieństwo, powinowactwo*), była tam mowa, i o amorach, i o przyjaźni, i o dobrych synowskich stosunkach... Czemu nie palisz?

ujesz i ty orację w tym rodzaju. Nie fatyguj się: masz cygaro!

- Dziękuję ci. Smutno mi okropnie, e się rozstajemy.

- A tak. Tobie zawsze jeśli nie smutno, to tęskno, kiedy się nie troskasz, to marzysz; kiedy nie marzysz, to coś sobie wyrzucasz i ałujesz! Osobliwy sortyment ślimakowych uczuć, ale niestety nie znany mi, więc współczuć z tobą nie potrafię. Nie mam pojęcia, co to smutek i tęsknota, marzenie i troska, wyrzuty i al. Wyobra am sobie, e podobne do ciebie osobniki ładują sobie te wra enia w miejsce brakującej im piątej klepki, jak się to vulgo (*łac' zwykle, pospolicie*) mówi.

- Nie przeczę ani się obra am, kolego - odparł Lachnicki swym powa nym, łagodnym głosem. - Pokochałem cię mo e właśnie dlatego, em polip, a ty ptak.

Marzyłem, e się porozumiemy kiedyś, ałowałem cię, boś nieszczęśliwy, i szkoda mi bardzo a bardzo, e drogi nasze się rozchodzą! Widzisz więc, e ową braknącą klepkę zastąpiłem tobą. Gdy

aniółowie w przepaść szli za pychę, z nimiś był, demon...

- Wiem, wiem. Czytałem między innymi i te ydowskie bajeczki. Słusznie im miejsce między "Dekameron" i Szacherezady baśniami. Nie ciekawym twych kazań; powiedz raczej, bierzesz ksią ki i resztę?

- Dziękuję ci, owszem, ale pod warunkiem, e coś za to ode mnie przyjmiesz w zamian.

- Co takiego?

- Obiecaj wpierw, nim powiem.

- Zapewne coś głupiego, sądząc po tym wstępie.

- Mo e być. Przez rok słuchałem ciebie cierpliwie, choć plwałeś na wszystko, co czczę i szanuję. Dziś się rozstajemy. Jako wynagrodzenie zrób mi jedną, pierwszą i ostatnią przyjemność i zadowolenie.

Rafał przestał chodzić. Spojrzał przelotnie na kolegę. Oczy jego gorące i dzikie złagodniały na sekundę, choć ton odpowiedzi pozostał szorstki i zimny.

- Frazes w twoim guście. Świeć ślepemu pochodnią w oczy, powie, e go kaleczysz. Logika wasza! Zresztą zgoda, byle w tej twojej przyjemności nie było Feliksa i pozostania tutaj. Czego chcesz?

- ebyś przyjął gościnę w domu mego ojca na czas wakacyj. Obiecałeś. Dziękuję ci serdecznie. Chłopak wstał i wyciągnął dłoń do uścisku.

Rafał ruszył ramionami.

- Szczególna ochota. Jeśli myślisz mnie nawrócić, pró na fatyga, a co do ciebie, dawno dałem za wygraną szukania w twej mózgownicy rozumu i logiki. Nie będziemy więc mieli o czym rozmawiać.

- Zgoda, nie nawracajmy się. Nie z moją siłą ciebie pokonać. Bóg cię sam kiedyś nawróci, bo ulituje się nad taką duszą, piekłu nie da; a ty nie bluźnij przede mną, bo mnie to zanadto boli. Pojedziemy sobie, jak studenci, do naszej chaty leśniczej wśród boru. Tobie tam zdrowo będzie i spokojnie, a ja odwlokę choć na parę miesięcy nasze rozstanie. Tak to nagle mnie zaskoczyło! Daj mi przywyknąć do smutnej myśli. Niech e ci podziękuję.

Rafał obojętnie podał dłoń i uściśnieli sobie prawice.

- Wszystko mi jedno, gdzie będę - mówił Radwan dalej.

- Miałem zamiar piechotą wędrować do Monachium, z popasami, przez Rygę.

Mniejsza o to, mogę u ciebie przesiedzieć kilka tygodni. Do profesora Andenberga w Monachium pisałem; wzywa mnie do ojcowskiego mieszkania, które zachowano nietknięte. Został na to kapitał, a Andenberg, przyjaciel i kolega ojca, pilnuje całości. Znajdę wszystko na swój przyjazd gotowe.

Jestem wolny na tych parę miesięcy.

- Pojedziemy jutro. Dzisiaj zdałem ostatni egzamin! - zawołał radośnie Lachnicki.

- Kiedy ci się podoba. I ja zdałem. Nic nas nie zatrzymuje. Możemy załadować graty w doróbkę i jechać na tę noc do ciebie. Oszczędzi mi to widoku Feliksa.

Lachnicki zafrasował się nagle i wahająco spojrzął na kolegę.

- Feliksa - powtórzył powoli.

- Nie powiedziałem ci całej prawdy, Rafale. Nie zaręczę, że się nie spotkacie podczas wakacji. Mój ojciec służy u nich.

- Służy u Rahożów? Ładna perspektywa!

- Jest nadleśnym. Straż jego leży jednak daleko od samego dominium (*większa posiadłość*), a pan Feliks nie myśliwy. Widuję go bardzo rzadko, gdy przez wakacje bawi się po sąsiednich dworach. Nie lubi lasu i ciszy i w niczym się nie rozporządza. Stary Rahoża magnat jest, ma siedem folwarków, gorzelnie, młyny i lasy olbrzymie. Ojciec mój służy im od lat dwudziestu; straż i obowiązek wziął

po dziadku. Nie za najemników nas uważają, ale za przyjaciół. Przekonasz się, że ich nie zobaczysz nawet, gdy nie zechcesz.

- O, to pewna, że nie zechcę!

Któż tam jest? Stary, stara i jedynie Feliks?

- Jest pan Rahoża, matka jego ony nieboszczki, syn i córka.

- Aha, jest i panna. A ona się nie włóczy po lesie?

- Owszem, ale ta ci nie dokuczy. Jest też i emeryt guwerner, Niemiec, który codziennie przez straż przechodzi i w lesie czytuje Kanta. * (*Immanuel Kant* –

filozof niemiecki). Spokojny człowiek. Będzie nam dobrze, Rafale. Dwór o wiorst kilka, za rzeką. Las przepyszny, cisza, spokój. Nie bój się, jedźmy.

- Jeszcze ja takich Feliksów się nie bałem. Nie spodoba mi się, to pójdę precz.

Obiecałem i basta. Oho, wraca miła Brzezowa!

Rzeczywiście, w kurytarzu pisk gospodyni rozlegał się donośnie przy wtórze skomlenia uczka.

- Biedny rozbitek - rzekł Lachnicki. - Patrząc na nią, aż ogarnia okropny! Za co ona biedna tak cierpi i mozoli się?

Niezbadana Bo a tajemnica! Po wakacjach najmę u niej mieszkanie i, ile będę mógł, pomogę. Dzisiaj du o rozmawiałem z córką. Wybitny to charakter i bogaty materiał. Znaie się dobrze?

- Tę małą? Zajęła mnie i badałem. eby nie była kobietą, mo e by z niej co było, ale kobieta - nędzal! Machnął lekcewa ąco ręką.

- Có to ma znaczyć? Mogą być niepospolite kobiety, jak niepospolici mę czyźni.

Przecie im się nie zaprzecza duszy i rozumu.

- Po pierwsze: dusza jest to określenie tak e z bajek Szacherezady, a co do rozumu kobiet, najrozumniejsza ma go trochę więcej od kury.

- A panna Leonia?

- Panna Leonia jest jeszcze dzieckiem. U kobiet okres myślenia kończy się z epoką rozwinięcia; potem jest to tylko rzecz i basta!

- Mówisz jak ślepy o kolorach.

Twoje kobiety są właśnie istotami z bajek Szacherezady. Szczęściem, e teraz takich nie ma, a inne są nie równe nam, ale wy sze od nas.

- Chytrzejsze i sprytniejsze!

To przymiot płci eńskiej w całej przyrodzie. Wynik logiczny potrzeb.

- Dostyć; nie ciekawym twych fizjologicznych obserwacji. Rozchodzimy się w zasadzie bez mo ności porozumienia. Kiedyś przekonasz się sam i, jak ja uwierzysz?

- Czy prorokujesz mi ogłupienie? mocno obowiązany!

Wracają się wstecz tylko półgłówki, a do ich liczby ja się nie piszę.

Tymczasem jeść mi się chce okropnie; pójdziemy do restauracji. Zachowaj się tylko cicho, bo jak nas Brzezowa posłysz, podniesie lament. Zabierz ksią ki.

W skrzynkę drewnianą wrzucili podręczniki, narzędzia i nieszczęsną czaszkę. Potem wymknęli się cichutko na schody.

W pokoiku studenckim pozostał gryzący dym cygar Rafała, unoszący się w fantastycznych tumanach przy świetle lampy, i echo jego sarkazmów. Równie dymno i mglisto było w dzikiej głowie studenta. Za mędrca się miał szalenieć.

II

Była ju północ. Na stole w saloniku paliła się wciąż lampka, a pochylona nad nią roztargana głowa dziewczynki pracowała bez przerwy. Pani Brzezowa usnęła zmęczona, usnął uczek, chrapała słu ąca, tylko miasto huczało gorączkowym ruchem uciechy i ta małaletnia męczennica nauki mozoliła się gorączkowo.

Stary Rahoza przysłał kartkę z zawiadomieniem, e syna zatrzymuje w hotelu, Rafał wrócił zaledwie przed chwilą i słychać było za ścianą, jak pakował

swe mienie; Leonka w ciszy nocnej uczyła się zajadle.

Zamiast chemii miała przed sobą matematykę; zamiast nagłych rumieńców -

papierową bladość na policzkach; zamiast ognia w oczach - mgłę szarą, a na białkach - siatkę krwawych yłek.

Nadzieja rychłego wypoczynku dodawała jej sił. Odpocząć, zasnąć do woli, posiedzieć beczynnie z zamkniętymi oczyma

- marzenie to jej było nigdy niedościgłe! Bo i kiedy był czas? O szóstej budziła ją matka. Z kucharką sprzątała pokoje, przygotowywała śniadanie dla lokatorów powtarzając półsennie lekcje dzisiejsze. Zawsze ją strach dręczył, e jeszcze nie dość dobrze pamięta; nigdy pewną nie była. O ósmej, stojąc, połykała herbatę, ładowała w tornister ksią ki i zeszyty, brała na obiad trochę chleba i wędliny, i biegła, ile sił miała, do gimnazjum. Daleki to był kurs, trzy wiorsty * (*Wiorsta* –

rosyjska miara długość ci równa 1,0668 km.), zapewne, tylko e przywykła i nie miała czasu rachować.

Rzadko ją pytano wprawdzie, ale zawsze o najcięższe przedmioty. Była pierwszą w klasie, rozumiała, co to znaczy, i raz zajmąwszy to miejsce, pozostawała. Potem o trzeciej, gdy kole anki wracały do domu, biegła na korepetycje. Trzy ich miała, ka dą gdzie indziej, wszystkie daleko, dalej ni gimnazjum.

Wracała o ósmej. Nogi wreszcie przestały ją boleć, tylko dr ały i paliły ogniem. Przywykła tak e do głodu całodziennego; nigdy jeść się jej nie chciało, tylko pić i zasnąć. Potem i sen nauczyła się zwalczać; w wątlým ciele organizm stał się kamiennym.

Sypiała byle jak i byle gdzie. Czasem sen ją pokonał nad stolikiem schyloną i tak przetrwała do rana; czasami układała się w kurytarzu na drewnianej sofce, czekając na powrót Feliksa, który zwykle klucz gubił lub zapominał, i dzwonił nie dbając o godzinę. ałując matki Leonka czatowała na jego kroki i otwierała, nim odszukał dzwonek. Rzadko tylko, podczas kilkodniowych świąt, sypiała z matką noc całą, bez przerw, spokojnie.

Pół do pierwszej uderzył zegar. Równocześnie drzwi Rafała skrzypnęły i kroki rozległy się w kurytarzu. Leonka obejrzała się zdziwiona i spotkała się wzrokiem z oczyma studenta.

Wszedł do salonu.

- Dobrze, e panią zastaję. Przyniosłem pieniądze za miesiąc, proszę je jutro wręczyć matce, gdy ja prawdopodobnie nie zobaczą jej więcej. Wyjeżdżam z Lachnickim.

Dziewczynka odłożyła pióro i śledziła bezmyślnie ruch jego ręki liczącej asygnaty. Zebrała je do szuflady.

- Skończyła pani egzamina? - spytał łaskawie.

- Za dwa tygodnie dopiero.

- Daleko jeszcze... Nie dowiem się ju rezultatu.

- Po wakacjach zastanie mnie pan w siódmej klasie.

- Ano, pewnie, jeśli organizm pani wytrzyma. Jest ju blednica i anemia (niedokrwistość)... może przyjdzie histeria!...

Rzucił okiem na papier.

- Jak e tam z matematyką? Może pomóc?

- Ej, nie... dziękuję panu. Proszę mi zostawić trochę książek na wakacje.

- Zostawiam wszystkie na pamiątkę po sobie. Wątpię tylko, czy pani wszystko zrozumie.

- Czego nie pojmę, podkreślę, a pan mi wytłumaczy za powrotem, jak zawsze.

- Tym razem nie będzie jak zawsze, bo nie wrócę tu wcale.

- Nie wróci pan? - powtórzyła.

Nie było podziwu i smutku w jej tonie, tylko przestach okropny i rozstrój.

Otworzyła szeroko oczy i nie mogła długą chwilę odetchnąć.

On spokojnie usiadł przy stoliku, rozparł się na nim i patrzył obojętnie na parę drobnych molików, które na pół osmalone, rozkładały resztki skrzydełek i próbowały raz jeszcze wzlecieć do morderczego płomienia.

- Jadę na uniwersytet niemiecki. Za ciasno mi tu dla płuc i umysłu... - rzekł lekko.

- I ju pan nie wróci! - szepnęła raz jeszcze.

Nie rozumiała, co się z nią działo. Poczwała nagle, z błyskawiczną chy ością myśli, swą dolę szarą, swój mozół krwawy, swój cel daleki, swoje ycie męczeńskie. I poczwała te ból rozsadzający głowę, klucie w piersiach, dławienie w krtani, a w oczach palące płomienie.

Pochyliła się nad stołem i niepewną dłonią odrzuciła włosy z czoła, na którym się pot szklili.

- Naturalnie, e nie... - odparł ruszając brwiami. - Dla ludzi z moim usposobieniem nie ma tutaj roboty. Przechodzę na fakultet filozoficzny. Co zaś do pani, za wiele powijaków was krępuje, byście mogły dotrzeć tam, gdzie chcecie. Zresztą, kobiece projekta - rzecz chwilowego podniecenia nerwów; gdy opadnie, znikają.

Słuchała go nie przerywając. Bolało ją wszystko coraz gorzej. Znekana była i niezdolna nic odpowiedzieć.

- Kto chce nauce się oddać, prawdę odkryć, badać bezstronnie siebie i ludzi, wpieryw wolnym być musi. Nie powinny go pętać węzły rodzinne, bo i có one są?

Ochroną w niemowlęctwie, niewolą w latach siły i myśli. Próba na formę, narzucona bez pytania o naszą zgodę! Powinien te wyzwolić się spod ciasnej formułki narodowości i szczepu, bo i cóż ma e umysł wyśzy obchodzić taki lub inny dialekt (*gwara*), takie i takie położenie geograficzne? Wymysł miażdżących głów i nic więcej! Niewola, niewola, ciasnota, ciemność! Śmieszne formułki i aksjomaty * (*Aksjomat – twierdzenie, prawdy uznane za oczywiste, prawdziwe, nie wymagają ce dowodów*), bezadnej podstawy poruszają ciemne masy, zapalają wojny i po ogi, plenią nienawiść. Wstyd i hańba ludzkości, e ją tak łatwo oszukać można. Wstrętna, nikczemna niewola i bezmyślność.

Zapalił się i uniósł. Już nie szydził, ale rzucał z ogniem i demoniczną siłą rękawicę światu. Czuć było, e był wolny w swoim pojęciu i olbrzymi w poczuciu wyśzości, piorunował ród karli ludzi. Dzikie jego oczy świeciły jak rznięte kamienie, po twarzy chodziły jak smugi błyskawice, a kanciaste czoło przecięła bruzda natężenia i wzdarcia. Przepyszny był ten szatan.

Leonka podniosła głowę pod huraganem słów namiętych. Błada była, a mistrz jej mówił dalej, porywając i druzgocąc wszelkie zapory:

- Niewolnik i głupiec, kto prawdy szuka po ksiągach, ze zdania starych.

Niewolnik i głupi, kto wiedzę i filozofię chce pogodzić z religią, zwyczajami, obowiązkami! Niewolnik i głupi, kto się waha, co wolno, a co nie wolno, co wypada, a co nie, co można, a co nie można. Umysł ludzki musi wszystko zbadać, wszystkiego dotrzeć, wszystko wyjaśnić, więc wolnym być musi. Nie ma złego, tylko to, czego nie chcemy, bo nie możemy emy chcieć dla siebie złego, a wszystko, czego chcemy, jest dobre i dla nas konieczne.

Gdy się otrząśniemy z pęt tych, gdy otrząśniemy z siebie pleśń wieków, wtedy zaledwie możemy emy szukać prawdy, sądzić bezstronnie i badać głęboko!

Leonka pochłaniała słowa. Dreszcz nią wstrząsał nerwowo, przestraszył i poczucie własnej bezmiernej nędzy wobec takiego programu. Były to szczyty i źródła cudowne, o których mówiła Lachnickiemu. Od trzech lat nauka ta wsiąkała w jej duszę, napojem jej była i karmą.

Dawniej zawrót ją ogarniał wobec tych horyzontów; potem pociągniętą się poczuła i w głowie tej potarganej leżały się i rosły, podsycane czytaniem i ywą mową mistrza, demony buntu i negacji. * (

Negacja – zaprzeczenie, odrzucenie, przeczenie).

O! mistrz to był niebezpieczny, a uczennica pojęta. Rozumieli się doskonale! Wpływowi temu nic nie przeciwdziałało oprócz suchej godziny religii w szkole, którą wydawała machinalnie, z obowiązku. Rafał czasem, ujrawszy katechizm na stole, parafrazował go po swojemu i dowodził sofizmatami *

(Sofizmat – rozumowanie na pozór poprawne, w którym popełniono błąd logiczny, trudny nieraz do wykrycia, nadając cy pozory prawdziwość ci fałszywemu twierdzeniu), bezsensu.

Nie nauczył jej nikt bronić prawdy i wiary. Matka brała ją z sobą w niedzielę do kościoła, gdzie w ścisłości i gorącu patrzyła na ołtarz i celebranta, nie zdając sobie sprawy ze znaczenia obrządku. Rafał nazywał to buddaistyczną *

(Buddaistyczny /od słowa buddyzm/ - dotyczą cy religii opierają cej etykę na miłość ci bliż niego i wszechludzkim braterstwie, głoszą cym równość ludzi pod wzglę dem rasowym, narodowym, społecznym), szopką wymyśloną dla odurzenia ciemnych mas, a pani Brzezowa, poza procesem z Zudrami, nie myślała o niczym, nie widziała świata. Raz w rok posyłała córkę do spowiedzi, lecz nie pytała, czy odbyła Sakrament, a dziewczynka słuchała radcy, który jej mówił:

- Spowiedź, co to spowiedź? Wyznanie grzechów, có to grzech? A gdzie człowieka wola i swoboda? Czym e jest umysł jego, czym krytyka, jaka racja w wypowiedaniu swoich myśli i uczuć klesze? Cóż my warci, jeśli sami wyznajemy, e nasze pragnienia i chęci złem są. Więc zgwałcenie natury i ywot ślimaczy ma być celem i ideałem? Po có więc myśleć, pragnąć, badać, yć w ogóle?

Zbydlęcieć zatem i basta.

Więc Leonka nie szła do spowiedzi, a matka nie pytała, czy była w kościele, i tak mijał rok za rokiem. Wyzwalała się tedy powoli z pęt wskazanych przez Rafała. Religia zerem jej była, a jeśli z niej nie drwiła i nie szydziła jawnie, to tylko dlatego, e małowówną była z natury i czas miała nauką zajęty, ale poganką stała się do gruntu i zapatrzona w mistrza, za dumę sobie miała prześcignąć go w tej swobodzie ducha. Podniecana jego pogardą dla kobiet zabijała w sobie delikatność i dobroć wrodzoną, uległość i słodycz i litość, zohydziła sobie wszelkie serdeczne uczucie. Postanowiła mu dorównać.

Najcię ej jej było pogodzić się z myślą opuszczenia matki starej i słabej, chocia i to nale ało do programu. Od dawna wprawdzie stała o własnych siłach, ale za rok w świat daleki odlecieć miała, sama zupełnie, po wiedzę wy szą do zagranicznych uniwersytetów. Tak słuszność chciała, rozum i wola, a jednak na myśl o tym odlocie czuła wewnątrz dziwny niepokój i gorycz. Nie była jeszcze dość silną, potrzebowała jeszcze opieki mistrza i mocy jego teorii. A teraz mistrz ją opuszczał. Zostanie sama.

Wahania ją oblegały często, niepewności i skrupuły; kto ją bez niego nauczy i wzmocni? Ścisnęła gorejące czoło dłońmi i gryzła spieczone wargi. Nie wrócę ju tutaj! powracały jej uparcie do myśli słowa Rafała.

A co ja zrobię bez pana? chciała spytać, ale nie śmiała. Wstydziła się wyznać swą słabość i rozpacz. Robakiem lichym czuła się wobec jego potęgi. Nie zdeptał jej dotąd i dostrzegł pod stopami; nic dziwnego, e teraz, odchodząc, nie myśli o niej i zostawia obojętnie wśród swej drogi. To logiczne! eby nie bolało tak okropnie! On nie zwracał na nią uwagi. Na świecie istniała dla niego tylko jedna jednostka - on sam; co go obchodziły wra enia i myśli tego dziecka?

Wstał, wypowiedziawszy swe credo, * (*Credo – poglą dy, przekonania wyznawane przez kogoś*) i począł mierzyć pokój krokami. Spojrzała za nim.

- Panie - rzekła z cicha - a znajdziemy tę prawdę wtedy, gdy się wyzwolimy zupełnie? Czy będzie w nas spokój, czy spoczniemy kiedy?

- Spocząc, ładna perspektywa! Spokój to śmierć. I pani takie brednie wygłasza, jakby nie wiedziała, e podwaliną i treścią całego świata jest ruch i walka! Kto chce spokoju, niech gnije!

- A po tej walce co będzie naszą nagrodą? - badała dalej.

- Samopoznanie, cześć dla siebie samego i światło.

- I jest prawda, i wytłumaczenie wszystkiego, i dostępna dla nas, i jedna to prawda?

- Wszystko dostępne dla wiedzy i rozumu, i tajemnic nie ma dla mędrca!

- Daleko ten cel, daleko! - szepnęła ałośnie - i tak cię ko do niego dą yć tak samej! I czy się dojdzie?

- Cha, cha! - zaśmiał się szyderczo. - Więc pani pracuje dla kompanii? Więc pani cię ko samej? Baranie nawykniecie ciemnych wieków! Razem! cha, cha! I wątpi pani? Winszuję! Po có było zaczynać, gdy się nie jest pewnym końca?

Rumieniec wstydu wystąpił na jej twarz.

- Ja nie ustane, nie! Tylko...

Zatrzymał się przed nią i czekał.

Podniosła głowę i w ar jego źrenic utopiła swe zmęczone, bezbrze nie smutne oczy.

- Tylko co? - spytał niecierpliwie.

- Tylko mi tak straszno zostać bez pana! - wypowiedziała z cicha.

Ruszył po swojemu lekcewa ąco brwiami.

- Tylko tyle! - wyrzekł obojętnie. - No, to nic wa nego.

Znowu zaczął chodzić po pokoju, skrzy owawszy ręce na piersi.

Drugi raz tego wieczora ktoś go ałował niezasłu enie; nudziło go to wreszcie.

- Za mało pani trzeźwa! Có to ma do rzeczy odjazd mój lub pozostanie?

Człowiek sobie powinien być wszystkim. Mo na zożydzić sobie kogoś, ale ałować lub bać się pozostać bez pomocy, co za nędza! Zostawiam pani ksią ki przecie w razie wątpliwości. Zresztą, te wasze porywy, a... ba, słomiany ogień!

Nie wiem, czy się jutro zobaczymy, zapewne nie. Dziś się po egnamy. Niech pani szanuje zdrowie, radzę, bo o krok jesteście od wariacji, przy tym anemia was po era. Dobranoc zatem.

Raczył podać jej pierwszy rękę i ukłonił się lekko.

Została samą. Lekcje nie były skończone i raz pierwszy w yciu nic jej to nie zajmowało. Płomyk lampy dogasał i kopcił. Ksią ki i zeszyty walały się po stole; nie zebrała ich, jak zwykle, do tornistra; nie szła te spać i wypocząć.

Wstała automatycznie i słaniając się podeszła do okna. Noc za nim roztaczała się ciemna i głucha. Turkot uliczny zasypiał na godzin parę. O, jak ją bolało okropnie! Skronią oparła się o chłodną szybę i przycisnęła rękoma piersi.

Co jej się stało dzisiaj? Czy była to ju wariacja? On tak mówił; mo e! On ju nigdy jej nic nie powie... nic... on ju nie stanie przed nią, ju nie będzie za ścianą doradcy i mistrza. Będzie sama!

Ból w piersiach rósł, podchodził spazmem do krtani; dusiło ją; pod powiekami, gdzieś w głębi paliło ogniem; dreszcz febryczny rzucał ją w nierównych odstępach. Otworzyła wargi, odetchnąć chciała głęboko i jęknęła.

Wzdrygnęła się przera ona, czy nie zbudziła kogo, ale samą była ze swym bólem w uspionym, cichym mieszkaniu. Zaczęła jej mózg ogarniać mgła; kuźnią pełną ognia, huku i czarnych cieni była biedna głowa; za ka dym oddechem krzywiła się z cierpienia. Raz jeszcze ocknęła się przytomnie. Spojrzała na stolik swój roboczy i zaniepokoiła się bezładem ksią ek i zeszytów; chciała iść i poskładać swe rzeczy do tornistra; lecz odległość od okna napełniła ją lękiem; czuła, e nie dojdzie.

Potem znowu odeszła ją pamięć. Zdawało się jej, e z dziaduniem starym wychodzą na wielką łąkę czarnym lasem otoczoną. Złocisto było od słońca, rojnie od ptaków i muszek milionów, a tak wonnie i ciepło, e się jej rozszerzyło dziwnie serce i dzieckiem się poczuła małym i swawolnym. Więc objęła starca za szyję i zajrzała w jego oczy. A nie ślepe ju były jego źrenice, ale jasne i nad wyraz serdeczne i litościwe dla niej. Nikt tak na nią jeszcze nie patrzył i nikt tak nie mówił jak ten starzec dawno umarły.

- Chodź, dziecko ty moje, biedny robaczku szary, chodź! Teraz ja ciebie poprowadzę z sobą, na łąki wonne, w lasy ciche, w pole szumiące! Pisklęta ci po gniazdach poka ę i jagody chłodzące zbierać będziemy. A teraz spocznij w tej trawie puszystej, a ja ci do snu zaśpiewam. Zaśnij, maleństwo sieroce, zaśnij!

W saloniku, gdzie kopcił i dymił knot dopalającej się lampki, rozległ się głuchy łoskot padającego

ciała. I czuła w swej malignie Leonka, e utonęła cała w ziołach pachnących, a drobne źdźbła traw łechtały ją z lekka po twarzy i czole, ptaszek sinozłotawy na rękę jej spadł i gładziła go, a nad nią unosił się głos starca, cichy i łagodny, nutą jakiejś nieznanej piosenki.

Le ała w saloniku pod oknem, na twardej podłodze; łechtały ją po twarzy nie trawy, ale frędzle starego, wypłowiałego dywanu rozestanego koło kanapki, i nie złoty ptaszek na rękę spoczął, ale kilka wielkich tarakanów, uzuchwalonych nocą i ciszą, wypełzło ze szczelin i pełzało po niej. Wreszcie i to ostatnie znikło jej sprzed myśli. Szara mgła zasnuła obraz gorączkowy i ju nic nie czuła, nie pojmowała...

Nazajutrz kucharka znalazła ją bezprzytomną, jak ar czerwoną i nieczułą na wołanie. Zbudziła matkę. Powstał zgiełk i lament. We dwie podniosły dziewczynkę i zło yły na łó ku, na tym posłaniu, na którym biedna marzyła zawsze, by się wyle eć, wyspać i wypocząć.

Pani Brzezowa, oszołomiona niespodziewanym nieszczęściem, stała jak słup i oniemiała. Kucharka zapukała do drzwi Rafała i opowiedziała mu zdarzenie.

Wstał natychmiast i po kilku minutach przyszedł do chorej. Obejrzał ją, dotknął głowy, posłuchał oddechu, policzył puls i ruszył ramionami.

- Będzie zapalenie mózgu! - mruknął.

- Mogę się pochwalić darem spostrzegawczym; prorokowałem to wczoraj! Ruszaj po lód i okładaj nim głowę! - zakomenderował słu ącej.

Ach, Bo e, ach, Bo e miłosierny!

- zaczęła jęczeć pani Brzezowa.

- Mój dobrodzieju, co to takiego jej się stało? Nigdy się nie skar yła, nic nie bolało, wczoraj apetyt miała taki dobry. Ach, Bo e! A prędko to przejdzie?

- Bardzo prędko! - odparł z drwiącym uśmiechem.

- Do trzech dni będzie koniec.

- Mo e to szkarlatyna, mój złoty panie Rafale.

- Mówię pani, zapalenie mózgu przecie.

- Ale przejdzie do trzech dni.

- A tak. Do trzech dni najdalej. Jest czterdzieści stopni gorączki, jeszcze stopień, to się białko ju zetnie, jak w jajku... i będzie koniec!

- Bo e miłosierny! Co to koniec, co pan gada! Moje jedyne dziecko! Jakie białko!

Ratunku! - wrzasnęła starowina ręce łamiąc.

Student popatrzał raz jeszcze na chorą. Leżała biedna z odrzuconymi rękoma, po których kurcz przebiegał, sama nieruchoma, chuda i wątła jak ptaszę daleką drogą wycieńczone i już konające. Przez trochę przymknięte spalone usta białeły zęby i buchał ar oddechu. Policzki miała jak cegła ciemne; czarne powieki spuszczone, a na czole wir zmatwanych czarnych włosów. Wyglądała teraz dopiero tym, czym była. Istotą bez ciała prawie i sił, sztucznie pędzoną rośliną, atomem nędznym i nikłym.

Była to jego pierwsza ofiara na drodze życia. Odwrócił się obojętnie.

Bardzo brzydką była.

- Przyślę pani doktora! - rzekł i wyszedł.

Wstąpił do swej izdebki, wziął pugilares z papierami, palto, czapkę i zamknęły się za nim na zawsze drzwi mieszkania. Nie miał co robić więcej! Zadał

truciznę, która już wsiąkła w organizm umysłowy, rzucił urok, co już opętał duszę.

Mógł iść dalej swą drogą morderca i demon...

III

Jeden pociąg uwiózł Rahożów i Rafała z Lachnickim. Stary nie dał

synowi oprzytomnieć; musiało być krucho koło Feliksa, niepewnie w duszy ojca, porwał biednego studenta, wydarł z pośrodką pokus i stosunków, i zabierał go z sobą co rychlej.

Na dworcu kolei spotkali się niespodzianie. Adam na widok chlebodawcy ojca poczerwieniał i nawykniem rodowym pochylił się pokornie do ręki jego.

Rafał uklonił się ledwie i zaszył w tłum.

Je eli się bał artów współlokatora, to się na teraz omylił; zbiedzona, pobladła i zafrasowana twarz młodego Rahozy dowodziła jasno, e był tylko sobą zajęty i mocno wystrofowany. Oglądał się za miastem jak rekrut i stracił zupełnie złoty humor, tak zachwalany przez panią Brzezową.

- A, to ty! - pozdrowił Lachnickiego Rahoza.

- Gdzie to pan Bóg prowadzi?

- Do ojca na wakacje! - odparł student nieśmiało.

- A, prawda! Słyszę, na wielkiego człowieka się kierujesz. Stary mój Lachnicki sfiksował pod koniec. Nauki, nauki! No, niechby jeszcze! Ale tutaj to ładne, panie, nauki! Tu nie nauki, ale nadzieje. Moje uszanowanie, panie! Na koniec zamruczał

do siebie i po egnął młodego łaskawym skinieniem. Wtem coś sobie przypomniał.

- Hej, Adam, poczekaj! To Rafał Radwan szedł z tobą? Znacie się?

- Koledzy jesteście!

- Aha! - nie pytał dalej, przynaglony głosem dzwonka.

Nie zobaczyli się więcej. Rozdzieliło ich długim szeregiem wagonów bogactwo i bieda. Rahożowie spoczęli na aksamitach, tamci dwaj na twardych deskach, w wagonie pełnym zgiełku, ró nej hałastry i zaduchu tytoniu.

Usiedli u okienka. Rafał zagłębił się w czytaniu. Lachnicki w migające krajobrazy wzrok utkwiał i rozmyślał uśmiechając się jasno.

- Czy oddałeś moje ukłony pannie Leonii? - zagadnął kolegi.

- Chora le y - odmruknął Rafał nie przestając czytać.

- Chora? Co jej takiego?

- Zapalenie mózgu.
- Co ty mówisz! Skąd? Wczoraj zdrowa była.
- Ka dy w przeddzień choroby jest zdrów.
- I zostawiłeś ją tak bez opieki, Rafale!
- Co? - Student oczy podniósł na głośniejszy ton towarzysza.
- Czego chcesz?
- Pytam, jak mogłeś zostawić biedne dziecko i słabą kobietę w takim nieszczęściu?
- A mnie co do tego? Czym ja ich ojciec, czy kochanek?
- Nie, ale winowajca moralnie! Wywiodłeś dziecko na swoje tory i doprowadziłeś do choroby. Co będzie, jak umrze?
- Klecha zamamrocze i pochowają!
- A ty wobec Boga i swego sumienia będziesz mordercą!
- Zaczyna się! Zastrzegłem sobie, e mi bredni prawić nie będziesz. Mo emy się po egnąć na pierwszej stacji. Tymczasem chcę czytać.

Adam spuścił głowę zgnębiony. Nie odzywali się więcej do siebie i jechali tak długie godziny. Pod wieczór, gdy ściemniało zupełnie, Rafał ksią kę rzucił, zapalił cygaro, ziewnął i raczył przemówić:

- Daleko jeszcze?
- O, daleko! Całą noc, dzień i drugą noc! Staniemy u kresu około południa.
- Winszuję. Ładny kurs!

Znowu zapanowało milczenie. Mo na by ich było wziąć za dwóch przypadkowych sąsiadów, gdyby nie wzrok serdeczny i smutny, który niekiedy dzikiemu koledze rzucał Adam.

A świat widziany z okien wagonów coraz był inny, coraz barwniejszy; na południe niosła ich para ku nie znanym Rafałowi stronom. Nareszcie wzeszło słońce nad krajem płaskim i pustym, czarnym od sośniny, ółtym od piasku; osady były rzadkie i mizerne, miast prawie adnych.

Lachnicki przez okno się wychylił i wciągał z rozkoszą powietrze w płuca, promieniała mu twarz.

- Rafale, spójrz no na nasze strony! - zawołał. Radwan obojętnie wyrztał.
- Obrzydliwość! - zawyrokował lakonicznie.

- Niepozorne, prawda, ale jakie miłe. Smołkę czuć i macierzanę jak w naszym borze, w Rahoźnej! Zobaczysz, jak tam ślicznie. Panna Kazimiera zna Włochy i Szwajcarię, a twierdzi, że nad nasze lasy i pola nic nie ma piękniejszego.

- Głupia ta twoja panna Kazimiera.

- Rafale!

- No i có? Czy to jakaś wasza święta?

Zapał Adama ustał. Przestał dzielić się wra eniami. U okienka wsparty, liczył wiorsty mijane. Ogarniało go nadzwyczajne dr enie i niepokój.

Nareszcie zagwizdał pociąg i zabudowania stacji zarysowały się tu .

Chłopak wychylił się do pół ciała i wypatrywał czegoś. Nagle się cofnął.

- Doje d amy nareszcie! - rzekł Rafał.

- Tak. Widać powóz z Rahoźnej.

- Prawdopodobnie nie po nas.

- Ej, nie. Do ojca nie pisałem nawet, chcę mu zrobić niespodziankę. To Rahożów zaprzęgi.

Pociąg stanął. Z przedziału pierwszej klasy wysiadł ojciec z synem, a naprzeciw nich wyszła z powitaniem panienka, elegancko ubrana, ładna, z powa ną marzącą twarzą i bardzo wdzięcznym obejściem. Za nią lokaj szedł, a zewsząd uchylały się czapki z uszanowaniem przed starym Rahożą. W okolicy swej królikiem był.

Z przedziału trzeciej klasy wysiadło te dwóch ludzi, ale ich nikt nie spotykał i nie czapkował. Wydostali się niepostrze eni za budynek stacyjny w chwili właśnie, gdy siwosze Rahożów ruszały z miejsca.

Koła powozu otarły się o nich prawie i spostrzegła stojących panienka tylko.

Spostrzegła i przechyliła się radosnym ruchem poza powóz, z uśmiechem na ustach. Adam zdjął czapkę i tak e się uśmiechnął, zaczerwieniony, dr ący, zapominając o ukłonie.

Siwosze zwróciły i pomknęły jak wiatr. Student jeszcze stał, z odkrytą głową, zapatrzony w kłęb kurzu.

- Godzinki odprawiasz? Czego stoimy? - ocucił go Rafał.

- Daruj, kolego... Zamyśliłem się.

- Czas właśnie po temu. Cóż dalej robimy? Jedziemy, idziemy, czy pozostajemy w miejscu?

- Chodźmy piechotą. Poprowadzę cię ścieżkami przez pola. Droga dalej, a tak będziemy za godzinę u siebie. Dobrze?

- I owszem.

Poszli tedy miedzami, wśród łąnów zbóż. Dzień był upalny i cichy, tylko szemrało to swą kołysankę, zawodziły skowronki i muszki niewidzialne napełniały powietrze cichutkim szmerem skrzydełek.

- A co? Dobrze ci, Rafale?

- Dobrze... - zaburczał raz pierwszy bez krytyki.

Z pól wyszli na jałowy, piaszczysty wzgórek gęsto krzyżami pokryty. Adam stanął.

- Cmentarz wioskowy - rzekł. - Spójrz no Rafale. Przed nami to dwór Rahoźna i wieś. Ładna sadyba.

- Byłe tam nie iść... Niech sobie będzie ładna.

- Nie pójdziemy. Nasza droga na prawo, przez rzeczkę. Ot, jak te bory bezbrzeżne czernieją, to ojca mego zarząd, a tam koło drogi, w kącie, nasza leśniczówka.

Widzisz? Pójdziemy zygzakiem, na kładki. Gołębnik ojciec nowy zbudował dla swych faworytów... i psy nasze szczekają. Chodźmy.

Ruszyli różnym krokiem. Rzeczułka mała była zupełnie i na wiosnę tylko chyba straszna, teraz przechodziło się ją z łatwością po niedbale rzuconych bierwionach. Za nią las stał nietknięty, stuletni, a dotykała drogi piaszczystej sadyba porządna, zakrawająca na dworek szlachecki.

Adam, nie szukając bramy, niski płotek przesadził i przez podwórze niewielkie ruszył ku domkowi, który, fasolą i powojami obrosły, świątecznie wyglądał.

Pod gankiem psów gończych sfora i jamnik pod arty porwały się na jego widok ze szczekaniem, a strzelec wypoczywający na ławce w cieniu podniósł się tak e i wyrżał przysłaniając dłonią oczy od słonecznego blasku.

- Adaś! - wykrzyknął z wybuchem radosnego zdziwienia, otwierając do syna ramiona. Z uścisku i czułości, z jaką patrzeli na siebie, znać było przywiązanie wielkie i szczęście; wszystkim musieli być dla siebie.

- A toś mi, synku, niespodziankę sprawił. Czekałem listu pierwszej i nie spodziewałem się ciebie prędzej, jak za parę tygodni. Wczoraj panią przejeżdżała tędy do Sarnowa i spotkawszy mię, pytała o ciebie. I pana nie widać z powrotem... Nie słyszałeś? Moje nasz młody niezdrów?

- Zdrów, dzisiaj przyjechali. I ja nie sam, tatku: z kolegą przyjechaliśmy na wakacje. To mój ojciec, Rafale.

Stary spojrzał w twarz gościa i bez wahania podał muskularną dłoń. Nie pytał nawet, jak się zwał ten

kolega, którego syn pod dach mu przywoził.

- Dziękuję panu za odwiedziny - rzekł z prostotą.

Rafał się skłonił w milczeniu i zaraz zawrócił na podwórze, oglądając obojętnie okolicę. Spod oka widział, jak ojciec z synem usiedli blisko siebie na ławce i rozmawiali wesoło a serdecznie.

Czuł się zbyt czynnym; a nie chcąc przeszkadzać, oddalił się jeszcze bardziej, do pierwszych drzew boru, rozciągnął się niedbale pod świerkiem, ręce pod głowę założył, przez siatkę gałęzi zapatrzył się w niebo i, gwi d ąc przez zęby, odpoczywał.

Drzewa boru, przez trzy pokolenia Lachnickich strze one, miały dla niego zwykłe swe, powa ne szumy. Nie ostrzegły starca, swego opiekuna, e szatan wstępował pod dach jego poczciwej chaty, i na głowę tego demona nie szły z ich wierzchołków gromy. A on szydersko się uśmiechał chwilami, w skraj nieba zapatrzony, przypominając widziane przed chwilą powitanie.

Nie miał on nigdzie na świecie takiego miejsca niewoli, co by się zwało domem rodzinnym; nie było takiego człowieka, co by miał prawo głupie do serca go przytulić i dzieckiem swym nazwać. Wolnym był!

A tamci, na ganku leśniczówki, nie czuli swej niewoli. Złotowłosa głowa chłopaka idealisty pochylała się często do twardej dłoni ojcowskiej, a siwe oczy starca patrzyły nań ze łzami rozczenia i dumy. Nie spytał syna nawet o rezultat egzaminów: był pewnym jego pracy i wytrwania, i słuchał, promieniejąc, świetnych projektów młodzieńca.

- Sto razy na dzień dziękuję wam, tatusiu, eście mi nie bronili tej kariery, nawet wbrew yczeniu pana Rahozy. Nie przez głupią pró ność wymówiłem się od spadku pracy po was. Wyście mi przykład dawali świętej słu by i nie wstyd być najemnikiem! Alem ja tak pragnął innej drogi, tak pragnął! I pozwoliliście! Teraz za lat dwa skończę zupełnie i będziecie mieli pociechę ze mnie. Duszę dam za chorych i cierpiących!

- Adaś, pamiętasz, coś mi obiecał? Chwały ni świetności szukać nie będziesz?

- przerwał stary niespokojnie.

- Nauki skończywszy, tu wrócisz do naszej Rahoźny i w miasteczku osiadziesz.

Nie będę ja ci cię arem i tylko czasem z leśniczówki do pana doktora przyjdę, a potem mi oczy zamkniesz. Tej zimy zaniemogłem trochę, i wiesz, daj mu Bo e z dzieci pociechę... przyjechał odwiedzić mnie sam nasz pan i powiada, gdym mu się na starość skar ył:

"Nie turbuj się... póki yjesz, nie będzie w leśniczówce Lachnickich innych panów. Mnie dobrze, gdy ty sobie siedzisz za piecem, byleś był. yj sto lat spokojnie."

"Panie mój, dobrodzieju" powiadam. "Byle Adaś na doktora zdał, to mi chleba kawałka na starość nie po ałuje, a panu sługi trzeba, a nie inwalidy na stra y lasu."

Rozgniewał się pan. "Za có ty mnie krzywdzisz, Lachnicki?" powiada.

"Synaś nie miał, a u mnie byłeś i pomimo syna zostaniesz. Postarzeliliśmy razem, pochowają nas razem."

I słusznie. Ale jak ty w miasteczku osiedzisz, to zajdę często tobą się nacieszyć. Toć ja przez całe ycie nigdy tobie się nie przypatrzył do woli, a zawsze przez te nauki. Wpadniesz, odetchniesz i znowu ciebie nie ma. A ze mną potem na długą zimę tylko al i tęsknota zostają!

Stary westchnął, pogładził głowę syna i zapatrzony z łagodnym uśmiechem na szary gościniec za wrotami, mówił dalej, rad, e po długich miesiącach tę tęsknotę swoją mo e z serca w słowach zrzucić:

- Tak mi zawsze w yciu prędko wszystko mijało! Matkę mi starą ojciec zostawił, taką świętą! Ledwie strą objął, dla niej i przy niej pracować zaczął, a pierwszej jesieni zostawiła mię sierotą. Potem matka twoja do pustki tej przyszła po latach. Zaśpiewała mi, zaludniła chatę, świeciło przy niej słońce dniem i nocą, latem i zimą. Dwa lata wszystkiego! Nie nacieszył się ja i nie napatrzył, i ju jej nie stało. Ot i została znowu pustka, i gorsza, bo dwie sieroty, ty i ja!... A potem tyś podrósł i tak e poszedł mi z oczu. Nauka ciebie wzięła; ile to ju lat

- Dziesięć, tatusiu, i jeszcze dwa trzymać będzie.

- Dwanaście lat... Nie tylko prze yć, ale i wypowiedzieć cię ko. Tak i tej chacie sądzono pustką stać wieczystą. eby nie ten bór kochany i praca, toby człowiek nie wytrzymał. Ale bór wierny przyjaciel, a praca troskę goi; tak i zeszło ycie pomaleńku! Byle się jeszcze ciebie przed śmiercią doczekać i nie chorować długo, to i do swoich się pójdzie z radością!

- Tatusiu, a mnie za co sierotą rzucić! - szepnął chłopak ałośnie.

- Tobie, dziecko, słonko wzejdzie, a memu zachodzić pora. Tobie gniazdko słać, a mnie odlatywać, jak urawiom na jesień. Tobie onę brać i pracować, a mnie w mogile spać i odpocząć. Tak to, dziecko, Bóg kazał!

- Tatusiu! - szepnął Adam z oczyma pełnymi łez.

- Ot tobie masz! Tak to ciebie przyjąłem. Czego płaczesz? Daj pokój! Głupi ze mnie stary! Ot, powiedz lepiej o sobie: nie chorowałeś? A mo e ci pieniędzy było za mało?

- Za wiele, tatusiu, a zdrowie mam elazne! Nie gniewacie się wy, em wam gościa bez pytania przywiózł?

- Uchowaj Bo e! Kolega to twój, pewnie dobry i poczciwy.

- Kolega. Biedny on bardzo i nikogo swego nie ma na świecie. Kocham go bardzo, biedaka.

- To i dobrze, eś go zaprosił. A młodego naszego pana widywałeś kiedy?

- Widywałem u Rafała, ojczy, bo oni razem mieszkali.

- Uczy się on dobrze?

- Nie wiem, tatusiu. Rysuje ciągle. A u nas we dworze co słychać nowego?

- Ot, wszystko po starem

- Panna Kazimiera zdrowa?

- Zdrowa; kochane dzieciątko! Jakem chorował, co dzień przyje d ała. Doktora przysłała, nosiła mi takie specjały, jakich i z nazwy nie znałem, i siadywała w chacie jak u siebie, jakby nie z pałacu wyszła.

- A za mą nie idzie?

- Czego jej się śpieszyć? Na jej skarby i piękność nie zabraknie kawalerów. Ju nawet jeden był jesienią, ksią ę pono, ze stolicy samej.

- Widział go ojciec?

- Widziałem, bo polowanie na łosie dla niego urządzali. Świetny pan i bardzo bogaty. Pięćdziesiąt rubli mi ofiarował po łowach.

- I wzięliście, tatusiu? - zagadnął chłopak niespokojnie.

- Tobie posłałem na święta.

Lice chłopca zbielało i zadr ał cały, ale milczał.

- Trzy razy przyje d ał.

Ciekawy byłem, jak się to skończy; więc kiedyś, gdy panienska siedziała nade mną chorym, wzięłem na odwagę i pytam: "Mo e ten cudzy pan zabierze nam panienkę?" Nie rozgniewała się wcale, nawet się uśmiechnęła: "Nie zabierze mnie aden cudzy pan, panie Lachnicki, zostaniemy razem w Rahoźnej!"

Wiem ja, e tak nie będzie, e znajdzie się inny, co serduszko jej weźmie, i ją nam weźmie, ale ucieszyła mnie ta mowa. Chciałbym ja szczęścia dla niej, ale al pomyśleć, e jej kiedyś we dworze naszym nie stanie. Taka dusza anielska, taka nad wiek powaga i pamięć o wszystkim. Gdzie biedny a chory, a smutny, tam i ona.

Chłopak słuchał, promienny, z uśmiechem na ustach.

- Gdy stary urwał, oczy podniósł i zapytać o coś chciał, ale się powstrzymał, czy nie odwa ył, a leśniczy, wpadłszy na ulubiony temat, prawił dalej:

- Sługi my, a ona pani, a jednak pamięta, i nie wstydzi się wspominać tych czasów, kiedy ciebie dzieckiem do dworu wzięli, ebyś z łaski pańskiej razem z paniczem przy Niemcu się uczył.

"Co słyhać o panu Adamie?" pyta, ile razy mnie spotka, a onegdaj przeje d ała tędy do Sarnowa i zobaczyła mnie na skraju lasu. "Czy pan Adam jeszcze nie przyjechał?" pyta.

"I nie przyje d a, i nie pisze, niecnota!" odpowiadam.

"Zupełnie, jak nasz Feliś; ojciec pojechał po niego", mówi wesoło.

Adaś, trzeba nam jutro pójść z powitaniem do pałacu, bo i pan pytał się o ciebie kiedyś.

- Pójdziem, ojcze! - odparł chłopak cicho.

- Ale ja tu gadam i gadam, i nie pamiętam, e wy głodni. A tu i stara Katarzyna, jak na złość, dzisiaj się uwolniła na jarmark. Czym e ja was przyjmę?

- Mniejsza, tatusiu. Byle czym. Rafał mało co je, a mnie mleka się chce bardzo.

Ale gdzie on?

- Mo e pod jodłami odpoczywa. Poproś go na wieczerzę, a ja się sam zakrzątnę.

Patrz, ju jamniki gotowe za tobą iść. Poznały psiska poczciwe ciebie po roku!

Adam łaszące się psy gładził i pieścił, i tak w kompanii ruszyli w stronę jodeł.

Przy wieczerzy leśniczy zagał rozmowę z przyjacielem syna. Jedli w du ej izbie, słu ącej jednocześnie za kuchnię, mleko świe e w glinianych misach i chleb czarny. Trudno było o prostszy posiłek, ale Rafał nie dziwił się ani krzywił.

Dopiero na tłumaczenie i przeprosiny gospodarza zajrzał do swojej misy uwa niej i ramionami ruszył.

- Nawet nie wiedziałem, co do ust niosę - odparł krótko.

- Pan pewnie po drodze zmęczony?

- Nie.

- A podobała się panu nasza okolica?

- Widziałem piękniejsze.

- No, zapewne! Pan pewnie wiele podró ował?

- Nie tyle, ile bym pragnął.

- Chciałbyś podró ować? - wmieszał się ywo Adam, widocznie uradowany z nowego odkrycia.

- Có cię tak cieszy?

- Bo odkryłem w tobie choć jedną chęć, mnie wspólną. Po arłem, w szkołach będąc, tysiące opisów podró y i o niczym innym nie marzyłem, tylko by te miejsca zwiedzić, poznać, a wreszcie gdzieś w jakiej głuszy osiąść, zało yć fermę i... nagle chłopiec się zająknął, poczerwieniał i dodał po przerwie: - i... pracować!

Rafał spojrział przelotnie na niego i pogardliwie się uśmiechnął.

- No i te wszystkie plany bujne jak zwykle nie wyszły z zakresu marzeń.

- Jak ebym mógł je wprowadzić w czyn! Nie mogłem przecie uciec ze szkół, a na wakacjach ju o podró ach nie myślałem.

- A ja, co wakacje, jeszcze w Monachium, brałem torbę na plecy, kij w rękę i szedłem w drogę przed siebie. Nie sam; z kolegą, z Bertem.

- Z jakim Bertem?

- Profesora Andenberga synowcem (bratankiem). Stryj z moim ojcem kolegował; mnie ojciec Bertowi oddawał pod opiekę. Starszy był o lat dziesięć ode mnie.

Poznałem wtedy całą środkową Europę. Po śmierci ojca co rok to samo robiłem, do ostatnich lat.

- To z pana piechur znakomity! - rzekł wesoło Lachnicki.

- Na przyszłe wakacje powędruję znowu.

- I znowu z Bertem! - westchnął Adam.

- Bert daleko teraz, a mnie ju opieki nie trzeba. Sam pójdę!

Przez otwarte okno chłodny powiew wieczora wchodził do wnętrza domostwa, rzeźwiąc po skwarze dziennym.

Rafał podał leśniczemu cygaro, sam zapalił drugie i wyrzwał na podwórze.

Adam oparł się te o futrynę i rozglądał się po znanej okolicy.

- Ta droga, co idzie od dworu i miasteczka, do Sarnowa. Chcesz, przejdziemy się trochę. Poka ę ci całą Rahoźnę.

Wyszli; za wrotami leśniczówki, w prawo, gościniec biegł i ginął w borze, w lewo, spadał nieznacznie ku rzeczulce. Zwrócili się w tę stronę i, minawszy zawrót, przystanęli na chwilę.

Szeroki krajobraz mieli przed sobą, oświetlony z boku złotym zachodem.

Gościńiec, minawszy bór, roił się uprawnymi polami do rzeczki i mostu. Dalej, rozrzucone bezładnie, wtulone między sady, rozścielało się miasteczko ukoronowane krzyżem cerkwi i kościoła, czerwone od dachówek. Długa aleja włoskich topoli łączyła je z dworem, co stał odosobniony, trochę wyżej, i świecił

białymi murami, przeblaskującymi tu i tam spośród niebotycznych drzew.

Wyglądał na magnacką rezydencję.

Adam ręką zakreślił krąg od brzegu do brzegu horyzontu.

- Wszystko to pana Rahozy! - rzekł.

- Ten folwark i ten drugi, i te lasy, i pola: wszystko! Ach, jaki on bogaty!

- I głupi! - dodał lakonicznie Rafał.

- Nie. Mylisz się! Rubasznie wygląda i dobrodusznie. Szczęśliwy, kto go w gniewie nie widział jednak. Widziałeś go w obcym mieście, nie widziałeś w Rahożnej. Tu on dopiero król i pan! Wszystko się przed nim chyli, jak kłosa pod wiatrem.

- Nieszczęśliwy patent rozumu tych wszystkich.

- Szczęśliwyś, e nie moesz być w potrzebie stawiania mu czoła.

- A mo e on powinien się dlatego czuć szczęśliwym! Adam tylko głową potrząsnął niedowierzająco.

Szli jakiś czas w milczeniu drogą wśród łąnów płowiejącego już trawy.

Zapach zboża, ziemi zoranej i ywicy ogarniał ich kłębami. Cisza wieczora zstępowała na ziemię, tylko od miasteczka i wiosek dalszych biegło z wiatrem skrzypienie studziennych urawi, porykiwanie bydła i dźwięki wierzbowych ligawek. * (*Ligawka - jeden z najstarszych polskich instrumentów muzycznych, rodzaj długiej drewnianej trąby wydającacej przenikliwy, donośny głos.*)

- Co te tam w mieście dusznym porabia biedna mała Leonka Brzezówna?

- ozwał się Adam.

- Jej to potrzeba takiego powietrza, ciszy i długiego wypoczynku. Chciałbym wiedzieć, co się z nią dzieje?

- Umarła pewnie - odparł obojętnie Rafał.

- Pan Feliks będzie osierocony po wakacjach. Ani mnie, ani jej! Na tobie będzie ostrzył swój dowcip!

- Biedne dziecko! Na co jej się zdała taka męka?
 - W rezultacie ka demu na nic się lepszego nie zda. Tote głupi ka dy, co się męczy.
 - A ty czy u ywasz spokoju?
 - Ja robię, co mi się podoba.
 - Mniej więcej ka dy tak robi, bo ka dy grzeszny. Czy jednak, gdy pragniemy czegoś, co po ludzku głupie lub zuchwałe, a według sumienia godziwe, a mękę stąd mamy, czyli wypada rzucić i poświęcić nie dokonane dlatego, e cię kie?
 - Kto nie osiągnie swego pragnienia, ten nędzny i lichy.
 - A jeśli padnie w pół drogi?
 - To osiągnie nicość. I będzie po nim jak po zgaszonej łożówce: trochę swędu, dymu i ciemność.
 - Jakie to szczęście, e to fałsz! - rzekł spokojnie Adam.
 - Daj pewnik na poparcie twego zdania!- zawołał Rafał zapalając się do dysputy.
 - Równie, jak ty na swoje, nie mogę go dać. Ale czy ty wierzysz w widzenia?
 - dodał stając nagle.
 - Jak to? W pukające stoliki, w białe damy, w cuchnących diabłów i upiory?
 - Nie. Ale w takie porozumienie, łącznik pozagrobowy z ukochanym po śmierci.
- Czy nie przypuszczasz, e są sny prorocze, myśli nadzwyczajne, niewytłumaczone przeczucia.
- No, więc có ! Ty się tym zajmujesz? Dajesz wiarę podobnym bajkom nianiek?

Ładny z ciebie będzie doktor.

- A có to ma do medycyny? Ja pod skalpelem duszy nie szukam, ale organów, nie filozofuję z trupem lub chorym, ale cierpienie badam i środka na nie szukam.

Wierzę przy tem, e gdy umrę, wrócić tu mogę. Więc ponieważ pewny jestem, e umrę przed tobą, zobaczysz mię lub poczujesz w jakiejś chwili wa nej.

Zapamiętaj; obiecuję ci to najsolenniej.

Stali na moście ju i słońce zupełnie się skryło. Rzeczka ledwie widoczna płynęła wąską niteczką wśród wiru, na szczytach drzew dworu i krzy ach kościoła został ostatni blask zachodu. Oczy Adama, utkwione nieruchomo przed siebie, wpół przymknięte i zmienione, czytały, zda się, coś w chmurach białych, na skłonie horyzontu. Słowa mu padały z ust dziwnie uroczyście i dr ały długo w czystym a

cichym powietrzu.

Rafał, oparty o parapet, ćmiąc cygaro, słuchał obojętnie z początku, nareszcie się wyprostował i spojrzał na towarzysza.

- Cha, cha, cha! - wybuchnął śmiechem. - Człowieku, marnujesz się! Kariera twoja gotowa, jako medium dla sławnego szarlatana. Będziesz przepowiadał

przyszłość, odgadywał sekreta, rozmawiał z Homerem, Cezarem, z kim ci się zamarzy! Zrobisz furorę i będziesz sławny na świat cały, póki stanie głupców, a to gatunek płodny jak króliki i niewyczerpany!

Adam zdawał się tych słów nie słyszeć.

- Nie zobaczysz mnie, ale poczujesz, i przypomnę ci tę chwilę dzisiejszą, i powiem wtedy na pewno, e człowiek nie łojówka, filozofia wasza nie prawda, swoboda grzechu najgorsza niewola. I wtedy uwierzysz.

- Adam! - krzyknął Rafał zaniepokojony.

Lachnicki ocknął się jak ze snu, oczyma przeszedł po borze, po ziemi, po rzece, westchnął, ręką przetarł czoło i spojrzał na niego.

- Mówiłem przytomnie - ozwał się zwykłym tonem. - Zapamiętaj moją obietnicę!

- Sfiksujesz prędko zupełnie! - odparł Rafał ruszając ramionami i zawracając ku leśniczówce.

- Od małej Leonki odbiegliśmy daleko! - zaczął Adam. - Czy sądzisz, e nie wyjdzie z tej choroby?

- Ty sam wiesz, co znaczy zapalenie mózgu. Mo e wyjść z niego... obłąkaną.

- Okropne! Wiesz, zatelegrafuję jutro z zapytaniem.

- Czyście a tak zakochani?

- Zakochani! Ja nie, a ona kocha ciebie.

- Spoztrze enie godne ciebie. To dziecko nie ma dotąd pojęcia o adnej namiętności. Jej krew i nerwy śpią!

- Pojęcia nie ma, ale kocha.

- Absurdum. I ty masz być doktorem! Fizjolog będzie z ciebie znakomity.

- Przekonasz się, e mam słusność.

- Nie przekonam się i ciebie nie przekonam, bo jej nigdy więcej nie zobaczę.

- Kto wie, gdzie ją losy zanoszą i co ycie da. Daj Bo e, by ciebie ju nigdy na drodze swej nie spotkała.

- Tylko ciebie! - rzucił Rafał szyderczo.

Dochodzili do leśniczówki, a naprzeciw nich wyszedł stary Lachnicki rozmawiając z człowiekiem olbrzymiego wzrostu, w odzie y leśnej stra y. Adam przyjaźnie wyciągnął do niego rękę.

- Dobry wieczór, Grysza! Co słyhać u was?

- Po staremu, panie Adamie. Pracujemy i starzejem! Niech te pan nie zapomni nas odwiedzić. Kobieta mi chora, a doktor, ten miasteczkowy, to mu tylko koniom krew puszczać, a nie z ludźmi się zadawać. eby nie panienka, baba by dawno ziemię gryzła. Teraz pan jej co poradzi.

- Przyjdę, choć jutro. A ot i kolegę, doktora, przyprowadzę. We dwóch mo e damy rady tej chorobie.

- Dziękuję panu i dobranoc.

Człek minął ich szybko.

- Źle z Grysza! - rzekł leśniczy. - Pije, onę bije, na awanturnika się wykierował. Milczę i pilnuję go jak ognia, bo eby pan jego sprawki znał, nie ostałby i doby na stra y. A tam ona i siedmioro dzieci!...

No, panowie, czas wam spocząć po drodze. Alkierzyk dla was ju uprzątnęła Katarzyna. Dobranoc wam.

- A ojciec spać nie idzie? - zagadnął Adam.

- Pacierze odmówię i wracam do chaty.

- Czy jutro rano pójdziemy do dworu?

- Naprzód do kościoła wstąpimy, a potem do pana. Obudzę ciebie.

- I po co ta czołobitność u pana? - zagadnął Rafał, gdy się znaleźli sami w małej, schludnej izdebce, przeznaczonej dla nich na mieszkanie. - Czy eby podziękować za to, e twój ojciec morduje się pracą dla chleba, podczas gdy pan Feliks baki zbija w stolicy, stary brzuch pasie, a panna szydełkiem dłubie i na fortepianie brząka. Tyś im nie brat, ale rzecz przynale na do leśniczówki! Siedź w niej cicho!

- Taki porządek świata, e jeden słu y drugiemu. My nie socjaliści i wiemy, e tak było, jest i, pomimo nowych prądów, będzie na ziemi!

- Niezawodnie, jeśli wszyscy uciemię eni będą kochać jarzmo jak twój ojciec i ty, jak widzę. Jeszcze jeden przedmiot odkryłem: serwilizm!... * (*Serwilizm*

- *słu alczość , płaszczanie się , uni oność*).

Splunął, rzucił się na łó ko i wkrótce zasnął.

Adam otworzył okno i chwilę jeszcze dumał, rozmarzony ciszą natury; potem z westchnieniem legł na posłaniu.

IV

Nazajutrz leśniczy obudził rano syna. Adam porwał się ywo, ubrał świątecznie i wyszedł na palcach, by nie obudzić Rafała.

W kościele dzwoniono na mszę, więc ruszyli śpiesznie w stronę miasteczka, rozmawiając wesoło. Mieszczanie pozdrawiali ich przyjaźnie po drodze; do Adama uśmiechała się ka da twarz, a do twardej prawicy Lachnickiego wyciągała ka da dłoń. Szanowani widocznie byli w okolicy.

W kościele, jak zwykle w dzień powszedni na wsi, pusto było; uklękli przed kratkami i modlili się gorąco. Organy huczały, więc nie posłyszeli kroków za sobą i tylko nagle Adam drgnął i oczy od ołtarza odwrócił. Musnęła jego ramię koronka i młoda dziewczyna uklękła obok, zarumieniona i zdyszana od prędkiego chodu.

Oczy obojga, szafirowe, jasne i bardzo podobne wyrazem, zbiegły się z sobą na sekundę, promieni pełne i rozradowania, i jednocześnie podnieśli wzrok z siebie na ołtarz i modlili się bez słów powitania.

Tylko w jego ustach przesuwiał się czasem dreszcz nerwowy, a po jej czole i ustach wyraz ałosnego niepokoju.

Kłęczeli tak całą mszę i potem adne się nie poruszyło. Dopiero stary Lachnicki trącił syna i sam wstał, bijąc jak młotem w piersi. Adam ruszył za nim.

W kruchcie * (*Kruchta – przedsionek koś ciola w formie pomieszczenia wewną trz budynku lub osobnej przybudówki*), młoda osoba dopędziła ich, wyszli przed bramę i stanęli.

- Widziałam pana wczoraj na dworcu kolei - rzekła do Adama podając mu rękę.
- Spóźnił się pan bardzo w tym roku. Musiał pan syna wygderać za zwłokę?
- dodała witając starego uśmiechem.
- Zapomniałem gniewu, jakem go zobaczył! - odparł Lachnicki z dumą patrząc na syna.
- Mo e się egzamina nie powiodły?
- To się po nim nie poka e! - uprzedził ojciec odpowiedź Adama.
- Więc się chyba panu nie śpieszyło do domu?
- O trzy dni tylko przybyłem później ni zwykle. Na papiery czekałem z akademi
- przyszedł wreszcie do słowa Adam.
- Zdaje mi się, e pan nie sam był na dworcu?

- Kolegę przywiozłem na wakacje. Przyjaciel mój.

Przez twarz dziewczynki przemknął cień. Umilkła.

- Zaprowadzę chłopca do pana teraz! - ozwał się Lachnicki. - Nie zechciał po staremu służyć na straż, to niech chociaż pokaże, i za syna służy się ma i e mu nauka w głowie nie pomieszała. Prawda, Adasiu?

Rumieniec oblał lice panny Kazimiery; spojrzała na niego, jakby go przepraszała.

Ale on się tylko uśmiechnął łagodnie i głowę skłonił.

- Pójdziemy, ojczy! - rzekł spokojnie.

Paniuszka ruszyła przodem w stronę dworu, oni za nią; rozmowa się urwała.

Przedtem członkiem rodziny Rahożów leśniczy miał respekt graniczący z nabożeństwem. Nie wypadało, wedle niego, iść blisko córki dziedzica, więc kroku zwolnił; nie wypadało wszczynać rozmowy, więc umilkł zupełnie.

Powaga starszeństwa hierarchii i władzy była dla niego rzeczą tak niedostępną, tak ważną i konieczną, że choć popularność panny Kazimiery pochlebiła jego sercu i wrodzonej dobroduszości, ale w gruncie rzeczy nie pochwalał jej. Wolał dumę Rahoży, wolał sarkazm pogardliwy panicy. Panna Kazimiera za dobrą była, zanadto łagodną i grzeczną, podobną do prostej szlachcianki. Doszedłszy do ganku obejrzała się na nich i znikła. Musiała oznajmić wizytę, bo ledwie leśniczy wszedł do sieni i ku drzwiom kancelarii pańskiej zmierzał, przeciwległe drzwi do jadalni otworzyły się i sam Rahoża wyjrzał.

- Tutaj proszę, Lachnicki! - zawołał.

Pan asystował widocznie śniadaniu syna, który, nadąsany i chmurny, siedział nad spóźnioną kawą i ziewał. Panny Kazimiery nie było w pokoju.

Lachniccy weszli i stanęli u progu. Nikt ich nie prosił bliżej ani podał

krzesła. Pan Rahoża od stołu trochę się odwrócił i powitał kiwnięciem głowy.

Feliks ani się poruszył.

- Cóż, doktora swego przyprowadziłeś? Wielki człowiek z pana Adama! Jak e tam studia?

- Dobrze, proszę pana! Chłopiec się stara. Za dwa lata skończy i w miasteczku się ulokuje.

- Ta, ta, ta! Nie wierz temu, mój kochany. Obiecanka. Pan doktor w stolicy osiadzie albo zagranicę wyjedzie. Kto wyszedł ze swego stanu i ma ambicję wywyższenia, ten do gniazda nie wraca. Nie moja rzecz wtrącać się w rodzinne sprawy moich urzędników, * (*Oficjalista – osoba zatrudniona przy zarządzeniu prywatnym majątkiem ziemskim*), ale myślę, że na świecie robi się szkodliwy

przewrót. Syn pastucha uczy się na pisarza, syn parobka na pocztowego urzędnika, syn kowala pnie się do akcyzy, * (*Akcyza – urząd nakładają cy podatki na niektóre artykuły spo ywcz, przedmioty u ytkowe i usługi, obciążają ce konsumenta*), syn szewca do policji. Byle nie zostać w swym stanie. A wy ej to samo: uczyć się, rzucić rzemiosło, pług, obowiązek, uciec do miasta, zostać in ynierem, adwokatem, doktorem, naczelnikiem, radcą, ministrem.

Ho, ho, ho! Nie ma granic teraz tym chęciom; tote robi się na świecie a ciasno od niedouczonech i wykolejonych malkontentów; * (*Malkontent – człowiek niezadowolony z wszystkiego*), a tutaj, sądzę, e po latach my będziemy trzodę paśli, orali, buty szyli i konie kuli, bo wszyscy tam w górę pójdą i zmarnieją! Tak ja myślę!

- Byle panom stało na słu bę, to słu by nie zbraknie - ozwał się Adam z cicha. - A co do mnie, to pan się myli. Gniazda swego się nie wstydzę ani mi tutaj nikt hańby adnej dowieść nie mo e. Więc wrócę i zostanę.

Rahoza wielkie swe brwi zmarszczył i spojrzął uwa niej na młodzieńca, co mu tak śmiało zaprzeczał. Zwrócił te na niego uwagę Feliks, bo obejrzał się powoli i rzekł:

- Panu Adamowi moje uszanowanie! Naucz się pan bańki stawiać, krew puszczać i muchy hiszpańskie łapać na wiosnę. Dosyć będzie z ciebie tej nauki.

Adam milczał. Na twarzy jego malowała się męka i ból okropny.

Machinalnie ścisnął na piersiach czapkę swą akademicką, a zęby mu dzwoniły jak w febrze.

Stary Lachnicki oczy wbił w ziemię i westchnął. Słowo pańskie święta rzecz i on tak myślał; ale chłopiec tak prosił i błagał, e mu ustąpić musiał. A teraz za późno było się cofać.

Nagle jakaś myśl inna przerwała niezadowolenie pana. Wstał i podszedł kilka kroków.

- Słyszę, Rafał Radwan z tobą przyjechał? - spytał Adama.

- Rafał, mędrzec, jest w Rahoźnej? - zawołał Feliks.

- Przyjechał ze mną - potwierdził Adam.

- Mo e pan nierad, e chłopiec kolegę przywiózł - wtrącił Lachnicki.

- I owszem. Chciałbym nawet, eby temu koledze niczego nie zabrakło w Rahoźnej. Jest to i mój znajomy.

- Papa zna Rafała? A! U Brzezowej! - zapytał i odpowiedział sam sobie Feliks z właściwą mu ywością.

- Wiele rzeczy i osób znam, które mają być dla mnie sekretem! - odparł Rahoza z naciskiem.

Feliks skrzywił się, na otuchę kawy popił.

- Powiedz, Adamie, panu Radwanowi, em bardzo się ucieszył z jego obecności tutaj i e nie wątpię, i mnie starego zechce odwiedzić.

Zaproszenie było dla jednego tylko; Adam to poczuł i pobladł nagle.

- Powiem, panie - odparł krótko.

Audiencja była skończona. Rahoza usiadł przy stole i milczał. Feliks skończył śniadanie i wyszedł nucąc. Adam nieznacznie trącił ojca.

- Upadam do nóg pana! - rzekł stary pochylając się głęboko.

- Bywaj zdrów, mój kochany - odparł łaskawie Rahoza.

Adam się skłonił i wyszedł za ojcem. Na ganku głęboko westchnął, czapkę na oczy nasunął i ruszył szybko. Brr! jak go po tych dreszczach i chłodzie paliło teraz w piersi, w gardle, na ustach, za powiekami.

W duszy tej gołębiej i prostej po raz pierwszy bunt się obudził, rozstrój i gorycz: czuł się zdeptanym i pokrzywdzonym, i za co? Za co? Wyprzedził ojca, by uniknąć rozmowy. Nie potrafiłby teraz łagodnym być, dobrym i mówić o potocznych rzeczach. A jednak poskarzyć się czuł konieczną potrzebę. Ale przed kim? Przed ojcem, nie zrozumie go. Przed Rafałem, wyszydzi. Przed nikim zatem.

Był ju w połowie alei topolowej, gdy go ktoś napędził.

- Panienska prosi was - oznajmił lokaj z pałacu.

- Biegaj prędzej - uzupełnił ojciec.

Chłopak zawrócił. Koło bramy panna Kazimiera czekała na niego, w słomianym kapeluszu, z koszyczkiem w ręku.

- Proszę pana doktora z sobą do chorych - rzekła z właściwym sobie półsmętnym uśmiechem.

- Słucham pani - odparł nie podnosząc oczu.

Zwrócili w bok ścieżyną między polami i nic nie mówili do siebie.

- Panie Adamie! Nabrał pan przez ten rok dwóch brzydkich wad - ozwała się nagle.

- Jakich, pani? - zapytał smutno.

- Słabości ducha i niewiary w tych, którym pan dotąd wierzył.

- Mo e być. Im dalej w ycie, tym prawdziwiej widzimy je, tym rzeczywiście.

Przychodzi logika i druzgoce marzenia; przychodzi prawda i burzy szklane gmachy młodzieńczych rojeń. Czy nie lepiej samemu się obudzić niż czekać, by ludzie brutalnie nas zbudzili?

- Trzeba wierzyć sobie i swoim. Trzeba hartować się na bój, by zwyciężyć.

Bolesny uśmiech przemknął mu po wargach za całą odpowiedź.

Spostrzegła to i stanęła nagle.

- Zraniono pana głęboko; słyszałam wszystko. Musiało pana bardzo boleć, kiedy pan i o mnie zapomniał w swej obra onej dumie.

- Nie, pani. Pójdę pod ten pręgierz znowu i znowu. I więcej zniosę niż pies podwórzowy. Nie duma moja cierpi, tylko e ju teraz nie wierzę w zwycięstwo.

- Co panu takiego?

- Przejrzałem, pani. W bajkach szklana góra prowadzi do królowy i kto ma orle szpony, ten się do niej wzniesie. Igraszką ta góra w porównaniu z tym, co na świecie człowieka marnego jak ja dzieli od celu.

- Czy więcej dzieli niż przedtem? - spytała cicho. - Czy panu już cel zubożniał?

- Panno Kazimiero!

- Tak sędzę po dzisiejszym spotkaniu i po słowach tych. Marzenie przysło.

- Z duszą kiedyś uleci chyba! Nie powstało w moim sercu nigdy nic innego i nie postanie. Jak jeden Bóg, tak ono jedno do śmierci.

Spotkali się znowu oczyma i utonęli w swych duszach. Tyle lat byłeś mi wszystkim, mówiły źrenice królowy, mistrzem, bratem, przyjacielem, ideałem dobroci i szlachetności, a ukochałam cię całą potęgą miłości, a nie rozumiem już teraz życia bez ciebie. Czy nasze kochanie niewarte ofiar, bólu i walki?...

Usta jej nie miały wyrazów, ale chłopak mowę tych oczu znał, odkąd czuć zaczął; więc zawstydzony swoją słabością, owładnięty i pobity siłą uczucia i młodzieńczego zapału, zapomniał o wszystkim.

- Proszę mi darować - szepnął.

- Rok cały marzyłem o Rahoźnej, zapomniałem o trudach i walkach, widziałem tylko swe uczucie. Rzeczywistość zmroziła mnie. Zabolało okropnie.

- I ja inaczej wyobra ałam sobie nasze spotkanie - odparła smętnie. - Znadto marzymy oboje. Myślałam, e, jak zeszłego roku, od ciemnego boru pozdrowi mnie znajomy głos znajomą piosenką.

Pamięta pan? I wczoraj wieczorem długo nasłuchiwałam na pró no. Trzeba było wywalczyć spotkanie, cierpieć, eby się odnaleźć znowu takimi, jakimiśmy się egnali przeszłej jesieni.

Wyciągnęła do niego rękę, na której błyszczał wąski pierścionek z opalem, a on ją wziął i w milczeniu ucałował. Potem ruszyli dalej. Oddalili się ju o sto kroków, gdy nie opodał miejsca, gdzie stali, zaruszały się płowe kłosy yta i wynurzyła się głowa Rafała.

Le ał tam zapatrzony w niebo i rozmyślał; teraz się podniósł, przeciągnął leniwie i ziewnął.

Potem ręce wło ył w kieszenie i, z właściwą sobie lekcewa ąc ą dezynwoltur ą,

* (*Dezynwoltura – zbyt swobodne, lekcewa ą ce zachowanie się*), ruszył w tym samym co oni kierunku. Na ustach błdził mu pogardliwy uśmiech.

Dopędził młod ą par ę na kładce rzuconej nad rzeczk ą.

Adam spostrzegł go pierwszy.

- Skąd się tu wzięłaś, Rafale? - zagadnął mimo woli zaniepokojony.

- W zbo u le ałem, tam - odparł spokojnie.

Młodzi zamienili z sobą spojrzenie i rumieniec. Trwoga ich ogarnęła na myśl, e nie byli sami w posiadaniu swej tajemnicy.

Szatańsko piękne oczy Rafała spoczęły badawczo na twarzy dziewczyny, potem przeszły powoli po całej postaci.

- Rafał Radwan - mój kolega; panna Rahozówna - przedstawił ich zmieszany Adam.

Rafał z lekka dotknął czapki.

- Pan Lachnicki opowiadał mi właśnie o panu - rzekła przyjaźnie panienka.

- Ładnie mnie pewnie przedstawił! - mruknął niechętnie.

- Jako swego przyjaciela i prawego człowieka.

Był nacisk w tym powiedzeniu, który Rafał zrozumiał, bo zmierzył ich oboje wzrokiem i ramionami ruszył.

- Lepiej by było, eby mniej gadał o sobie i o innych.

- Przyznaję ci rację w tym razie! - uśmiechnął się Adam.

Panienka weszła na kładkę, młodzi ludzie za nią. Za rzeczk ą, bez słowa po egnania, Rafał zawrócił w

prawo.

- Nie pójdiesz z nami? - spytał Adam.

- Bądź spokojny, ani myślę - odrzucił oddalając się. Z czasem swoim nie wiedział

co robić. Ludzi nie cierpiał, ksią ek nie miał, zajęcia nie rozumiał; ruszył przed siebie, bez drogi, w las.

Przyroda, która mędrca do podziwu wznosi, młodego jak wino podnieca, marzyciela duszę rozkoszą poi, artystę zachwytem napełnia, dla tego pogańsko niewiernego umysłu, dla tej duszy zbuntowanej i szyderskiej, dla tego serca pustego nie miała uroku; była zamkniętą księgą.

Wokoło niego zmieniały się widoki, śpiewały ptaszki, nad nim świeciło złote słońce; on szedł nie widząc nic i myślał o metafizyce. * (*Metafizyka - tu: oderwane od rzeczywistość ci, spekulacje*).

Sądzonym było jednak, e mu dnia tego nie dadzą rozmyślać. Śmiechy i piski kobiece doleciały go z ubocza, od polanki gęsto czarnymi jagodami pokrytej.

Sądzonym te było, e dnia tego będzie świadkiem scen miłosnych. Zza jodły rosochatej ujrzał dwie dziewczoje miasteczkowe, ho e i dorodne, chichocące i umykające od chłopaka w eleganckim garniturze do konnej jazdy, który im artobliwie drogę zachodził, groził zagrabieniem zebranych jagód i podawał

warunki wykupu.

Był to młody Feliks Rahoza. Gniadosz jego, uwiązany opodał, niecierpliwił

się widocznie, ale pan, rozswawolony, przekomarzał się dalej i wbrew pojęciu Lachnickiego o hierarchii i powadze rodowego starszeństwa uganiał się za mieszcankami jak pierwszy lepszy donuan miasteczkowy.

Rafał popatrzał chwilę, gałęzie rozchylił i wyszedł na polankę. Dziewczyna jedna wrzasnęła i uciekła, druga wyrwała się z objęć panicza i tak e znikła, a Feliks, czerwony jak burak, podniósł wściekły wzrok na intruza.

- A, to ty! - zawołał prędko.

- Skąd się tu wzięłeś!

Drugi raz dzisiaj pytano o to Rafała.

Poprzestał na obojętnym ruszeniu ramionami i szedł dalej.

- No có ? Czy twój rozum jeszcze urósł, a usta się zmniejszyły, e ju przez nie ani jedno mądre słowo wyjść nie mo e? Czy nie raczysz się przywitać?

- Na swoim gruncie mo esz to pierwszy uczynić.

- Co za formalistyka! * (*Formalistyka – powierzchowność, bezduszność, urzędowość, oficjalność*). A jeśli nie mam ochoty?

- Mnie i bez "jeśli" tej ochoty braknie.

- To mo emy sobie w takim razie obopólnie dogodzić.

- I owszem.

Rozminęli się. Po chwili Feliks ju na koniu dopędził go i zwolnił biegu gniadosza.

- Ale ebyś w swoich spacerach nie włąził mi w drogę, byłbym ci bardzo obowiązany! - rzucił niechętnie.

- Nie wchodzę nikomu w drogę, kto mnie mijają i nie zaczepia! - była ostra odpowiedź.

- Tego się po mnie nie spodziewaj. Lubię się z tobą pobawić i podra nić!

Zabawna jesteś purchawka! - zaśmiał się złośliwie Rahoza.

- Jak ci się podoba. Za skutki sam zapłacisz.

- Ej e! Będą nawet skutki? Tym lepiej, będziesz jeszcze zabawniejszy! Do zobaczenia zatem.

Puścił cugle koniowi i jak wiatr popędził.

Dziwny grymas, niby uśmiechu, rozchylił wargi Rafała. Pantera tak musi szczyrzyć zęby, gdy zbiera się do skoku na swą upatrzoną ofiarę. Sekundę to trwało i znowu twarz młodzieńca wróciła do zwykłego, twardego wyrazu. Za śladem kopyt poszedł i po chwili z gąszczy wy dostał się na gościniec leśny.

Domostwo Lachnickiego widać było na prawo.

Słońce stało w południu i piekło okropnie. Rafał miał dosyć wędrówki; zawrócił do stra y i usiadł na ganku. I tutaj nikogo nie było. Gospodarz był z psiarnią w lesie; stara sługa za rzekę się wybrała z bielizną; zagrody pilnował ogar stary, półślepy i chromy, wylegając się na trawie podwórza.

Rafał z tłumoczka ksią kę wyciągnął i czytał paląc cygaro. Nie podniósł

oczu ani na warczenie psa, ani na kaszel i cię ki chód człowieka, który przekraczał furtkę obejścia.

Gość o trzy kroki od ganku ukłonił mu się grzecznie nie otrzymując nic w zamian, wszedł na schodki, potem do domu i po chwili znowu się ukazał, nie znalazłszy wewnątrz nikogo. Zmęczony był wędrówką w upał, więc czekać widocznie postanowił lub chocia by spocząć. Na ławce usiadł, westchnął i zapalił

fajeczkę.

Stary był to człek, zgarbiony i zwiędły. Wielki nos zaglądał do ust bezzębnych, wybiegała na jego spotkanie śpiczasta, źle ogolona broda; oczy bladoniebieskie, naiwne jak u dziecka, smutne jak u sieroty, patrzyły przed siebie w wiecznym zamyśleniu. Ręce założył na kiju, pochylił się i zasnuły kłębem dymu, medytował.

Rafał nagle nos podniósł, zawęszył i kichnął. Obejrzał się szukając, skąd by ten drańcy swąd pochodził, kichnął raz, drugi i zaklął bez ceremonii:

- Verfjuchtes Kraut (*niem. Przeklęta kapusta*)!

Stary drgnął i wyprostował się. - Sie sind Germaniens Sohn (*niem' Pan jest synem Niemca*)? - zapytał jękając się. Młody człowiek spojrzał na niego przelotnie.

- Wyrzuć pan swoją fajkę, do diaska! - burknął.

Stary usłuchał natychmiast i podszedł bliżej.

- Ach, Herr Gott (*niem' Och, Panie Bo e!*) - westchnął. - Pięćdziesiąt lat nie słyszałem naszej mowy, tak z serca, dobrowolnie! Mo e pan i moją Minnę zna?

- Czego? - zapytał Rafał niechętnie.

- Ach, prawda. Pan nie wie, o kim mówię. Minna Ruprecht, moja synowa, Bayern, Munchen, Salzgasse 14.

Mówił to jednym tchem, jak adres do listu, a głos mu drżał niepokojem.

- Mo e być, e znam - rzekł student obojętnie. - Mieszkałem na Salzgasse i kolegę w gimnazjum miałem Ruprechta.

- Herr Je (*niem. Panie Jezusie!*)! To był Franz, Minny ulubiony, taki złoty blondynek, dobre dziecko! O Herr Je!

- Wielki był osieć i hultaj ten wasz Franz. Dawno go pan nie widział?

- Nigdy, panie, nigdy! I nie zobaczę - odparł łośnie stary trzęsąc głową.

Rafał ruszył ramionami. Nie obchodziło go to wcale. Zabierał się znowu do książki, ale mu stary przerwał:

- A Minny pan nie widział nigdy? Jak ona wygląda?

- Co za Minna? Synowa wasza? Toć ją znacie przecie!

- Nie znam, panie! I nie poznam! - westchnął powtórnie.

- Cóż u diaska? Kpisz pan, czy o drogę pytasz? - zapytał Rafał spoglądając na niego uważnie.

- Ach, Herr Je! Młodemu to kpiny, a mnie!... - urwał i głową pokiwał.

- Pięćdziesiąt lat guwerneruję, panie!

- Szczególna ochota! - mruknął młody człowiek.

- Aha, ochota! Ja sam myślę, że źle zrobiłem wtedy. Połakomiłem się, panie, na tysiąc rubli pensji. Zostawiłem one z dziećmi i pojechałem do Rosji.

- Temu lat pięćdziesiąt?

- A tak, blisko tego. Czasem mi się zdaje, że to dawno bardzo, a czasem, że to wczoraj było. Rudolfek, Minny mąż, miał sześć lat, Wilhelmina cztery, a mały Hans półtora. Cud, nie dzieci! Teraz nikogo nie ma!

- Czemu pan nie wrócił, kiedy ich pamiętał?

- Kiedy im ciągle trzeba było pieniędzy. A ebym pojechał, to bym stracił ich grosz. Więc ciągle posyłałem. Osobliwe, ile taka rodzina kosztuje! To mundurki, to chleb, confirmacja, * (*Pierwsza komunია – tak e w protestantyzmie*), szkoły, a przy tym doktor i apteka. To ju najciężej płacić. A było tego u mnie, było!

Kobiecisko się zapracowało, zmarło; Wilhelmina się przeziębila na balu w

"Vereinie" i zmarła. Chłopcy sami zostali, a pieniędzy coraz więcej szło. Rudolf się o niego, próbował tego i owego bez dobrego skutku; dzieci Bóg mu nie skąpił, siedmioro zostawił, bo i on umarł, panie, i Hansa nie stało.

Ot, w ten sposób wędrowałem z domu do domu i guwernerowałem. Próby trud! Sympatii nie ma, uznania nie ma. Pięćdziesiąt lat starałem się zaszcześcić w młode dusze kult Lutra i Germanii, i ze smutkiem wyznaję: był to głos wołającego na puszczy. Trzydzieści posad zmieniłem, siałem dobre ziarno, zbierałem kłakole obojętności i szyderstwa. Dlaczego oni mnie, Bawara, Szwabem zrobili? Dlaczego poza godziną lekcji słowa nie rzekną w naszej pięknej mowie? Dlaczego natchniona pieśń Goethego trzyma się tylko chwilowo ich pamięci, a gdy wspomnę naszych bohaterów, ziewają tylko? Ach, Herr Je! Dziki naród, niewdzięczni ludzie, puste serca!

Stary się zapalił, broda mu się trzęsła, a zblakłe oczy nabrały ycia.

Rafał, w półleżąco, zza dymu cygara słuchał go, a lekki rys sarkazmu igrał

mu po licach. Gdy umilkł Niemiec, przeciągnął się i raczył wyrazić swe zdanie:

- Zamiast ludzi uczyć i nawracać, trzeba nimi pogardzać i szkodzić im! Będą wtedy poważyć, szanować i pamiętać.

Rękę swą w pięść zwinął, tak silnie, e a krwią nabrzmiała, i podniósł.

- Ot, tak zdław ludzi, byś coś znaczył! Dadzą ci laury za kajdany! Nikczemne plemię!

Ruprecht uśmiechnął się dziwnie.

- Smutne, ale zaiste prawdziwe. Pan przecie nie sądzi, ebym ja ich kochał. Za co? Oni bogaci, ja biedny, oni dom i kraj mają, ja nie, oni przy rodzinach, ja sam!

Pięćdziesiąt lat milczałem przecie i zmilczę do końca. Panu mówię, bo pan nasz i mnie zrozumie, a szkodzić nie mogę ani pogardzać! Nie daliby za to pieniędzy.

- I wy nale ycie do ludzi, do nikczemnego plemienia! Po ziemi pełzacie wszyscy współ. Jeden robak przez pół wieku zniszczyłby całą puszcę!

- A ona, a dzieci, a wnuki! Co by się z nimi stało, ebym ja płacić chciał za ka de szyderstwo, za ka de upokorzenie, za ka dą poniewierkę!

- To podusić onę i dzieci, jeśli stoją między nami i zemstą! Cha, cha! Bo i co ona wam dała, ta rodzina? Zabrała ycie, siły, uczucia, a w zamian brała pieniądze! I wy pytacie o synową i wnuki! O ludzkości, roju bezmyślnego robactwa Stary się zgarbił i oczy wbił w ziemię. Argument był za silny na jego głowę. Zląkł się takiego wyniku.

- Pan młody - szepnął - wam się zdaje, e wszystko mo na, wszystko dostępne.

Mein Gott, tak się tylko zdaje. W człowieku jednak siedzi taka moc jedna, co nauczy znosić i cierpieć. Bez niej byłoby mo e l ej i lepiej, a mo e czasem cię ej i gorzej.

Kochałem bo moją Luizę i Rudolfa, i resztę dzieci! A teraz Minnę kocham i jej robaki. Co robić? Zmilczę do końca i ścierpię dla nich.

- Wunsche Gluck (*niem' yczeń szczęś cia*)! - rzucił przez zęby Rafał.

Ruprecht westchnął. Czuł, e była odprawa w tych słowach, ale przemóc nie mógł ciekawości.

- eby mi pan co o Salzgasse naszej powiedział! - rzekł po chwili nieśmiało.

- Brudna i odrapana.

- A Franz, panie?

- Ry y i zezowaty. Hultaj wysokiej próby i głupi jak stołowe nogi. Zastałem go i zostawiłem w pierwszej klasie. Musiał na niej poprzestać.

- Biedna Minna! - westchnął pedagog. - To był jej faworyt.

- Zwykła rzecz. Gdzie nie ma jedynaka, sympatie rodziców posiada zwykle najgorszy.

- Pan pewnie wróci do naszego Monachium.

- Wrócę po wakacjach.

- Ach, Herr Gott! A ja kiedy?

- Ano, jak wymrą wszyscy i nikt się nie zgłosi po pieniądze!

- Nun, ja (*niem' No tak*)! ebym do ył takiej chwili, e oni będą w dostatku, to bym chętnie u Minny poprosił o ką, kawę i fajkę! Ale to jeszcze daleko.

- Tym lepiej! Będziecie dłu ej o tym szczęściu marzyli!

Ogar w tej chwili podniósł się leniwie, zaskomlał i znowu legł. Było to powitanie towarzyszków i pana.

Stary leśniczy, uznojony a zawsze pogodny, ukazał się we wrotach, więc Ruprecht wstał i podszedł ku niemu. Zmienił się w jednej chwili. Postawę miał

pokorną, twarz uśmiechniętą uprzejmie, przemówił retorycznie zum herr Oberforster (*niem' do pana nadleś niczego*)!

IV (c.d.)

Oberforster ręce rozło ył i skrzywił się z niesmakiem:

- Kaduk was zrozumie, panie guwernerze! - odparł, a spostrzegając Rafała, zwrócił się do niego:

- Niech no mi pan wytłumaczy ten szwabski szwargot. Pewnie ze dworu polecenie od baronowej starej. A tyle ją razy prosiłem, eby mi Szwaba bez kartki nie przysyłała!

Ruprecht powtórzył swoje polecenie.

- Proszą o jaką zwierzynę młodą! - przeło ył Rafał.

- Chyba z gniazd ka ę wybierać pisklęta! - odparł leśniczy. - Niech mu pan powie, e w ostateczności kaczek przyśle.

Rafał powtórzył odpowiedź i guwerner, skłoniwszy się nisko, odszedł

rzuciwszy w stronę studenta ałosne spojrzenie.

- Dawno on we dworze? - zagadnął Rafał.

- Lat dziesięć mija. Nic teraz nie robi, ale e panicza uczył dobrze, płacą jako rezydentowi, * (*Rezydent – ubogi krewny, przyjaciel rodziny lub wystu ony oficjalista mieszkają cy stale w danym dworze, bę dą cy na utrzymaniu gospodarza*), bo w rodzinie nieboszczki pani du o lat te przebył! At,

stary grzyb! Nie lubię ja go za to, e polski chleb jedząc mowy się nie nauczył ani serca do nas nie nabrał.

Pies by się druhem stał, a Szwab Szwabem! Pan tu sam, bez Adasia?

- Do leśnika poszedł, do chorej!

- Włóczęga z niego. Tyle ja go zwykle widzę, co wieczorem godzinę, jeśli we dworze nie siedzi. Taka to młodość! Chodzić i jeździć ciągle! Panicza naszego spotkałem te , jak do Sarnowa jechał. A pan się sam nudzi.

- Ja się tylko z ludźmi nudzę- odparł Rafał.

Leśniczy nie dopatrzył przymówki, zajęty myślą zabawienia gościa.

- Mo e by pan zapolować lubił? - rzekł. - Zły to czas, ale na ciągi kaczek pójść mo na przed wieczorem.

- Mo emy - mruknął Radwan.

- To dobrze! Mówił dziś pan: "Pamiętajcie, eby panu Radwanowi na niczym nie zbywało!" Do siebie te pana bardzo prosi.

- Do Adama przyjechałem i z wami zostanę.

- Dziękuję panu za chłopca i za siebie! Byle panu dobrze z nami było. Strzelać pan pewnie umie?

- Mo emy spróbować przed polowaniem.

Leśniczy, uradowany z przedmiotu dotyczącego jego kompetencji, ywo wszedł do domu. Broni ró nej miał sporo, więc po chwili wrócił niosąc dubeltówkę, sztucer dalekonośny, starą jednorurkę i parę pistoletów.

Rafał obejrzał ka dą sztukę.

- Z czego pan sobie yczy, bym zdał egzamin? - spytał.

- Ano, ze strzelby najpierwej, a potem z pistoletów.

- A cel?

- W tę jodłę na brzegu. Sto kroków.

- Dobrze. W ten kawał pnia, gdzie sęk widać. Zmierzył i wypalił. Stary ywo podbiegł.

- Najsumienniej, wedle obietnicy. Pan cały majster. W lewej rurce kula.

Wyrzucam czapkę. Raz dwa trzy. Strzał padł. Czapka zawirowała i spadła pod nogi leśniczego. Kula

wybiła w niej regularny otwór.

- Brawo! - zawołał Lachnicki.

- Brawo! - powtórzył za nim obcy głos.

Obejrzeni się. Troje ludzi przyglądało się z drogi popisowi. Na czele młoda panienka, świeża i różowa, zasłaniająca się od słońca pękiem leśnych kwiatów i gałęzi; obok niej Feliks Rahoza, rozpromieniony i swawolny; za nimi młody człowiek, wąty i małego wzrostu, z dużą teką w ręku. On to właśnie wołał brawo, podczas gdy Feliks coś szeptał w ucho panienki, zanosząc się od śmiechu.

Rafał grono to całe objął jednym spojrzeniem, wyprostował się i oparty na strzelbie czekał, jakby się spodziewał zaczepki.

- Lachnicki, mam ci coś powiedzieć! - ozwał się młody Rahoza odchodząc na stronę i skinieniem wzywając leśniczego.

Panienka i obcy młodzieniec zbliżyli się do Rafała.

- Celnie strzelasz, mój przyjacielu! - rzekł młody człowiek klepiąc go poufale po ramieniu. - Proszę, zwróć się profilem i podnieś nieco głowę.

Na czoło Rafała wybiegła krew, oczy poczynęły złowieszczo błyszczeć, a nozdrza rozdymały się dziko. Usunął się o krok, ale nie ustępował z placu.

- Kształty greckiego efeba, a rysy z kamei! * (*Kamea – drogi kamień z wypukło wyrzeźbionym rysunkiem, zwykle jaś niejszym od tła i przedstawiają cym głowę kobiecą, oprawiony jako brosza lub zdobią cy naszyjnik, pierś cień itp.*) - powiedział

niezraony gość, oglądając go, jak towar. - Karnację dziewczyny ma ten potępieniec! Co za czoło! Jaka gęstwina naturalnych loków! Per Bacco (*wł' Na Bachusa*)! Feliksie, daj buzi za taką rekomendację. Słuchaj no, przyjacielu, potrzebuję modelu. Dogadzasz mi najzupełniej. Pofatyguj się od jutra co dzień na godzin parę do mnie, do Sarnowa. Dam ci za każdą sesję po trzy ruble! Co, zgoda? Pokaż swoje ręce. Będą pewnie za grube, ale o to mniejsza.

Członków mi twoich trzeba i głowy. A muskulatura?

Zbliżył się i znowu położył rękę na ramieniu.

- Nie dotykaj! - burknął Rafał.

Malarz spojrzał zdziwiony.

- Nie dotykaj! - powtórzył dobitniej.

- Kaziu! - zawołała panienka. - Ale to być nie może! To art nowy pana Feliksa.

Ten pan się gniewa na ciebie!

Malarz odskoczył.

- Powiedziano mi, że od kilku dni w Rahoźnej jest nowy strażnik, mogący służyć za model, i wskazano mi pana! Jeśli był wprowadzony w błąd, nie moja wina.

Jestem Kazimierz Sarnecki.

- Radwan! - była krótka odpowiedź.

Feliks, który z wielkim trudem śmiech tłumił, wybuchnął nareszcie z całego gardła. Paniąkę obejrzała się i pogroziła mu palcem, potem nieśmiało spojrzała na Rafała.

Oddalił się trochę, a za nim szedł malarz tłumacząc się, przepraszając bezustannie. Oczy jego wciąż pośpiesznie śledziły rysy pięknego chłopca, wyrażały zachwyt i zapalał tak zapamiętały, że go nie odstraszał i złowieszczy wyraz oczu, i ponure zacięcie ust pysznego modelu.

Rafał, rzuciwszy swe nazwisko, zamilkł. Do ganku podszedł, odłożył

strzelbę, wziął do rąk jeden z pistoletów, nabił go i spojrzał w stronę Lachnickiego.

Ale leśniczy wobec panicy stracił rezon. Stał na boku ze spuszczoną głową i gładził jedwabiste uszy wyjątkowego faworyta. Był w tej chwili sługą i podwładnym.

- Cha, cha, cha! - zaśmiał się Feliks. - Ta mina filozofa traktowanego per "mój przyjacielu", ta zgroza, to oniemiałość z gniewu i podziwu! Jak yję, takiej farsy nie widziałem! Panno Aniolo, i dlaczego, u Boga, pani przerwała to widowisko!

Maluczko, a doszłoby do gestów. Kazimierzu, podziękuj siostrze, dzięki jej tylko wyszedłeś z szponów smoka!

- Błazen jesteś! - burknął malarz i znowu zwracając się do Rafała, po raz dziesiąty wyciągnął do niego rękę.

- Wszak mi pan mimowolną niegrzeczność daruje. Przepraszam i przepraszać nie przestanę, a pan zupełnie tę scenę puści w niepamięć. Ale panie, straciłem zupełnie zimną krew na widok pana. Zabawnie to brzmi ode mnie do pana, niby komplement kobiecie, ale takiej piękności, jak pańska, nie spotkałem dotąd ani tu, ani za granicą, a mogę powiedzieć, że przewalałem się po świecie w pogoni za estetycznym pięknem lat sporych dziesiątek. No i pomimo wszystko wdzięczny jestem Rahozie, a choć z konceptem niesmacznym, ale przecie zapoznał nas z sobą. Śmiem wierzyć, że będzie to dobra znajomość.

Znowu drobna, kobieco biała dłoń artysty wyciągnęła się do uścisku; tym razem i Rafał swoją podał.

- Nie mam do pana żadnej pretensji! - raczył wymówić.

- Aha, więc do mnie! - zaśmiał się Feliks podchodząc i z drwiącą miną na niego spoglądając. - Od artysty dostałem tytuł błazna, a od ciebie co posłyszę, mistrzu?

- Nic!

- Jaka szkoda! Du o bym dał, eby ciebie raz w yciu wyprowadzić z cierpliwości.

- Du o dasz, a ja du o wezmę wtedy! - odparł Rafał z dziwnym spokojem.

- Zawsze okropne rzeczy obiecujesz. Wiesz przysłowie: krowa, co wiele ryczy...

- Elegancki jesteś! - oburzył się artysta, a panienka, która mało mówiła i co chwila podnosiła tylko oczy na Rafała, poruszyła się niecierpliwie.

- Panie Feliksie! Chodźmy lepiej do tych obiecanych czarnych jagód.

- Przerwaliśmy panu ćwiczenie z bronią! - zagadał malarz uprzejmie. - Ostatni strzał był wyborny.

- Chodzą wypadki po ludziach - dorzucił drwiąco Feliks. - Czy to ciebie stara Brzezowa uczyła strzelać?

- Niech pan zawstydzi tego niepoprawnego dowcipnisia! - rzucił pojednawczo Sarnecki.

- Słuchaj no, Rafale, urządzmy turniej! - zaproponował wesoły chłopak porywając drugi pistolet.

- Ślicznie! - zaśmiała się panienka. - Kto zwycięży, ten drugiego przeprosi.

- Za co? - spytał krótko Rafał, pierwszy raz spoglądając na nią.

Zapłonila się cała pod tym wzrokiem i umilkła.

- Racja! - potwierdził Feliks.

- Przeprosisz mnie, Rafale, za nieuszanowanie i jawny bunt przeciw mej powadze.

- Do czego będziemy strzelać?

- spytał Radwan obojętnie.

- Do tego!

Chłopak poskoczył, zgiął się przed panienką, z pęku trzymanyh przez nią kwiatów wyjął gałązkę wielkich dzwonków leśnych i zatknął ją w kępę jałowcu rosnącego nad drogą.

Rafał ręce na piersi złożył i drwiąco się przyglądał tym przygotowaniom.

Feliks bardzo tę sprawę wziął do serca: sam na ganku nabił drugi pistolet, odmierzył trzydzieści kroków, śmiał się, sypał dowcipy, podśpiewywał pod nosem. Zamienili broń i młody Rahoza

strzelił. Krzak się zatrząsł, ale dzwonki liliowe kołysały się na nim nie poruszone.

Panienka zaklaskała w dłonie.

- Przepróż pana Radwana, przepróż! - wołał Sarnecki.

- Phi! - uśmiechnął się z przymusem Feliks. - A je eli i on chybi?

- Ja? - rzekł z wolna Rafał.

- No, no! Nie przechwalaj się, ale pal! - syknął niecierpliwie chłopak.

- Do kwiatów strzelać nie myślę. Stań sam u celu.

- Co?

- Stań sam. Przestrzelę ci czub twojej d okejki!

- Moje uszanowanie!

- Boisz się?

- Pewnie, e na twoją fuszerkę ycia ryzykować nie myślę.

- W takim razie zakładu dzisiaj nie rozegramy.

- Na takich warunkach nie. To jasne, e przeczuwasz pudło i tchórzysz!

- Lubię mieć cel godny strzału...

- Ja potrzynam kwiat w ręku! - zawołała panienka.

- Ale pani! Ale Anielko! - podniósł się protest.

Dziewczyna poskoczyła, ale ju Feliks ją uprzedził i u celu stanął.

- Pal! - krzyknął.

Rafał pistolet podniósł i wypalił. Kula zerwała czapkę chłopaka, który, choć bardzo blady, ju się śmiał zaraz.

- Słowo daję, przyjemne wra enie! Dziękuję ci, Rafale, eś chybił! No, bo sądzę, e rad byś był mnie sprzątnąć z tego świata! Cha, cha, cha!

Na Anielkę spojrział i pochylając się po kwiat nie tknięty, podał go jej z uśmiechem.

- Nie uwierzy mi pani, gdy powiem, em do niego umyślnie spudłował, bo to pani kwiat; ale temu chyba pani uwierzy, em za tę rączkę ryzykował głowę pod strzał tego szaleńca. Kupiłem sobie tę

rączkę!

Dziewczyna spąsowiała i cofnęła rękę.

- Pan taki nieznośny! - odparła grymaśnie, odymając usta.

- Przepróż pana Radwana, Feliksie! - wołał Sarnecki.

- Ani mi się śni! Za co?

- A choćby za dzisiejszą mistyfikację.

- Jaką mistyfikację? Powiadasz mi dzisiaj: "Potrzebuję potępieńca", daję ci potępieńca pięknego, młodego, wielkiego nawet bałamuta. To adna mistyfikacja.

Pozwalam ci go malować. Szkoda, e model na Franceskę tego Paola daleko, mógłbyś zrobić od razu grupę. Rafał, masz zapewne fotografię swej ukochanej?

Poka .

- Mam tylko pannę Nadzieję Satin! - odburknął. - Jedną z tuzina,których tyle nosiłeś z sobą.

- Co za Satin? - spytała panienska ciekawie.

- Kochanka jego ostatnia! - rzucił Rafał brutalnie.

Anielka oblała się krwistym rumieńcem, Feliksa oczy pociemniały od gniewu.

- Nie wstyd ci takie rzeczy pleść?

- Jeśli to uwa asz za wstyd, to dlaczego robisz? A jeśli robisz, dlaczego się wstydzisz, i kłamiesz, i udajesz? Bo i na to wasza religia znajdzie wytłumaczenie zapewne, ale ja, ateusz (*bezbo nik, ateista*), wykrętów, wstydu i fałszu nie rozumiem. Zapytałeś, odpowiadam.

Feliks zagryzł usta. Zadać kłam to narazić siebie na bezwzględne odkrycie i cały szereg nagich faktów. Rafała nie powstrzyma od opowieści skandalicznej ani obecność obcych, ani nawet kobiety. Trzeba było zmilczeć i znieść tym razem.

Walka stawała się nierówną, młody Rahoza raz pierwszy zszedł z placu.

Zapłacisz mi za to! pomyślał, wściekły za pora kę.

Panienska zgorszona odeszła,

Sarnecki z marsem na czole gładził brodę, dobry ton zerwał się nagle.

Rafał triumfująco się zaśmiał, ręce wło ył w kieszenie i bez po egnania wszedł do domu.

- Feliks - upomniał malarz - nie drań tego człowieka. Bo i czego ty chcesz od niego?

- Nie cierpię go! - wybuchnął Rahoza. - Antypatycznie nienawidzę!

- Dlaczego?

- Bo nie cierpię i basta. Nie znoszę jego widoku!

- Przepyszny jest! Ach, gdyby zechciał mi choć parę razy pozować, choć raz, choć godzinę! Czy myślisz, e go potrafię namówić?

- Myślę, jak bym się nad nim zemścić mógł za ten ostatni koncept. Gbur wstrętny!

- Wyzwałeś go sam. Ach! te jego oczy i rysunek ust i formy! Ja go muszę ubłagać o parę posiedzeń.

- Kaziu, chodźmy ju! - zawołała siostra.

Feliks podbiegł do niej. Artysta ruszył sam na końcu, oglądając się jeszcze na straż samotną. Postanowił tu wrócić jutro i pojutrze, a postawi na swoim.

Naprzeciw niego drogą wracał do leśniczówki Adam. Nie spostrzegli się wzajemnie, rozminęli zajęci bardzo swymi myślami. Lachnicki ojca oczyma szukał i prędko do domu wpadł.

Pusto było. Rafał z leśniczym wyruszyli na kaczki i chłopak rad był teraz samotności. W izdebce swojej u okna siadł, jeszcze raz się obejrzał nieufnie i wreszcie dobył z kieszeni ksiąkę z wierszami i fotografią. Poezję czytał dziś głośno, gdy wracając od chorej Gryszanowej, odpoczywali na mchu w borze pod cieniem czarnego świerku.

Siedziała obok niego zamyślona i uśmiechnięta, jak kwiat jasny wśród ciemnych mchów i drzew. Nie przerwała mu i tylko, gdy się jej jaki ustęp podobał, przechylała się nieco i zakładała stronicę listkiem lub źdźbłem trawy.

Niekiedy na jakimś wierszu on jej wzroku oczyma szukał i znajdował zawsze czysty i słodki a spokojny zarazem; uśmiechali się do siebie w milczeniu.

Ksiąkę tę, pełną ziół i mocnego zapachu boru, on teraz przeglądał powoli i oznaczone ustępy odczytywał półgłosem. Złudzenie miał, e są jeszcze razem, więc czasem oczy podnosił. Za oknem stała, podobna do tamtej, czarna jedlina, a pod nią ró girlandowych krzak rozkwitał, więc chłopak szczęściem ogarnięty do ró tych jak do niej się uśmiechał.

Fotografię potem dostał, ju gdy się rozchodzili. Prosiła go, by jej to zaśpiewał, czym ją zeszłego roku z oddali powitał. Dochodzili do kładki. Głos miał nie tyle mocny, ile melodyjny. Zaśpiewał jej ulubionego "Wędrowca"

Szuberta, wtórowała mu półgłosem. Stanęli nad rzeczką.

Dała mu wtedy fotografię i po egnała: "Do jutra." Okropną miał ochotę rękę jej ucałować, ale się nie

ośmielił. Bał się ją urazić. Tylko, gdy odeszła powoli, pozostał w miejscu i śpiewał dalej, a mu ją zbo a zakryły i skończyła się piosenka, i jeden dzień jego szczęścia stoczył się w przeszłość. Zawrócił i on ku domowi, bez śpiewu ju , ogarnięty chłodem wieczora i samotności.

Teraz rad jej był. Nie była to samotność pusta i rozpaczna: napełniały ją wspomnienia. Jak ywa, Kazia Rahozówna patrzyła na niego z kartki fotograficznej i powtarzały mu się w pamięci jej słowa łagodne i serdeczne, jej spojrzenia kryształowe, jej wdzięczne, trochę powolne ruchy. Odnaleźli się znowu; nie było między nimi tajemnic, szafów, zapomnienia, nic sobie zarzucić nie mogli. Rok przyty w oddaleniu adną plamką nie zaćmił ich stosunku i czuli to, e między nimi był świat cały, a jednak nie było nikogo.

Adam ksią kę zło ył, fotografię w nią wsunął i ukrył te swoje pamiątki na samo dno kuferka, potem na stole się oparł i marzył.

Dziś w lesie znaleźli małe jezioro w ramach zielonej łąki, za tło stały dęby i świerki. Zatrzymali się. Spokój tu był taki, e stadko dzikich kaczek krą yło spokojnie po gładkiej wodzie i sarna z dwojgiem młodych erowała beztrwo nie na skraju lasu. Patrzyli długi czas na ten cichy widoczek.

- Chciałabym tu mieć chatkę! - szepnęła Kazia. - Oswoiłabym sarenki i ptactwo dzikie. Tak dobrze, tak daleko od świata, tak cicho!

Jak dzieci poczęli wybierać miejsce na osadę i układać, jak ją we dwoje zbudują, jak czas spędzać będą. Śmiali się z uszczęśliwienia i odchodząc znaczyli drogę, by trafić tam z powrotem do tych swych ulubionych zamków na lodzie. O

Leonce Brzezównie opowiedział chłopak i postanowili zająć się nią wspólnie, a o Rafale rozmawiali długo ze smutkiem.

O Rafale! Adam się zaniepokoił. Mimo woli bał się dzisiaj spotkania z towarzyszem. Co on mu powie? Uszanuje jego świętość czy nie? Pierwszy raz bał się te zostania sam na sam z przyjacielem i gawędki poufnej. Zrazu sądził, e Rafał zapomniał podsłuchanej rozmowy lub e nie przywiązywał do niej adnej wagi.

Radwan wrócił późno z polowania i w wyjątkowo dobrym humorze. Przy wieczery rozmawiał o potocznych rzeczach; potem gdy udali się na spoczynek, gwizdał kuplety z operetki Offenbacha, rozbierał się z zabłoconej odzie y.

Zdawało się, e dnia tego szczęścia marzyciela nie zaćmi adna chmura.

Nagle Rafał przestał się rozbierać, usiadł konno na krześle, rozparł się na poręczy i zapalił cygaro. Był to wstęp do dalszej pogadanki.

Księ yc stał wprost okna i oświecał wyraźnie jego piękną młodzieńczą twarz. Milczał jeszcze, ale ju z kątów ust do oczu zapatrzonych w okno wybiegały przykre smugi cynizmu i szyderstwa. I wreszcie, nie patrząc na Adama, rzucił krótkie pytanie:

- Dawno to ju romansujecie wśród zbo a z tą suchotnicą?

Lachnicki zadygotał i rzucił się mimo woli wstecz.

- Rafale! Zlituj się! - szepnął ałośnie.

- Co, boisz się, e cię zdradzę?

- Ale nie... Przecie znam cię i wierzę w szlachetność, ale...

- Ale co? Czego się mam litować? Mógłbym chyba zazdrościć, gdybym rozumiał

miłosną ądzę. Ale jest to dla mnie zakryta karta. Nie posiadałem nigdy kobiety i wy wszyscy, uganiający się za lada spódnicą, jesteście dla mnie zwierzętami bez myśli i zastanowienia!

- Rafale! - jęknął Adam. Głowa jego oparła się o ścianę, a twarz zbladła zupełnie.

Ale Radwan był na ulubionym tonie szyderstwa.

- Chciałbym widzieć minę twego ojca, eby tak was kiedy zszedł niespodzianie.

Stary to pedant i wielki przeciwnik krzy owania gatunków. Mo eś ty sobie tego nie pomyślał, eś ty prosty pokurcz podwórzowy, a ona pinczerka. Da ci jeszcze kiedyś tego batem stary Rahoza, a ojciec poprawi. Cha, cha, cha!

Adam się porwał na nogi.

- Milcz, bo nie zniosę więcej!- krzyknął głucho. Oczy jego, zwykle łagodne, gorzały, pierś spokojna podnosiła się przyśpieszonym oddechem. Porwał za ramię towarzysza i ścisnął nerwowo.

Rafał spojrział na niego i zaśmiał się dziko.

- Zniesiesz, kolego, zniesiesz daleko więcej ni moje trzeźwe słowa w tej chwili.

W ogóle świat jest trzeźwy, a ty pijany, kochanku, więc wynik mocno dla ciebie smutny. Najprzód twojej pinczerce sprzykrzy się romans z pokurczem i zawstydzona, spuściwszy uszy, wróci do swych salonów, i szukać będzie towarzysza pinczera; po wtóre...

Ręka Adama zakryła mu usta.

- Słuchaj Rafale! Ani słowa więcej! Masz mnie, szydź, artuj, poniewieraj, zabij mnie, jeśli chcesz, ale jej nie tykaj, bo tego jednego od ciebie nie zniosę. Zapomnę się! Ona jest święta... i ebyś ją znał, szanować byś musiał. Słuchaj. Ja ci wszystko powiem, wyznam, ale ty milcz, jeśli litość masz nade mną, milcz! I miał w sobie ten głos taką moc rozpaczy, alu i prośby, a przy tym czystej siły, e Rafał zamilkł

i jakby zdziwiony spojrział na towarzysza.

W blaskach księ yca szczupła twarz Adama promieniała dziwnym wyrazem czystego zapału i bezmiernego bólu, jasne oczy gorzały ogniem, a z ust jak potok popłynęły słowa:

- Dziećmi bawiliśmy się razem, uczyli razem, myśleć zaczęliśmy razem. Pewnie ju wtedy serca nasze zaczęły razem bić i kochanie rosło z latami. Wyznań i przysięg nie było, ądz ani szału ona nie znała, a jam taki, jak ona chciała, jakim mnie jej miłość wykształciła. I jam nigdy kobiety nie posiadał i ja nie wiem, co to kochanka. Miałem tylko jej duszę i serce, jej wiarę i szacunek. I byłem ycie całe szczęśliwy! ebyś wiedział, Rafale, co to za skarb taka dusza druga, a nasza, i taka anielska jak jej, tej mojej jedynej!

W pokoju nastała chwilowa cisza. Rafał nisko spuścił głowę i nie odzywał

się ani jednym wyrazem. Adam trochę dr ącym głosem ciągnął po namyśle dalej:

- Dlaczego nie mamy być szczęśliwi? Jest przecie Bóg nad nami i nasze ycie widzi. Pod Jego okiem lata te zbiegły i w Jego opiece jesteśmy. Nie da nam zmarnieć, bośmy w sumieniu spokojni i praca tylu lat nie pójdzie na darmo.

Rafał głowę podniósł i spokojnie spytał:

- A je eli zmarnieje wszystko daremnie?

Blask zbiegł z oczu marzyciela i zapał oblicza przygasł. On teraz głowę spuścił i wstrzymał się z odpowiedzią.

- ycie dobre czy złe, prze yć trzeba... - rzekł wreszcie powoli i głucho. - Dobrze czynić i cierpieć w pokorze ka dy potrafi, kto tam za mogiłą w świat inny wierzy i komu tam wynagrodzenie naznaczono. Nie my pierwsi spotkamy się tam dopiero na wieczne nierozstanie!

Od błot nadrzecznych dolatywały ćwierkania wodnych kurek, piski kulików i bekasów oraz ponury wtór błotnych bąków. Czarne gałęzie świerków poruszały się z wolna i rzucały na murawę srebrną od księ yca fantastyczne ruchome cienie. Dłu sza jeszcze cisza zaległa izdebkę.

Adam powrócił na swe miejsce i twarz w dłoniach ukrył. Rafał spoglądał

na niego i jakby czekał jeszcze czegoś.

- Skończyłeś? - rzekł wreszcie. - Mogę się odezwać?

- Mów, Rafale, tylko nie szydź dzisiaj! - szepnął prosząco.

- Nie!... Powiem krótko tylko fakta. Rahoza cię wypędzi i sponiewiera. Córki ci dobrowolnie nie odda, chyba ją porwiesz gwałtem i ujdiesz na kraj świata.

- Nigdy!

- Więc sam pójdiesz precz i zostanie ci z pracy, z wiary, z opieki Boskiej, z czystego sumienia i

skarbów rozmaitych - figa! Chcesz być szczęśliwym wśród ludzi, wyzyskuj albo giń marnie!

- To zginę! - odparł spokojnie Adam. - Wyzyskiwać nie chcę i nie potrafię!

- Cała pociecha, e takie niedołęgi jak ty lubią ginać! Ładnie by świat wyglądał, gdyby was więcej było i yć się upierali!

- A przecie z setek kolegów mnieś polubił, Rafale! - wtrącił Lachnicki ze smutnym uśmiechem.

- Ja nikogo nie lubię. Jesteś anomalią, więc mniej nudnym ni reszta. Niech ginie i przepada cały świat z tobą razem, mnie wszystko jedno. Nie zobaczymy się sądzę, nigdy więcej, wszystko mi jedno! Jeśli się to nazywa lubieniem, toś niewybredny!

Dobranoc!

Poło yli się i Adam sądził, e towarzysz ju śpi, gdy się nagle odezwał:

- Adam! Osłuchiwałeś ty kiedy swoją pannę po doktorsku?

- Ale nie! Dlaczego?

- Radzę ci to uczynić i jeśli masz nadzieję o enienia się, to wypraw ją na Południe.

Masz być doktorem, a nie widzisz, e ona ma początki suchot. Ty jej chudość bierzesz pewnie, za wynik tęsknoty za tobą, a to tymczasem formują się tuberkuły (*prą tki gruź licy*) w płucach. Będzie z ciebie lekarz jak ze mnie doktor Kościoła...

Adam odpowiedział tylko stłumionym westchnieniem.

V

Pewnego dnia stary Rahoza, wracając z objazdu folwarków, spotkał

na trakcie Rafała. Dzień był upalny. Odzie i obuwie młodego człowieka pokrywał kurz, a na skroni pot się szklili grubymi kroplami. Rahoza, zatrzymawszy konia, pozdrowił Rafała tak uprzejmie, a furman, zdziwiony niebywałym tonem pana, ciekawie się przyjrzał obcemu.

Rafał z lekka uchylił czapki.

- Na pró no czekałem, e pan mnie odwiedzi... - zaczął stary z wymówką, wyciągając do niego rękę. - Gdzie to pan wędruje w taki upał i pieszko?

- Byłem w powiatowym mieście z powodu paszportu, który mi z Monachium przysłano.

- Pan nie tutejszy poddany?

- Bawarski.

- I godziło się to pędzić pięć mil opętanych w ten skwar? Wszystkie moje konie są na pana usługi.

- Dziękuję. Nie lubię jeździć.

- Niech e pan zrobi dzisiaj wyjątek i siądzie ze mną na bryczkę. Zazdroszczę memu leśniczemu, e pana gościem posiada.

- Niesobliwy ze mnie towarzysz...

- Proszę pana. Biorę w jasyr (*niewolę*) i nie uwolnię tak prędko. Rafał wsiadł w milczeniu.

Rahoza z widocznym upodobaniem mu się przyglądał.

- To szczególne, jak mi pan swoją matkę przypomina! - powtarzał głową trzęsąc.

- Dobrze ją pan zapamiętał! - zauważył Radwan sarkastycznie.

- Wra enia młodości pozostają uparcie w duszy. Nic bo oprócz lat młodych nie warte pamięci. Orle to czasy! A ycie nas potem w woły zamienia...

Zamyślił się i nagle spytał:

- Pan daruje niedyskrecję: czy zostawił te ojciec pański jaki fundusz?

- A nadto dla mnie. Potrzebuję bardzo mało.

- Czemu pan nie mój syn! - westchnął stary. - Feliks dobry chłopak, ale kiedy te z tego dziecka człowiek wyrośnie! Zważyłem, czy moje oczy to zobaczą!

- Po có mu być człowiekiem? Straciłby złudzenie, e jest najdowcipniejszym młodzieńcem na ziemi i wiele innych w tym rodzaju wyobrażeń.

- Nie sympatyzujecie ze sobą, niestety! A tak bym chciał was widzieć przyjaciółmi! - rzekł powaźnie Rahoza.

Rafał uśmiechnął się przykro.

- I z nauk jego mała pociecha... Był ju w trzech gimnazjach, a zmienił ju dwa fakultety. Figle i amory zawsze. At, gdzie to młodzie dawniejsza, panie... My, panie, kiedyśmy kochali, to grandioso (*wł. w wielkim stylu*)!... posiwiliśmy, a pamiętamy. A teraz! Ju i lik straciłem miłosnych sprawek mego syna i myślę, e i on, panie, dobrze, je eli dwie ostatnie pamięta. A wszystko to, panie, przez brak emulacji (*współzawodnictwa, rywalizacji*). A to znowu przez pomieszanie klas i stanów. Do złego idzie świat!

- Tym lepiej; mo e prędzej zginie! - mruknął Rafał.

- Tak te będzie. Uwa a pan, co się robi! Kiedyś liczono młodość do lat czterdziestu, potem do trzydziestu, do dwudziestu, teraz w lat dziesięć trzeba dzieci traktować ju jak obywateli, bo więcej od nas prze yli niby, no i przyjdzie czas, e rodzić się będą ludzie siwi i z patentem doktorskim w kieszeni czy te w zębach!

- Tote świat reform ąda, woła, wymaga gwałtem. Tylko e ich mieć nigdy nie będzie, bo nie człowiek stanowi na ziemi prawa etyczne, ale tłuszcza ślepa, kierowana przez teorie zbutwiałe, zachowane jak mumie wbrew i pomimo postępu wiedzy i wolnego rozumu. Ognie stare wpierw zgasić zupełnie trzeba, by nowe zapalić...

Rahoza brwi swe krzaczaste zmarszczył w głębokim namyśle i rozbierał

powoli rzucony program. Człowiek to był, co kwestie świata traktował ze stanowiska skłopotanego wybrykami synowskimi ojca i bogatego właściciela nawykłego za młodu do biernego posłuszeństwa, nieograniczonej władzy pana i nimbu nad głową. Malkontentem był, bo syn nie dbał o niego; podwładni o tyle słuchali, o ile im się to podobało; nimb istniał, o ile pełną była szkatuła; dwór zniwelował się z chatą i dworkiem zaściankowca, a sam pan był de facto sługą całego świata i takim samym pionem mało znaczącym w yciu ludzkości, jak ostatni z jego fernali.

- Hm, hm! - zamruczał markotnie. - Czy pan, broń Bo e, nie nihilista albo socjalista? To bo paskudna kategoria!

- Dopóki ludzkość będzie miała choćby dwie ró ne nazwy, nie postąpi kroku.

Wtenczas dojrzeje do reform, gdy na zapytanie: ktoś ty? ka dy jak jeden mą odpowie: człowiek. Zresztą, sprawa ta osobiście mało mnie obchodzi. Doszedłem ju do tego końca i teraz pytam: co to jest człowiek?

- Hm... I w tym się z panem nie zgadzam. Mnie ju katechizm nauczył, co to jest człowiek; ale aden rozum nie wytłumaczy waszych teraźniejszych teoryj. Jak mnie spytają, kto ja taki, powiem naprzód:

katolik, potem szlachcic, a nareszcie Rahoza. Czemu mam to wszystko zamilczeć? To są dobre świadectwa, porządna rekomendacja! Niech się nazywa prosto człowiekiem, kto w Boga nie wierzy, z Turkami nie wojował i nie wie, kto go rodzi.

- Tote ja w Boga nie wierzę, o Turkach nic nie wiem, a kto mnie zrodził, to mi obojętne.

- Tam do diaska! I to pan syn panny Rafaeli! Bo e wielki! Słyszane rzeczy! Oto ją Bóg pokarał, e wzgardziła złotem dla szychu! Ładnie pana ojciec-niedowiarek nauczył! Bodaj go ziemia była po arła!

- Niech pan raczy mego ojca nie zaczepiać... Nie wam go rozumieć i sądzić! -

podnosząc głos rzekł Rafał.

- Ju go Pan Bóg osądził i pewnie za zmarnowaną onę i skrzywdzoną duszę dziecka w piekle na dnie siedzi. Kolegowaliśmy kiedyś i nieraz go pobiłem, pamiętam! Ha! zemścił się on potem... Oby pan się nigdy tak nikczemnie nie mścił, bo to mu nie triumf był, lecz hańba, a mnie, ot... koniec młodości i wielu ideałów... Nie dało mu to pewnie szczęścia, co mnie odebrał!

- Stój! - rzekł Rafał dotykając ramienia furmana.

Wysiadł i bardzo blady, błyskając oczyma, rzekł głucho z bezgraniczną zawziętością:

- Nazwał siebie pan złotem, a mego ojca szychem! Kochał się pan w mojej matce, a ona wołała mędrca ni półgłówka... Za to go pan nazwał teraz wobec mnie nikczemnym i zhańbionym. To dosyć! Ju ja dobrze zapamiętam, i jak się zemszczę - to te dobrze. Bić się z panem nie mogę, ale obelgi ojca nie daruję!

Przesadził przez rów przydro ny, w zarośla olchowe wpadł i zginął z oczu, zanim oszołomiony Rahoza miał czas oprzytomnieć. Wreszcie prze egnał się, jakby upiora zobaczył, i kazał jechać. Po chwili namysłu ręką machnął i lekcewa ąco się uśmiechnął. Nie przeczuwał nawet, jakiego demona poruszył i rozdra nił.

Tego wieczora, w ober y miasteczkowej, utrzymywanej przez Czeszkę, wdowę po muzykancie, Rafał siedział nad kuflem piwa i spokojny jak zwykle, grał w karty z Ruprechtem. Bardzo schludna i czysta ober a ta była klubem, gdzie się schodzili urzędnicy i starsi oficjaliści. Zawsze pełna wrzawy i rubaszných śmiechów, przypominała Rafałowi knajpy studenckie, gdzie się niczym nie krępowano i zaciągnięty tam przez pedagoga, stał się po dniach kilku codziennym gościem.

Ruprecht wypijał morze piwa, kopał knaster * (*Knaster – gatunek tytoniu fajkowego*) i dysputował w ukochanej rodzinnej mowie; na zakończenie przychodziły karty, ten i ów się przyłączył do kompanii, wrzawa rosła, dym gęstniał, i zwykle późno po północy Rafał, odurzony, wracał do stra y. W ten sposób spędził parę tygodni wiejskich wakacyj.

Tego dnia u Schowankowej (*tak się wabiła Czeszka*) ciszej było ni zwykle. Doktor, stary kawaler, najkrzykliwszy z gości, oddalił się, wezwany do chorego, oficjaliści mieli jakąś sesję u pana,

urzędników nawet zatrzymał na powietrzu śliczny wieczór lipcowy; w dużej sali Czeszka gderała narzeczem nadwęłtawskim na wyrostka syna, a córka jej, ho a dziewczyna usługująca gościom, szła coś u okna, spoglądając bardzo często i bardzo tkliwie na Rafała.

Ruprecht z miną konfidencyjną pochylił się nieco przez stół do towarzysza.

- Była wczoraj okropna burza w pałacu - zaczął prawić. - Pan Feliks oświadczył

ojcu, że do uniwersytetu wracać nie myśli, ale z Sarneckimi pojedzie do Monachium i będzie się na malarza kształcić. Myślałem, że starego schlag ubije!

Kłócili się z godzinę, a ona się baronowa wdała i załagodziła kwestię perspektywą małżeństwa z Sarnecką. To Raahozie jakby ktoś gojący plaster na ranę kładł, bo od dawna ostrzy zęby na graniczący Sarnów. Pogodzili się na takich warunkach łatwo, ale nie koniec na tym. Był list od hrabiego, konkurenta do ręki panny Kazimiery, pytający o ostateczną odpowiedź. Wsiedli wszyscy na nią: namawiali, prosili, potem wymawiali i krzyczeli ze złością. Sądny dzień nastał, bo baronowa marzy o tym połączeniu, a ona na punkcie małżeństwa nie znosi oporu. Herr Je, co się tam działo!

- Za panną nikt się nie ujął? - mruknął Rafał.

- Nikt. Ona sama! Ho, ho, ma ona charakter, choć wydaje się taką słodziutką.

Chimeryczne i niesympatyczne tutejsze panny. Cały naród zresztą ma dziwnie niespokojny temperament. Nieprawda, panie?

- Więc ten błazen na pewno jedzie do Monachium? - spytał młody człowiek zamiast odpowiedzi.

- Na pewno jesienią. Sarnecki tam zawsze spędzają zimę. Ach, ja tu siedzieć muszę! O Je, o Je!

- Truda, piwa! - krzyknął Rafał.

Dziewczyna skoczyła wyo. Szumiące kufle wniosła i uśmiechnięta, zarumieniona postawiła je na stole ocierając się zalotnie, jak kotka, o ramię studenta.

- Rachunek! - rzucił krótko, znosząc obojętnie zaczepkę i ciskając karty na stół.

- Nie będziemy ju grać? - spytał zalem Ruprecht.

- Nie; płacę i wychodzę. Meine Zeit ist aus (*niem' Mój czas się skoń czył!*)!

Wstał i przeciągnął się. Z oczu bił mu rzadki blask, a usta się uśmiechały.

Wychylił duszkiem kufel, czapkę włożył na prawe ucho i wyprostował się w całej okazałości swej smukłej postaci.

Potem garść srebra rzucił na stół i Ruprechtowi głową skinął.

- Wam czas do budy pałacowej, a mnie w drogę. No, na rozstanie, jeszcze jeden kufel, Truda! Nie myślałem, e tak długo zabawię!

- O Je! Jak to? Pan odje d a? - wytrzeszczając oczy zawołał Niemiec.

Rafał usta otarł, ręce w kieszenie wnurzył i

idąc ku drzwiom, zanucił burszowską * (*Bursz – tu: młodzieniec, zwłaszcza student wiodą cy wesole, hulaszczycie*), piosenkę: Dziewczyno, ot nowina! W świat idę! To mi raj! Ostatni raz daj wina, ostatni całus daj!

Truda, jakby pociągnięta magnetyczną siłą, poskoczyła za nim i na progu stanęła tłumiąc łkania.

Niefrasobliwa, swawolna, cyniczna, brzmiała

druga strofa: Weź kredę, moje długie tu zapisz, na tych drzwiach! Zabawię rok i drugi, ty jednak nie toń w łzach.

Noc była przezroczysta, głos się szeroko

rozchodził i sylwetka młodzieńca długo była widoczną.

Ruprecht wybiegł z ober y i wołać począł, by na niego poczekał, ale Rafał nawet się nie obejrzał. Jak ptak, gdy się zrywa do lotu, szedł coraz prędeziej i jakby na drwiące po egnanie rzucił im z oddali ju ostatnią strofkę

niemieckiej piosenki: A jeśli gdzie daleko, sądzono zginać mi, fartuszkiem swoim lekko rachunek zetrzyj z drzwi!

Adam, nie doczekawszy się powrotu swego gościa, zasnął twardo i śnił

anioły i Kazię, gdy go brutalnie szarpnięto za ramię. Otworzył oczy i jak ruszony sprę yną usiadł na posłaniu. Przed nim, oświecony dr ącym światłem jednej świecy, stał Rafał, bez munduru ju , ale w najgorszym odzieniu i długich butach.

Przez plecy, jak ołnierz, niósł zwinięty płaszcz i rodzaj tornistra, a w ręce trzymał

kij.

Oszołomiony Adam milczał i patrzył myśląc, e śni dalej, a Radwan rzekł

spokojnie:

- Obudziłem cię, ebyś okno za mną zamknął, bo cię komary zjedzą.

- A ty dokąd idziesz! Zostań i kładź się spać! Sarnecki znowu ciebie szukał na pró no dzisiaj cały dzień.

- Powiedz mi, e się zobaczymy jesienią w Monachium. Zawahał się sekundę i dodał:

- A ty, Adamie, bywaj zdrów. Ucieszę się, jeśli posłyszę, e ci dobrze, ale chyba e nigdy tak się nie stanie.

Wzrok i ton złagodniał na sekundę, gdy to mówił; odwrócił się i usiadł

konno na niskim oknie, zabierając się w ten sposób do wydostania na podwórze.

- Rafale, dokąd ty idziesz? Co to znaczy? - zawołał Adam.

- To znaczy, em tu przyjechał na twoje prośby. Obiecałeś, e nie zobaczę Feliksa, a spotkać go i znosić musiałem codziennie! Zostałem, bom poprzysiągł się zemścić nad nim. Dzisiaj stary mnie śmiertelnie obraził i dowiedziałem się, e Feliks do Monachium jedzie! Va bene (*dobrze*)! Tam, na moim terytorium, rozegramy naszą partię. Ju pozostawać tu dłu ej nie potrzebuję. Spotkamy się, a mnie czeka daleka droga. Idę ju tedy, bo czasu mało mam do jesiennych kursów.

Bywaj więc zdrów.

- Czyś oszalał tak odchodzić i dokąd, i po co?

- Dokąd? Do Indyj, a po co? Ot tak, u yć przestrzeni i zaspokoić ciekawość.

Osobliwy tam świat zobaczę i w jakim klasztorze buddystów naukę ich przewertuję. Mniej to mi zajmie czasu ni czytanie elukubracji, * (*Elukubracja –*

tekst, rozprawa opracowane z mozolem, bez talentu, miernie), które Europejczycy o nich wypisują. Wasz Chrystus stamtąd naukę swoją wziął i miliony w nią wierzą, choć zapewne skoszlawiona i ydowskimi fantazjami popsuta. Część prawdy jest w ka dej bredni, zobaczę, czy warta zastanowienia i badania. Za pół roku wrócę do Monachium rachunek z Rahozami uregulować!

Tymczasem bywaj zdrów. Zsunął się z okna na ziemię i zniknął.

Adam zerwał się na nogi, w sekundę się ubrał i pobiegł za nim. Zdyszany, dopędził wędrowca ju w połowie drogi do miasteczka.

- Czegoś tu? - mruknął niecierpliwie Rafał. - Zatrzymać mnie chcesz? Pró na fatyga, nigdy z drogi nie wracam, więc lepiej nie zaczynaj, bo się rozgniewam!

- Wiem, e prosić nie warto ciebie, więc chocia przeprowadzę cię trochę.

Radwan nic nie odparł; szerokimi krokami minął miasteczko uspione i głuche, wyszedł między pola.

- Rafale, masz się mścić nad Rahozami - rzekł nieśmiało Adam - powiedz mi za co?

- Bo mi się tak podoba.

- To odpowiedź niezgodna z twoją szlachetnością, a zemsta sama niezgodna z twymi zasadami. Nie czyń tego!

- Mnie się zdaje, e ośmielasz się mi radzić i uczyć!

- Nie, tylko cię proszę. Zostaw ich w spokoju i daruj, jeśli się czujesz obra onym.

- Darować, ja! Ha, ha, ha! Marzysz chyba!

- To jej rodzina! - szepnął jeszcze ciszej Adam.

- Jak ich nie będzie, weźmiesz ją sobie. Wyrównam ci drogę.

- Przez jej cierpienie osiągnąć szczęście! Nie! Wolę sam zginąć.

- To te zginiesz, to cię nie minie. Gdybyś rozum miał, poszedłbyś ze mną na skraj świata i wysłał swe marzenia do nurtów Lethe; * (*Lethe, Lete* – w mitologii greckiej rzeka zapomnienia w Hadesie, krainie zmarłych), ale ty zostaniesz, boś nie człowiek, ale atom z tłumu. Nie idź ju dalej, bo i po co? Nie mamy o czym mówić więcej!

Stali właśnie na rozdro u, gdzie wśród dwóch brzóz płaczących stał krzy stary.

- Piesz idziesz. A kolej? - zagadnął ociągając się Adam.

- Jak mi dokuczy iść, znajdę drogę do stacji. No, wracaj, bo mi tylko czas mitrę ysz!

- Czy się spotkamy kiedy? - rzekł Lachnicki smutno.

- Nie, zapewne, bo moje miejsce tam, gdzie gromy biją i burze światy pustoszą, a twoje tam, gdzie starzy gderzą, baby spazmują i bachory wrzeszczą! yczę ci powodzenia!

Zawrócił się i odszedł prędko. Po chwili przecie się obejrzał. Adam jeszcze stał i patrzył na niego.

- Chodź ze mną! - rzucił kusiciel. Chłopak głową potrząsnął.

Wędrowiec zaśmiał się pogardliwie i ruszył dalej. Po chwili w kierunku oczu Lachnickiego został tylko szlak ciemny i pusty zupełnie. Człowiek, którego kochał pomimo wszystko, z mrokiem się stopił i w noc się pogry ył. Nie pozostało po nim ani śladu.

VI

- Słyszeliście, koledzy? Bert Andenberg powrócił.
- Gdzie, kiedy, jak?
- Dziś rano; profesor Jan omal nie padł raony apopleksją na widok ukochanego synowca.
- Albo co?

- Wyobraźcie sobie poczwarę w bluzie marynarskiej, w spodniach francuskiego *uawa*, * (*uaw – ołnierz korpusu piechoty francuskiej utworzonego w Algierii w 1831 roku*), w czapce baskijskiej z kutasem i w tyrolskich, kutyh trzewikach!

Brakło tylko tatuowania i chińskiego warkocza! Otó to straszdyłło rzuca się w objęcia szanownego profesora patologii (*nauki o chorobach*), wrzeszcząc na całą ulicę: Mein g Leibter Onkel (*niem' Mój ukochany*)!

Biedny profesor Jan! Zbiegło się na to dziwo ze dwa tuziny ró nych oberwańców i w ich miłym towarzystwie, przy wtórze śmiechów i conceptów znikli koligaci w sieni domu. Oto wszystko, com widział.

- Musiał profesor Jan zabić tłustego cielca na powrót marnotrawnego syna, bo Sepp mi mówił, e nie był dziś na wykładzie.

Dwóch towarzyszy mówiącego wybuchnęło śmiechem.

- Świat się kończy! Franz Ruprecht wspomina święte księgi! Czy nie myślisz pójść do spowiedzi, Belzebubie?

- Na Szpas (*niem' art*) dla was i owszem! Ale związany jestem słowem z Radwanem. Mamy odbyć ten akt razem.

- Pan Bóg mo e zatem długo na to czekać, a twoje rodzeństwo i matka wymrze z głodu, jeśli się nie weźmiesz do innej pracy ni małpowanie Radwana. Ten przynajmniej uczy się w przerwach dysput i gry w karty.

- Ach, te dzieci! Skąd się ich takie mnóstwo bierze na świecie! U mnie tego w domu jak mrówek!

Franz Ruprecht zrobił grymas komicznej rozpacz.

- Tego za wiele, a starych, pracowitych dziadków za mało.

- Tak, tak! Ci się nie mno ą!- zaśmiał się Ruprecht cynicznie.

Był to wysoki blondyn, twarzy szerokiej pokrytej rzadkim zarostem.

Włosy, z dawna nietknięte noycami, spadały na kurtę rozpiętą. Na samym czubie głowy niósł dumnie pasową czapkę. Prętem bił w takt jakiejś piosenki o swe palone buty. Mruył oczy, snadź krótkowidz, i rozglądał się na wsze strony.

Późny zmrok letni pokrywał ulice, gaz się spierał z jasnym niebem, gromadki studenckiej młodzi mijały ich co chwila, dając w jedną stronę. Rzucano sobie hasła, pozdrowienia, koncepty, uściśnienia dłoni, przezwiska. Wśród nich Ruprecht szukał kogoś, ścigając wzrokiem odznaki słuchaczy filozofii.

Gorączkowy ruch panował dnia tego wśród tej całej młodzi y bujnej i wesołej, a na ustach ka dego było imię Berta Andenberga.

Dobrze być Herostratem, * (*Herostrat – człowiek, który powodowany nieokiełznaną ą dzą sławy, usiłuje uwiecznić swoje imię haniebnym, zbrodnicznym uczynkiem. Herostrat, szewc z Efezu, aby zdobyć nieśmiertelną sławę, podpalił w 356 roku przed Chr. Świątynię Artemidy Efeskiej, jeden z siedmiu cudów starożytnego świata*) w braku innej sławy.

Ów Bert póty broił, dokazywał i szalał, a ugrzązł głęboko w głowie policji, stryja, filistrów, * (*Filister – człowiek ograniczony, małostkowy, obojętny na dobro ogółu*), dziewcząt i kolegów. Syt rozgłosu i chwały, uznał za stosowne osierocić Monachium. Pewnej nocy, przed czterema laty, spokojni mieszkańcy nadziwić się nie mogli niczym nie zamąconej ciszy. Nazajutrz nie znaleziono potłuczonych szyb, powalanych jajkami kamienic, poprzemienianych szyldów; nie znaleziono te nigdzie Berta.

Profesor Jan, wbrew sercu i ochocie, ale z poczucia obowiązku zarządził

poszukiwania i z bardzo miernym skutkiem przyjął urzędowe sprawozdanie: Berta ani śladu.

Można na sobie jasno wyobrazić uczucia szanownego stryja na widok zmartwychwstałego wstydu nazwiska i rozruch całej burszerii.

- Bert! Bert! Bert! - huczało w powietrzu.

- Czy cię wybrano, Egon, do turnerów (*zawodników, rywali*) na zjazd w Dusseldorfie? - spytał nagle Franz, niezdolny utrzymać przez pięć minut niestałej myśli na jednym przedmiocie. Ju go znudził bohater dnia.

Pytanie stosowało się właśnie do zwiastuna powrotu awanturnika.

- Chyba byłeś pijany wczoraj "Pod królem Faraonem" w czasie wyborów? - odparł

zagadnięty szczupły Tyrolczyk.

- Nie byłem, bo... bo... - Franz się zająknął.

- Uczyłeś zapewne katechizmu młodsze rodzeństwo! - mruknął trzeci towarzysz.

- Wiemy, wiemy!

- Cóż tam było "Pod Faraonem"?

- Przy wyborze dziesięciu przedstawicieli naszego koła panował spokój i zgoda jaka taka. Chodziło o prezesa. Kohler, nasz prymus, postawił Radwana i tego Polaka, malarza, intruza, Rahożę. Ja pierwszy zaprotekowałem. Protestowałem ju dawniej, gdy tego artystę przyjęto "Pod Faraonem". Co studentom do malarzy?

Nie posłuchano mnie; odtąd ciągle mamy zajścia i wczoraj powstał sądny dzień.

Miotali się jak potępienci, natłukli szkła i stołków na sto talarów; chryja doszła do tego stopnia, e a policję zaalarmowali. Ha, ha! daliśmy dowody niepospolitych zdolności szermierskich!

Student się śmiał i zacierał ręce, snadź amator podobnych dysput z mimiką.

- Na czym e się skończyło wreszcie?

- Na niczym. Kohler ochrypl, wzywając do porządku, i odło ył głosowanie na dzisiaj. Jutro wyje d amy na zjazd.

- A kandydaci?

- Rahoza bawił się i śmiał jak szalony, a najgorszych swych przeciwników poszkicował na ścianach, mnie, naturalnie, na czele, błazen! Radwan zaraz na wstępie usunął się do bocznej salki. Poszedł za nim Rudi, Kurt, Toni, Achethal i Mathias Palk, i w czasie całej awantury najobojętniej grali w karty, jakby nie słyszeli hałasu.

Wpadam, wrzeszczę, e się tam zabijają na sali. "Mała szkoda, jak ich tam kilku nie stanie"

- odpowiada mi Rudi z najzimniejszą krwią. Radwan bank trzymał i rzucił mi piorunujące spojrzenie, które mnie za drzwi wyгнаło. Wyobraźcie sobie, ani zapytał o swój los!

- Naturalnie ty za nim głosujesz? - spytał Franz. Nie miał on głowy, sensu i rozumu, ale jak ka dy głupiec, w chwilach stanowczych był ostro ny i chytry.

Przejmował się myślami i zasadami innych jak gąbka, zawsze pamiętny, by sam nie został. Większość mogła być pewną, e go będzie miała za sprzymierzeńca krzykliwego a tchórze.

- Ka dy, kto się turnerem zowie i dobrze yczy naszej deputacji, stanie po jego stronie! - wygłosił Egon, jakby mówił o dogmacie wiary. - Ma nerwy stalowe, mięsy sprę yste, wiele zimnej krwi i siłę Herkulesa. Nikt go nie pokona!

- A jednak ja głosuję za malarzem! - ozwał się ostry głos trzeciego kolegi. - Prezes deputacji nie mięsów potrzebuje, ale werwy i wprawnego języka. A w tym malarza naszego nikt te nie pokona. Radwan jest nieznośny zarozumialec i gbur.

- Nic mi do jego charakteru. To wiem, e jest turner jakich mało, i ka dy, co się na tym zna, jego wybierze. Wymowa potrzebna po kirchach * (*Die Kirche /niem./* -

kość ciół), i pedagogicznych zjazdach to nie broń turnerów. Malarz niech maluje, a do nas się nie wtrąca. Postawię ja jeszcze na swoim i doprowadzę, e go z naszego towarzystwa wykreślą.

- Prędszej Radwana to spotka za zuchwałę zaczepki, pychę szatańską i szulerkę.

Słuchacie go jak wyroczeni przez pamięć na rozum jego ojca, a on wami pomiata i drwi z was w ywe oczy.

- Wolę, aby ze mnie drwił rozumny ni półgłówek. Radwan ma du o nauki i rozsądku, i wcale gburem nie jest. eby mi tak kto dokuczał, jak ten twój malarz jemu, to bym łajał i bił od świtu do świtu!

Rozmowa coraz bardziej przybierała charakter kłótni. Franz tylko milczał

roztropnie, ale ju nie szukał wśród snującej się studenterii czapki filozofa.

Ostygł nagle w swym zapale dla Radwana.

- Hej, wy bracia turnery, salve (*łac' witaj! bą dź pozdrowiony*)! Dokąd dą ycie tak śpiesznie, dzieci mej duszy! - ozwał się wesoły głos za nimi.

Obejrżeli się z mimowolnym uśmiechem. Troje rąk wyciągnęło się z powitaniem. Przed nimi stał Feliks Rahoza, szykowny, ubrany bez zarzutu, ze swobodnym swawolnym uśmiechem, co mu rozchyłał pąsowe wargi, z niefrasobliwą pogodą w jasnych oczach. Wyglądał jak uosobienie dobrego humoru, szczęścia i młodzieńczej swobody. W lewej ręce trzymał ogromny bukiet bzu i ró , prawą podał do uścisku.

- Phu! Ledwie yję! - mówił dalej. - Zbieram бага e, bo czas do domu pchać, a tu wizyt po egnalnych milion!

- Wizyt z bukietami! Ba, takie niecię kie! - zaśmiał się Franz.

- Bodaj najcię sze, gdy ich za wiele! Patrzysz z zawiścią na te ró e. Przez pamięć na twego dziada, a mego profesora, dam ci jedną dla twojej Gusty. Masz! A wy dokąd idziecie? "Pod Faraona"?

- Naturalnie; czekamy na ciebie, dziś losują.

- A to utrapienie, ten zjazd!

Wczoraj dałem mój głos za tobą, Egonie, i dziś zrobię to samo. Doprawdy, nie pojmuję, po co się kłóć. Radwan, eby umiał się znaleźć, powinien zrezygnować dla uniknięcia przykrych scen i kompromitacji!

- Rafał bardzo pragnie być prezesem! - wtrącił Franz.

Egon milczał; trzeci student podniósł skrzypiący głos:

- To bardzo źle, je eli filozof czegoś pragnie. Powinien być niedostępny uczuciom ludzkim i zwalczać

w sobie naturę.

Warto, ebyś i ty tę walkę rozpoczął, nim cię ółć zaleje, pomyślał Egon, ale zatrzymał uwagę przy sobie jako nie należąca do ywotnej kwestii jego istnienia: turnerstwa i gimnastyki.

Feliks się roześmiał.

- Wścieknie się Rafalek, gdy go nie wybiorą! Ale to będzie słuszna kara za pomiatanie kolegami. Ma on was wszystkich za głupców i niedołęgów.

- To się jeszcze poka e! - mruknął ółciowy student.

- Kiedy wczoraj moje imię padło, byłem wam niezmiernie wdzięczny za wyró nienie, chocia obcego narodowością i nauką; ale te bez alu i urazy ustąpię, bo wielu jest godniejszych. Addio (*wł. egnajcie*) tymczasem, bo moja droga w lewo.

- Ale przyjdiesz "Pod Faraona"?

- Przyjdem, chocia by dla poznania miejskiej bajki, Berta. Do widzenia!

I chłopiec pobiegł dalej, nucąc swym pełnym głosem: Gott schuf die Rosen zum brechen, zum Kussen den schonen Mund.

- Setny chłopiec! - zawołał ółciowy student.

- Wesół jak pliszka, niecnota! - dodał Franz.

- Tak, ale aden turner! - zakończył uparty Egon.

Umilkli, bo wchodzili ju na próg swej piwiarni, noszącej za szyld jaskrawego gnębiciela ludu izraelskiego. Czy ten mumijny monarcha wynalazł

piwo, czy je pijał chętnie lub czy uwolnił od podatku, tego nie wiedział

"ojciec Fratz", właściciel knajpy; ale to wiedział, e pod jego patronatem działo się dobrze i e zakład jego o wszelkiej porze dnia i nocy pełen był jak jajko. Co się tam działo w tej wielkiej sklepionej sali w suterynach! Setki "szalonych" burszów starszych i młodszych, gęsty opar z oddechów, jeszcze gęstszy dym z fajek poznaczony, jak mglistymi gwiazdami, płomykami gazu u ścian, piwo wszędzie: po szklankach, stołach, na asfalcie, pod nogami.

W atmosferze tej wybuchy śmiechu, brzęk szkła, kłótnie, układy na wycieczki, egzamina, konkursu, wyścigi, polowania, studia, uczone dysputy obok skandalicznych anegdot, toasty i debata nad polityką, artystyczne zapawy wśród zwrotek hulaszcejszej piosenki. Twarze wybladłe i ogorzałe, brodate i bezwase; chłopcy po lat szesnaście i mę czyźni trzydziestoletni; mozaika strojów, twarzy, charakterów, chaos dialektów i wyra eń, w których tylko student niemiecki mo e dojść ładu i obracać się swobodnie. Czasem z tego chaosu i niewyraźnych konturów biesiadników mignął jak motyl ró owy fartuch usługującej dziewczyny, łysina i biały kaftan samego "ojca Fratza". Czasem jaki bohater

dnia wznosił się na barkach kolegów do brudnego sufitu; czasem latały w powietrzu białe stołki i ławy, zwykle jednak huczało tylko jak w kotle i roił się jak ludzkie mrowie tłum wchodzący, wychodzący lub uczujący przy uprzywilejowanych stolikach. Dzisiaj nie było partyj; tłum się skupił, wlepił oczy i słuch w rzadkiego gościa.

Bert Andenberg, ju ubrany po europejsku, siedział na stole zarzuciwszy nogi na poręcz krzesła. Ręce po łokcie zanurzył w kieszenie, oparł plecy o ścianę i mówił coś przez zęby, spluwając co chwila. Na wstyd synowca profesora Jana musimy wyznać, e uł flegmatycznie szczyptę tytoniu.

Mę czyzna to był w sile wieku, wyschły, ółty, ze śladami wszystkich chorób, wszystkich swawoli, włóczęgi. Oczy cyniczne i zuchwałę utkwil w światło gazu na przeciwległej ścianie, jakby z niego snuł nić swych wspomnień.

Były to oczy dzikiego człowieka lub zwierza, na pozór bezmyślne i zamglone, ale które widzą, niby nie patrząc, najdrobniejszy szczegół wokoło siebie.

Na stole obok palił się poncz * (*Poncz – gorą cy napój alkoholowy a wina, araku, rumu, herbaty, soku cytrynowego, cukru i przypraw korzennych*), w wazie, pod nosem czerwonym bursza kudłatego, snadź praktyka w kwestiach spirytualnych, a studenci stojąc, siedząc na ławach i stołach otaczali szczelnie narratora.

- Powiadasz zatem, Hans, e znasz trzy słodkie gorycze na świecie: tytoń, piwo i miłość! - cedził Bert powoli, w chwili gdy nasza trójka spóźniona wkraczała na salę.

Zatrzymał się, jakby przypomniał sobie wra enie wymienionych rozkoszy.

- Tytoń, ale nie te wasze opieczętowane fabrykaty! Niby wy znacie, co to prawdziwy narkotyk, wy, worki bawełny, chińskie straszydła, krokodyłowe dzieci! Próbowaliście betelu, haszyszu, konopi? Paliliście opium? Ach, opium!

Umilkł, goniąc jakieś wspomnienie.

- Paliłeś opium? Istotnie dobre to? Gadaj, Bert! - pytano.

- Czy paliłem? Confound (*ang. Do licha*)! A który marynarz był w chińskich portach i nie palił? Spytajcie Johna Haringa z "Pretty Rat" (*ang. Ś liczny szczur*).

On dobrze pamięta d onkę * (*D onka – chiń ski statek aglowy o szerokim krótkim kadłubie silnie wypię tym ku górze na dziobie i rufie, z aglami z mat*), Yang Tsana w porcie pekińskim.

Kudłaty bursz podsunął opowiadającemu szklanke ponczu. Wiedział od dawna, e to było sezamem Bertowego języka. Synowiec profesora patologii z widocznym alem wypuł prymkę (*tytoń do ucia*), wypił duszkiem gorący napój, wyprostował się, zaklął w dziwnym argonie i zaśpiewał z całej piersi zapewne chińską melodię z gmatwaniną słów pozbieranych w portach całego świata.

Ju nie krew, lecz poncz płynął mu w yłach.

- Ach, opium! - zaczął. - To mi specjał dopiero! Dają ci ot, taką szczyptę białego proszku w fajce. Pokoik mały, sklecony na d'once pełnej kwiatów i Chińczyków, jaskinia zbójców z pozoru. Pociągasz kilka kłębów białego dymu: cze! Pokoik znika i do raju wchodzisz. Jakby cię kto w Lecie wykapał. Ni zmęczenia, ni choroby, ni trosk, ni zawodów; ogarnia cię szal rozkoszy, śmiechu, śpiewu. Co wam gadać filistry! Ot co! Kto opium nie palił, ten nie widział ponętnych kobiet, ten nie słyszał pięknej muzyki i śpiewu, ten nie zaznał ni sławy, ni rozkoszy, ni całego upojenia. Coś w bajkach słyszał, widzisz prawdziwie; czegoś w yciu zapragnął masz, coś stracił, odzyskujesz! Ot, co jest opium!

Oczy Berta zamgliły się znowu, wlepił je w gaz i zamilkł.

- A tobie co się marzyło? - miał odwagę zapytać Franz, opierając brodę na pięści i wychylając z grona kolegów swą głupią, rozpromienioną fizjognomię.

- Marzyło mi się, e będę miał ciebie za powiernika, ty pusta ostrygo, flądrowa rzeczna, lądowy polipie!
- była burkliwa odpowiedź.

- Czemu nie wychowanka profesora Jana i jego kapitały? - zrobił uwagę ółciowy student.

Oczy Andenberga spoczęły na burszu wyzywające, bezczelne, szydercze.

Sięgnął po poncz i pił go długo, powoli, piekąc arem wargi i gardło. Czerwona siatka ył zaszła na białka, na czoło wystąpiła purpura krwi i gorąca.

- Ha, ha, ha!? - zaśmiał się krótko. - Wychowanka stryja i pieniądze, mnie, Bertowi? A o czym e wy byście marzyli, gdybym wam to zabrał? Albatros *

(*Albatros – wielki ptak morski, zwykle biały, wytrwały w locie, o silnej budowie ciała, okazałej głowie i mocnym dziobie, długich skrzydłach*), nie rozgrzebuje śmietników i nie śpi na grzędzie. Na to są kury, indyki i wrony! Podłe plemię niewolników! Nie dla was ycie wolne, nie dla was opium i taki sen! Nie, nie i trzy razy nie, jak szanuję mandaryna * (*Mandaryn – europejska nazwa dostojnika i uczonego w chinach cesarskich*), Czen pu tse kin, co mi kazał dać bambusami!

Przy ostatnich słowach oczy zagasty, głos awanturnika, drgający wstrętem i zapalem, zamarł i przeszedł w zwykły chłodny cynizm.

Studenci milczeli chwilę, nie wiedząc, czy się mają śmiać, czy obrazić, ale ju Franz jakimś cudem wśliznął się do mówiącego i tkał mu cygaro, piwo, poncz.

- Jak to bambusami? I dostałeś?

Ten tylko szczegół zapamiętał z całej tyrady.

Bert obrzucił go od stóp do głowy pogardliwym spojrzeniem, jakim człowiek rozumny patrzy na idiotę.

- Czy dostałem? Ja (*niem. tak*), Bert Andenberg dostaje tylko to, co chce dostać.

Chodziło mi o córkę szanownego papy z trzema guzikami na czapce i z dwoma wachlarzami u pasa. Bambusy dawałem mu na pamiątkę.

Ton powa ny tej odpowiedzi tak był komiczny, e cała knajpa wybuchnęła homerycznym śmiechem. Zawrzało jak w garnku.

- Kiedyś zaczął, to skończ! Czy Chinka ładna? Jakes się z nią rozmówił?

Franz, eby nie stracić ani słowa, wlażł na stół nie zwa ając, e płomień gazu smali mu tak starannie zachowaną czuprynę.

Andenberg patrzył na to spod brwi. Uśmiech sarkazmu skrzywił mu usta.

- "Czen Te pu Tong Ta Lang, Diz Ya mi flaming! - wyrecytował powa nie. - Tak mówi wielki Yo! To znaczy, ebyś wiedział, szympansie bawarski: Nie bądź

ciekawym sprawą z kobietą bliźniego twego, a dostaniesz placek w niebie. Nie będziesz go jadł, jurysto (*prawniku*), jak szanuję Wielkiego Lamę, * (*Wielki Lama*

/właść. Dalajlama/ - najwy szy zwierzchnik duchowy lamaizmu), i pójdiesz do piekła, pingwinie, gdzie będziesz szynkował diabłom tabakę, stara płotko! To ci zaręczam! Któ to roztropny potrzebuje lingwistyki (*ję zykoznawstwa*) w świecie? Jak w restauracji poka esz język, to ci kelner migiem poda wołowy ozór, a poka Włochowi figę, to cię zasztyletuje bez dalszego tłumaczenia. Przecie kobiety roztropne w ka dym kraju, gdy chodzi o ich wdzięki.

- A mandaryn, mandaryn? Co ten robił - piszczął Franz bynajmniej nie zra ony piekielnym hałasem.

- Mandaryn wrzeszczał: "O mi to Fo! O mi to Fo!", patrząc na pogoń za mną. Przy ostatnim murze jakieś lekonogie chińskie zwierzę chwyciło mnie za warkocz, bom był ubrany jak prawowierny syn Niebieskiego Państwa. Warkocz został mu w ręku, ja ju byłem na swobodzie! Vale (*łac. Bywaj zdrów! egnaj!*), piękna Yao Fe Mi! Poleciałem na "Pretty Rat"!

- Yao fe mi! Piękne imię! Jak es się dopytał, kiedyście milczeli?

- To ju moje osobiste przypuszczenie! Wielki Yo nazywa tak pewnie cały ród kobiecy, bo to znaczy po chińsku: grzeszne, ale smaczne! I racja, jakem Bert włóczęga!

W gronie tym zdanie ostatnie zyskało ogólny poklask. Skierowane na ten tor myśli i języki studenckie rozpoczęły formalną szermierkę. Rzucano koncepty, anegdoty, uwagi, parafrazowano * (*Parafrazować – rozwijać , zmieniać czyjąś myśl*), temat na wszelkie sposoby. Oczy Berta strzelały gdzieś w dal ponad głowy wesolej, rozhulanej rzeszy. Zmarszczył brwi, szukał czegoś w swojej pijanej głowie i nieporządnym wspomnieniach, potem uśmiechnął się zadowolony.

Z czego? Trudno było odgadnąć. Nikt zresztą w tej chwili nie śledził go, bo nawet Franz, wbrew zwyczajowi, siedział zamyślony i milczał.

- Bert, ja pójdę z tobą! - wyrwał się nagle z impetem.

- Co? - spytał awanturnik.

- Zabierz mię z sobą na wędrówkę.

- Ha, ha, ha! Który to bujny projekt kariery? - zawołał któryś z kolegów.

- Kiedym go poznał, był w terminie u zegarmistrza, potem miał po kolei gust do aptekarstwa, tajnej policji, wojska; chciał zostać pastorem, hecarzem, śpiewakiem, teraz wertuje kodeks Justyniański * (*Kodeks Justyniana – zbiór prawa rzymskiego wydany w VI wieku z polecenia cesarza Justyniana I wielkiego; podstawa Kodeksu Napoleona*), i Spinozę. * (*Benedictus d'Espinoza /1632-1677/ - filozof holenderski*). Podobno nawet jakiś czas namiętnie lubił garbarstwo!

- Bo mu własną skórę za mało garbowano! - zdecydował bardzo trzeźwo pijany Bert.

- Ale mnie weźmiesz z sobą? - prosił Franz nie zbity z tropu błagalnie, ałośnie jak pięcioletnie dziecko.

- Wezmę dla przypomnienia garbarstwa, pędzaku, i w dodatku dam dobrą radę.

Dla zabicia manii włóczęgi roznoś pocztę po mieście lub chodź z katarynką. Ha, ha! zabrać ciebie, mo e z matką i stadem dzieciarni? Z was stu nie ma dwóch zdolnych na wagabunda (z łac. włóczę g a), wy, ziemne krety, morskie cieleća, lądowe robactwo!

- Dlaczego? - spytał obra ony głos.

- Dlaczego, pawianie? - Szare źrenice zamigotały zielono, pięść spadła na stół, jakby go roztrzaskać miała. - Dlatego, e ka dy z was tęsknić potrafi i ma do czego wrócić. Jednego bym tylko wziął.

- Którego?

- Ot, tego tam.

Wszystkie oczy poszły ciekawie za ręką Andenberga; chwila milczenia, podziwu i nagle jednogłośny szalony wybuch śmiechu rozległ się ze wszystkich piersi, a zadr ały szyby i drzemiący "ojciec Fratz" porwał się na nogi, przera ony o swe ściany i zdrowe zmysły kundmanów (z niem. klientów).

Ten, co wywołał wesołość, siedział samotny w kącie sali, z dala, przy pustym stole. Biała czapeczka pokrywała kędzierzawe włosy, wysoka postać pochylona była nad stołem. Wsparł na nim oba łokcie, pięściami podparł skronie, spod gęstych brwi wzrok strzelał ostro w twarz mówiącego. Nie wiadano, kiedy przyszedł, nie wmieszał się do ogólnego grona, nie odezwał się wcale, nie uśmiechnął się ani razu, tylko patrzył zasluchany, powa ny.

Twarz jego, o regularnych, wyrazistych rysach, uderzająco piękna, zachowała spokój nubijskiego sfinksa. Zagasłe od dawna cygaro gryzł w zębach bezmyślnie. Zdawało się, e nie widział knajpy, Berta, e nie słuchał opowieści o ideale awanturnika, e to tylko jego ciało odpoczywało na tej ławie w zmęczonej czy niedbałej pozie, a duch snuł jakieś mgliste, abstrakcyjne obrazy.

Drgnął na sto par oczu utkwionych w siebie. Spuścił źrenice, które na sekundę zamigotały fosforem; obraźliwa wesołość kolegów wstrząsnęła nim całym, nie wybuchnął. Wyciągnął rękę po obok leżący dziennik i milczał.

- Czego się śmiejecie, małpy, rekinowe wyrodki, ławico ostryg?

- potęny głos Berta opanował huragan śmiechu. - Myślicie, e go nie znam i rzucam słowa na wiatr jak Tybetańczyk! Radwan, chodź e tu mały i daj łapę! Aleś wyrósł, ledwie cię poznał! A pamiętasz nasze wakacyjne wycieczki, pędraku?

Wróciłeś na stare śmiecie!

Ładna, artobliwie uśmiechnięta twarz Feliksa wynurzyła się przed Bertem.

- Szacunku więcej i czci, panie Andenberg, dla sławy! - zawołał. - Na kolana przed mistrzem! To ani pański, ani tych panów kolega; to piramida, a my piasek pustyni!

Śmiechy zawrzały znowu, przeplatane niechętnym warczeniem, ale Bert nie słuchał. Lekceważąco spojrzął na mówiącego; mo na zaręczyć, e go obdarzył w myśli eleganckim przekleństwem, i z jedną ręką do uścisku wyciągniętą, w drugiej podnosząc szklanę zapalonego ponczu, czekał.

Rafał podniósł się z miejsca i szedł niewzruszony, spokojny przez tłum rozstępujących się kolegów. ylasta, zimna dłoń Andenberga spoczęła w dłoni filozofa. Rafał wziął drugi kielich płonący; tręcili się.

- Biorę cię za słowo! - mruknął Radwan. Spojrzeli sobie w oczy.

- Powiedziałem! - rzekł stanowczo Bert.

Obydwa zgasili sinawy płomyk i wypili duszkiem rozpalony płyn.

Andenberg cisnął kieliszek o asfalt.

- Co nie ze stali, tak mu! - zwrócił się do Rafała. - Masz swe przytulisko w tym przeklętym mieście?

- Na Salzgasse dawne mieszkanie ojca. Znasz?

- Znam. A wolnyś?

- Jak ptak.

- To chodźmy. Prześpię się i pogadamy. Basta! - zawołał zeskakując ze stołu.

- Bywajcie zdrowi! Jazda, Radwan!

- A to gdzie? - zawołał Feliks. - Do Egiptu z piramidą? Ostro nie, pochłonie was Czerwone Morze w postaci profesora Jana!

- Rafał musi zostać! Potrzebny do wyborów! - wrzasnął Egon z głębi.

Wypadł jak bomba, przeszedł nie wiadomo jak, chyba po głowach kolegów, i ju trzymał ideał turnerów za rękaw surduta.

Szturmem tylko i walką mo na się było od niego odczepić. Ale Rafał o boju nie myślał. Stał chwilę wahający, oczy spuścił, nerwy na twarzy bladej kurczyły się i wyprę ały wewnętrzną walką. Nareszcie podniósł głowę.

Nieustraszonym, zuchwałym spojrzeniem objął wszystkie twarze, zaciął zęby i gwałtownie, szybko wrócił na swe miejsce.

- Meinetwegen (*niem. Proszę bardzo! Mo e być!*)! - burknął krótko.

- Ja ciebie odprowadzę, Bert! - ofiarował się Franz, rad, e uniknie stanowczej chwili i głosowania.

Andenberg popatrzał, ruszył wzgardliwie ramionami, splunął w stronę Feliksa i wyszedł trzaskając drzwiami. Za nim wysunął się Franz tchórzliwy.

W knajpie zapanowała cisza, wszyscy śpiesznie zajmowali swe miejsca, szeptano po kątach.

A wreszcie u prezydialnego miejsca podniósł się mę czyzna rostry, kwadratowej postaci, arszynowych * (*Arszyn – dawna rosyjska miara długość ci wahają ca się od 71,127 cm do 81,57 cm.*), piersi i pleców.

Był to prymus, Kohler. Zadzwoił, uciszyło się zupełnie. Podniósł głos, co jak z otchłani wychodził, i mówił krótko, urywczco, po ołniersku o turnerskim zjeździe całych Niemiec w Dusseldorfie, o jego celu i zwyczajach, o obowiązku ka dego związku odznaczenia się chwałą na popisie tym, dalej wzmiankował, e z powodu zwichniętej nogi nie mogąc sam uczestniczyć, nadzieje swe składa w dziesięciu członkach monachijskiej korporacji, i wróćą laurami uwieńczeni.

Potem powoli wyliczył tych wyborowych szermierzy dziewięciu i przystanął.

Milczano. Wybór zadawałniał wszystkich, przeszedł bez adnej opozycji.

- A dziesiąty? - zawołał tylko ktoś z głębi.

Kohler miał oczka o tyle małe, o ile sam był wielki; zdobył się jednak na wyraźnie gniewne spojrzenie w stronę niecierpliwego studenta. Oznajmił

flegmatycznie, e odrzucony z dwóch kandydatów na prezesa, zostanie zwykłym członkiem. Potem rzucił donośnie na łup studenckich języków dwa nazwiska i siadł zmęczony. Przemowy były słabą stroną olbrzymiego Kohlera.

O cudo! Król Faraon omal nie zstąpił z szyldu, wskrzeszony podziwem!

Języki burszowskie nie rozszarpały nazwisk; cichy szmer, szepty z sąsiadami

- zresztą nic. Bójka wczorajsza i pozorna obojętność Rafała ostudziła zapalone pałki. Nie sam tylko ółciowy student brał stronę Feliksa; widocznie, e przez minioną dobę myśl podobna trafiła do niejednej głowy wczoraj jeszcze oburzonej kandydaturą intruza.

Spojrzano na Rafała; oparty o ścianę, z kamienną martwością na twarzy słuchał bez znaku najmniejszej uwagi jakiejś arliwej polemiki Egon, zapatrzony w półprzymkniętymi oczyma na pajęczyny sufitu. Studenci nie psychologowie; zdawało się im, e drzemie. Odwrócono się od niego w stronę Feliksa. Opowiadał

coś ywo, gestykulując i strojąc miny komiczne. Bił od niego zapał i gorączkowe zajęcie.

- Daję głos za Radwanem! - przerwał obserwacje bas Kohlera. - Po kolei, proszę o zdanie. Dobył księgę i pióro i czekał.

- Wszystkie głosy całego świata nie dadzą mu werwy i wymowy okolicznościowej! - zaśmiał się Feliks. - Radwan, powiedz no, jak przemówisz na polu popisu? Wypadnie ci Biblię zacytować. Pamiętasz ową walkę Jakuba z Aniołem? To byli pierwsi turnerowie, ten patriarcha i twój patron. Będziesz musiał

to wyznać!

- Czy dajesz głos za sobą? - zagadnął spokojnie Kohler.

- Daję za Egonem Falkenhorstem! Radwan mo e być bardzo szanowny filozof, nie znam się na tym, ale na turnera jest za cię ki i za zimny. Przy tym jest a śmieszny z swoją pewnością i dumą.

- Tu nie roztrząsamy charakterów, ale głosujemy! Dalej po kolei. Rahoza czy Radwan?

- Radwan! - ktoś rzucił nieśmiało.

Dalej po kątach rosły szmery niechętnie.

- Radwan! - zwrócił się Feliks do swej cierpliwej ofiary. - Pamiętaj Biblię; niewyczerpana studnia parabol * (*Parabola – porównanie; przypowieść, krótkie alegoryczne opowiadanie o treść ci moralno-dydaktycznej*), turnerskich. Samson, Gedeon i tym podobni! Odświe ją sobie w pamięci, bo urządzisz sam nie lada farsę, jak przez pomyłkę wyrecytujesz tam na bankiecie ustęp z twego dzieła "O

istocie nie istniejącego".

Uklucia szpilek, zda się, nie tykały Rafała; najmniejszym ruchem nie zdradził się, e uwa a.

- Wyzwij go na rapiery! * (*Rapier – sprzęt sportowy u ywany w szermierce, broń biała o długiej, prostej, obosiecznej klindze*) - syknął oburzony Egon.

- Za mało! - odparł głucho. - I jeszcze nie pora!

- Być pod takim prezesem, co narzeka, e mu sznury trapezu * (*Trapez – drą ek zawieszony na linach, słu ą cy do wykonywania ć wiczeń gimnastycznych, u ywany tak e w akrobatyce cyrkowej*), psują ręce. Tfu!

- Do rzeczy i porządku! - zaburczał Kohler. - Maks, twój głos. Wyraźnie.

- Rahoza! - odparł ółciowy student.

- Dalej!

Chwilę wśród ciszy, przerywanej skrobaniem pióra pod cię ką ręką prymusa, padały krótko nazwiska, a ostatni powiedział swe zdanie i usiadł.

Kohler zsumował.

- O trzy głosy Rahoza górą! - wymówił donośnie i wstał.

Na tępej, zimnej jego twarzy, znać było ostateczne znu enie i przykrość.

Sięgnął po godła prezesa spoczywające przed nim na stole i wło ył je na wybranego.

- Fest, froh, frei! * (*Fest, froh, frei! /niem./ - odpowiednik polskich okrzyków hura!*

Niech yje) - zahuczało ze stu gardzieli zrazu ciszej, potem coraz potę niej.

U bufetu wyjęto czop z beczki. Złotawy trunek trysnął strumieniem, pieniąc i rozbiegając się po kuflach. - Fest, froh, frei! - wrzeszczano nieludzko i Rahoza, porwany na barki, wznosił się nad rozhlukany tłum. Zanosilo się na hulankę całonocną.

Rafał wstał, zapłacił, zapalił cygaro i ruszył ku drzwiom. Ale Feliks ju go spostrzegł wśród zamętu i zawołał imponująco:

- Hej, filozofie! W natchnieniu nad dziełem nie zapomnij, e wyje d amy jutro.

ebyś się w czas stawił na dworcu.

- Uhm, będę! - odparł i po raz pierwszy tego wieczora uśmiechnął się.

eby Feliks ten uśmiech dostrzegł i zrozumiał, straciłby wiele na humorze.

Ale on triumf nad współzawodnikiem obchodził i szalał niefrasobliwy!

VII

Na Salzgasse w ciemnej sieni na parterze wchodziło się do mieszkania pełnego ksiąg, pleśni i dymu. Doktor Karol Radwan spędził w nim większą część swego żywota, a syn je odziedziczył i zachował nietknięte jak najdroższą spuściznę.

Tu się urodził i wzrósł wśród tych ksiąg starych, w samotnym towarzystwie człowieka zestarzałego przed czasem, wskutek ustawicznej umysłowej pracy i badań; tu w tej bibliotece, u stołu zarzuconego papierami, po powrocie z gimnazjum zasiadał naprzeciw uczonego i czytał.

Ksiąg nie brakło po szafach; dzieciak się na nich czytać nauczył, a potem ogarnięty od pieluch bałwochwalczą czcią dla ojca, po erał tom po tomie z upartym marzeniem, by mu kiedyś rozumem sprostać, w wiedzy go doścignąć.

Zdolności miał olbrzymie; lekcje, nad którymi ślęczeli inni, on tylko odczytywał; nie pilnowany nigdy, zawsze był pierwszym i mając dziesięć lat skończył drugą klasę.

W mieszkaniu tym, bez towarzystwa prawie, filozof i dziecko spędzali wieczory i część nocy, prawie się nie odzywając do siebie. Zimowe zadymki nie budziły w nich chęci do rodzinnego ogniska i pogawędki, a majowe wieczory nie wyciągały na przechadzkę. Lampa z zielonym kloszem paliła się na stole i przy jej świetle mędrzec pisał swe negacyjne traktaty, dziecko wertowało Spinozę i Darwina, nabijając sobie głowę fałszem i sofizmatami.

Wycie to suche i bezbarwne przerywały ferie letnie, podczas których wyrostek, za wolą ojca, szedł pod opiekę szalonego Berta i uczył się wycia, patrząc na hulanki i burdy mentora, * (*Mentor – nauczyciel, wychowawca, mądry doradca*), słuchając jego cynicznych conceptów.

A dnia pewnego grom zburzył tę cichą egzystencję. Słuchacze medycyny nie zastali profesora na katedrze. Mędrzec legł, by nie powstać więcej. Lekarskie środki, którymi się od dawna podniecał, przestały działać; poczuł, że nieprzemyślanych praw natury nie zmoże i poddał się.

Leżał ze wzrokiem zagasłym, nieczułym, smutny, ale spokojny. Mieszkanie zamknięto dla natrętów, lekarzy nie przyjmowano, tylko kolega i przyjaciel, profesor Jan Andenberg u tego samotnego leżał a siadywał i chłopak dwunastoletni, znękany a milczący zacięcie.

A filozof zamierał powoli i zawsze spokojny i chłodny uśmiechał się lekceważąco na troskliwość kolegi.

- Daj pokój! - mawiał. - Rdzawą jestem maszyną; czas mi się wycofać z kursu i wypocząć. W wyciu nie było na to czasu, ale przede mną leży nicość i zniszczenie, próżnia i noc, a zmrok tak miły po dziennej jasności! Mówisz, że mnie ałować będą? Iluzje, mój drogi. Człowiek ka dy jest zawsze tylko kołkiem w płocie; zgnije, to go innym zastąpią. Nie myśl, bym z goryczą i ałem to mówił; kto ludzkość zrozumie, ten się niczemu nie dziwi i nic go nie boli! Przez pięćdziesiąt lat szukałem prawdy, by na ziemi było lepiej i swobodniej; dla siebie nic nie chciałem i nic te nie miałem. Rad umieram! Wczoraj był tu u mnie, umyślnie wysłany z Rzymu, Włoch, jezuita. Mówił o wyciu przyszłym, o pokucie i karze.

Brednie! Niebo, czyściec i piekło tu przechodzimy, na ziemi, i tu nasz kres ostatni w śnie dłu szym ni zwykle!

Urwał nagle; zabrakło mu tchu i siły. Wyciągnął rękę i dotknął z lekka ciemnej głowy syna, co tu, u tego posłania, skulony, trwał dnie i noce bez snu, jadła i wytchnienia.

- Daj mi pić, Rafale! - rzekł.

- Komu to dziecko zostawisz? - spytał profesor Jan.

Chory oddał szklankę i oczyma, co się o ywiły nagle, spoczął na twarzy chłopca.

- Materialnie - tobie, kolego, i krewnemu w Rydze, do którego pisałem; moralnie

- jemu samemu. Pamiętajcie nie tykać jego duchowej swobody i woli. Niech się sam kształci, sam uczy, sam wybiera, sam szuka prawdy. Dlatego nie dałem mu adnej religii, bo wiara powinna być rzeczą wyrozumowaną, przekonaniem, a nie narzuconą niemowlęciu formułą. Niech samodzielnie roztrząsa i wa y i boryka się z własnym umysłem. Ja go znam i ufam; to ju prawie człowiek; nie nakładajcie mu pęt i kajdan, bo zmarnieje, jak ludzkość cała marnieje, skrępowana wiekowymi fałszami!

- Stanie się twa wola, kolego! - rzekł Andenberg skłaniając głowę, choć w nim wielkie wątpliwości powstały na ten tak zuchwały program. Potem odszedł, odwołany przez obowiązek, a ojciec i syn pozostali sami w mrocznej sypialni.

Rafał, skulony u ló ka, trzął się jak w febrze i zapadał powoli w stan odrętwienia i przykrego półsnu. Słowa ojca tworzyły mu w głowie fantastyczne obrazy, szumiały, napełniały go dumą i rozkoszą. Zrozumiał, e zimny filozof myślał o nim, obserwował, kochał.

- Rafał! - wyrwał go z zadumy schrypnięty głos chorego.

Zerwał się na nogi i spojrzał. Mędrzec le ał na wznak, kościano ółty, z kroplami potu na czole. Ręce szarpały bieliznę na piersi; brakło mu ju powietrza. Oczy, zapatrzone w cienie pokoju, zachodziły mgłą szarą.

- Rafale! - powtórzył.

Syn pochylił się nad nim.

- Czy widzisz? Lampa gaśnie, ycie uchodzi. Trzeba się śpieszyć. Mam ci coś powiedzieć jeszcze, a ju mnie ciemność ogarnia i umysł się mroczy. Jak tu duszno! Otwórz okno!

Chłopak usłuchał. Kłęb świe ego powietrza zaleciał od ogrodów miejskich i księ yc zza uchylonej firanki zajrzał a na wychudłą, spaloną gorączką twarz konającego. Wyglądała martwa, zimna, mroczna. Ręka śmierci sięgnęła ju ku niej i rysy zeszywniały pod tym dotknięciem.

A jednak ył w nim duch jeszcze i rzucał swe ostatnie, dogasające błyski jak rakiety, świetne, lecz

przelotne.

- Posłuchaj mię uwa nie, a je eli nie zrozumiesz, to cię ycie nauczy kiedyś: strze twego serca logiką i rozumem, bo z serca przychodzi śmierć człowieka.

Zapamiętasz?

Rafał głową skinął.

- Przyjaciela, brata, powiernika nie szukaj wśród ludzi, ale stań się tym sam dla siebie. Sądź się surowo i milcz w bólu i radości, bo gdy się przyznasz do szczęścia, to ci je ludzie zatrują lub odbiorą, a gdy się im w bólu poskar ysz, to cię wyśmieją i odepchną.

Dziecko, zapatrzone w oblicze ojca, powtarzało słowa te w myśli. Pisały mu się one jak Ewangelia, na ycie całe.

- W sobie miej swój świat: niedole i radości, walki, upadki i triumfy. Niech je zna tylko ten Bóg, którego imię stanie ci się kiedyś religią; a ludzie nigdy, nigdy. I pamiętaj, e na świecie jest jeden grzech: podłość, jedna cnota: szlachetność; jedno szczęście: spokój. I jest prawda, ale kto powie, e ją posiadał? Komu duch przestanie stawiać pytania i wątpliwości a do końca?

Sięgnął pod poduszkę, dobył niewielki, gęsto zapisany zeszyt.

- Oto treść półwiekowej pracy i badań. Dzieła moje drukowane będą ci chwałą i dumą, a to niech ci będzie pomocą, towarzyszem w pracy, pamiątką po mnie.

Zachowaj!

Zimna dłoń filozofa spoczęła znowu na kędzierzawych włosach jedynaka, jakby się ogrzać chciała arem rozpalonej głowy.

Umilkł. Lampa gasła; na tle czarnego pokoju wyglądała jak mroczna gwiazda. Płomyk drgał, wznosił się, trzepotał jak umierający motyl skrzydłami.

Tik tak, tik tak, kołatał zegar monotonnie, nie wiedząc, e znaczy ostatnie sekundy tułaczki ziemskiej dla duszy człowieczej. Konający skrzywił się niecierpliwie.

- Rogate ycie! - wyrzekł, z trudnością poruszając usta.

- Rozjaśnij lampkę, Rafale, i przeczytaj cośkolwiek. Konanie wyda się mniej długim.

Światło buchnęło tłumiąc blask księ yca, rozjaśniając ściany i sprzęty.

Oczy profesora przeszły po szafach i stole pełnym ksiąg. Po egnął je ostatnim spojrzeniem.

- Przyjaciele! - szepnął ze smutnym uśmiechem. - Słu cie mu, jakeście mnie słu yli!

Rafał na oślep wziął z półki zakurzony mały tomik, przyklęknął u łóżka i zaczął czytać począł ze środka na chybił trafił, nie spojrzawszy na tytuł, nie rozumiejąc słów, machinalnie. Chory nie przerwał czytania, może nie słyszał treści; chrapał

cisnąc dłońmi piersi.

A nad nim monotony, niepewny głos chłopca czytał przez łzy słowa wielkiej wiary i prawdy odrzuconej i wyszydzonej w tym mieszkaniu; czytał

Ewangelię świętą. Skąd ona się znalazła w księgach ateusza? Czy była spuścizną matki lub innej kobiety, która przez życie filozofa przeszła jak spadająca gwiazda, nie zostawiając po sobie wspomnienia i pamięci, śladu adnego pobytu? Dziwny traf!...

A może i on słyszał parabolę o nie ludzkim miłosierdziu i łasce tego Boga, którego porzucił.

- "A gdy wieczór przeszedł, rzekł Pan sprawcy swemu: Zawołaj robotniki i oddaj im zapłatę, poczynawszy od ostatnich do pierwszych. Gdy tedy przyszli, którzy około jedenastej najęci byli, wzięli także po groszu. Przyszedszy te i pierwsi...

wzięli także po groszu. A wzięwszy, szemrali przeciw gospodarzowi, mówiąc: Ci ostatni jedną godzinę robili, a uczyniłeś je równymi nam, którzyśmy znieśli cię ar dnia i upalenie! A on, odpowiadając, rzekł jednemu z nich: Przyjacielu... czyli mi się nie godzi uczynić, co chcesz? Czyli oko twoje złośliwe jest, i ja jestem dobry?

Tak ci ostateczni będą pierwszymi, a pierwsi ostatecznymi!..."

Oddech filozofa cichł, odzywał się jak z otchłani, potem zadygotał razy parę i znieruchomiał: nie był...

Lat dwanaście ubiegło od tego dnia. W mieszkaniu były te same księgi, ten sam fotel skórą obity, stół papierami zarzucony, wyschły kałamarz, twarde posłanie bez krzyża i obrazka, ten sam chłód i pustka. Dziecko wyrosło na młodzieńca pięknego jak efeb grecki, straszego jak anioł strącony. Spuściznę filozofa wykonali koledzy. Zostawiono go samego z sobą, z chaosem myśli, co mu ryły mózg, z milionem sprzecznych zdań i teoryj, z walkami, co burzyły błędną duszę, osiadając na dnie mętami.

Sam był, gdy chwycił jakby przebłyski prawdy w tumanie i tracił je, dochodził do nowych rozdrozy i wracał do niewiary, jeszcze błędniejszy, zrozpaczony, wściekły, bluźniąc tylko i plwając na wszystko pogardą. Karol Radwan, dając mu wolność nieograniczoną, przeczuł jego umysł potężny, jego ducha wszechstronnego, jego myśl bogatą.

Czarną, bezdenną tonią była natura ta, a pod wodą tą cichą i niezbadaną był

wulkan piekielnej złości, dumy, pychy, ambicji i żądzy panowania. A nie było dłoni bratniej co by go ugasiła; nie było rady druha, pociechy serca kochającego On sam go nie szukał. Duma się wzdrygała na myśl wyznania, pokory, skargi.

Sądził się dość silnym do walki samodzielnej, a był tylko zuchwałym i pysznym, i pycha rozsadzała mu piersi wyjąc: ja pan, władca, moja istota do mnie należy, moją jest niewolnicą.

A nareszcie wulkan wybuchnął, zahuczał, stojąca woda zakotłowała do czarnego dna, zaszumiła obryzgując brzegi brudną, mętną pianą. Pochłonął

ten wir wszelkie zastanowienie i miarę, podruzgotał nawet pozory spokoju.

Obudził to drzemiące piekło szafu Feliks swymi drwinami, dokonał dzieła zjazd turnerski, pora ka i publiczne ju upokorzenie.

Błady, ze ściągniętą brwią, stał tej e nocy Rafał pod światłem wiszącej lampy u stołu biblioteki. Oczy zmru one i mgławce utkwił w stary, wytarty rękopis, ściał usta; jak migotliwa toń lub smugi ogniska mieniła się twarz cała.

Czytał spuściznę po ojcu, duchowy testament mędrca, co mu być miał wskazówką i przewodnikiem w pracy. Nie odrywał oczu od stronicy; w piersi szalało, głowa gorzała, wulkan wył, a tam stała ostatnia przestroga dla młodzieńca, kreślona dr ącą, mo e ju tę ejącą ręką filozofa.

Rafał powtarzał ją półgłosem, machinalnie, bladymi wargami: - "We wnętrzu człowieka mieszka złodziej zwany namiętnością. Strze się, by nie wykradł tego, co jest złotem w tobie." Wargi szeptały bez współdziału ducha.

Rada ju była spóźniona. Ze skarbów natury został kwarc, podłe metale, nikczemne krzemienie; złoto ju zabrał złodziej i zbrudził lub zniszczył swym dotknięciem.

Rafał gorączkowo przerzucił kilka kartek. Wzrok i myśl z lubością spoczęły na innym, sprzecznym zdaniu:

- "Pokora i darowanie uraz to cnoty słabych i niedołę nych. Duch wielki nie zapomina krzywd i obrazy, jak nie zapomina dobrodziejstwa".

Młodzieniec wyprostował się i odło ył manuskrypt. Dyszał cię ko, a oczy błyskające zielonawo jak tygrysie, szukały czegoś po ścianach i sprzętach.

- Nie chcę być pod tobą, a zatem nie będę. Bodaj cię to tylko zbyt drogo nie kosztowało, ten honor i wyprawa.

Przystąpił do drzwi, rozwarł je trochę, lewą rękę po łokieć wło ył w szczelinę, prawą drzwi przycisnął i nagłym, bardzo szybkim ruchem skrzył

uwięzione ramię tak gwałtownie, e a jęły stawy. Było to dziełem sekundy.

- Ah! - wydarł się z gardła szaleńca okrzyk dojmującej boleści, a oblicze zbladło jak kreda. Chwiejnym krokiem doszedł do stołu i usiadł cię ko, gryząc z bólu wargi. Milczał ju , ale mu pot okrywał skronie. Potem z wybuchem wściekłości targnął martwe ramię.

- Ból! ból! - zasyczał przez zęby. - Szarp, rozdzieraj! On mi za to zapłaci! Wezmę ja mu za to wszystkie jego bóle, połamię go ot tak! A potem?

Wzrok objął księgi, niestały, dziki od nieprzytomności. I jakby w odpowiedzi na to ostatnie pytanie drzwi się rozwarły, kopnięte nogą, i w progu stanął Bert Andenberg z fajką w zębach i z pijaństwem w zaognionych źrenicach.

Wszedł, na gospodarza spojrzął i zaklął.

- Do stu par rekinów! A tobie co?

- Głupstwo. Zwichnąłem rękę.

Siadaj, Bert! Czekałem na ciebie - odparł Rafał spokojnie ju .

- Dobrze się stało. Nie będziesz kozłów wywracał w Dusseldorfie pod wodzą tej małpy. Tfu! Crenom (*fr. Do licha*)! Za moich czasów taką lalę wyrzuciliby za drzwi "Pod Faraonem" i drogę za nim zamietli. Poka swoje kalectwo! I Bert bez długich ceremonii ściągnął surdut z pleców, rozciął koszulę, obejrzał rękę.

- Fe, brzydko, ju puchnie! Przemęczysz się parę tygodni. A teraz nie krzycz, bo ci ją naciągnę.

Rafał ani się odezwał, a Bert nie po raz pierwszy zapewne występował w roli chirurga i uwinął się prędko i wprawnie. Fajki z ust nie wypuszczał i banda ując ramię gadał swobodnie.

- Teraz spocznij. No, zuch z ciebie. Nie gnić tobie tutaj, bratku, a iść ze mną. Nie z filistrami nam yć i nie w skorupie, ale z wichrami i swobodą. Kpem cię nazwę i głupcem, jeśli nie pluniesz im w oczy i ze mną się nie zabierzesz! Hej, hej! A wiesz ty, do jakiej ja cię uczyty wołam! A wiesz ty, do jakiego ycia!

Dzkie oblicze awanturnika straciło zwykły cynizm, nozdrza rozdymały się jak u wpółdzikiego konia, gdy mu wiatr przyniesie gorące tchnienie pustyni.

Wyprostował się i podniecając się wspomnieniem jał malować jaskrawo, dosadnie, czasem ohydnie i nago, chwilami z odbłyśkiem groźnej poezji to ycie bez wczoraj i jutra, bez terminu i celu, dowolne i nieokiełznane, w ciągłych walkach z przyrodą i ludźmi, z bestiami puszczy odwiecznych. I przesuwwały się przed myślą i oczyma słuchającego cyklony oceanów i trąby równików, po ary puszczy i wybuchy gazów, lodowce polarne, płowe lwy Afryki i amerykańskie grzechotniki.

A wśród tego barwną mozaiką almee arabskie, Japonki i kobiety z Thaiti, sceny z portowych szulerni, awantury z policją, krwawe zajścia po płuczkarniach złota, swawola wszystkich krajów, argon całego świata, anegdoty śmieszne i ohydne -

cały szkic tego ycia bez strachu przed śmiercią, bez porządku i reguły.

A Rafał słuchał chciwie. Wulkanowi w piersi było tu za ciasno. Ugaszą go mo e organy oceanów, zdławią szpony tygrysie lub sploty wę owe, wchłoną w siebie lodowce bieguna.

- Ot, ycie! - zakończył Bert ochryPLY, gdy ju szary brzask świtał w oknach.

- Pójdiesz?

- Pójdę, tylko nie dziś, nie jutro. Ostatnią robotę odbyć muszę. Za miesiąc czy dwa gotów będę i nic ju za sobą nie zostawię. Poczekasz na mnie?

- Poczekam. A je eli kompana sobie podobnego znajdziesz, zabieraj z sobą! - Za dwa miesiące tutaj! Uścisnęli sobie dłonie. Umowa była zawarta.

- Spać teraz będę! - oznajmił Bert.

- Turnerzy tam na mnie czekać będą i nie uwierzą na list. Bert, zrób mi przysługę i sam ich zawiadom o moim wypadku. Tobie uwierzą.

Bert zaklął straszliwie, ale zabrał się i wyszedł. Dowód to był niesłychanej łaski dla nowo zwerbowanego towarzysza. Rafał sam pozostał. Oczy mu gorzały maligną. Bert nie wrócił. Zapewne wpadł pod troskliwą opiekę Franza lub znalazł

inne legowisko.

Wieczorem Radwan się zerwał. Ręka paliła arem, usta spiekł ogień wewnętrzny; podniecony gorączką począł z szaf i stołów zrzucać na stos i nogami deptać pergaminy, księgi, manuskrypta.

- Gińcie, marniejcie! Zabrałyście mi siedem lat na darmo! Pleśń wasza miała mi dać spokój i prawdę... Kłamstwo! Nędzę dałyście mi i niewolę! Precz idźcie! Wy, śmiecie głupich wieków i płytkich głów. Skończyłem z wami! Gińcie, gińcie!

Wracajcie w błoto, w rynsztok!

Miotał się, mrucał głucho i chrypliwie, i burząc swe stare bogi, plwał na nie i butami tratował, jakby całą ksią kową mądrość i naukę, i ludzi, co ją budowali, miał pod stopami i mia d ył wściekły, ponieważjąc i szydząc, a mu sił nie stało, gorączkowy wybuch ustąpił i, słaniając się, na stos tych skarbów ojca swego upadł i stracił przytomność.

Gdy słońce drugiego dnia zajrzało przez dymne okna, półki były puste jak szczęki bezzębne, biblioteka jak po trzęsieniu ziemi miasto, a wśród poniszczonych ksiąg i sprzętów zdeptana tak e biała czapka, przepaska honorowa i cały strój studencki. I tę swą ukochaną skórę uniwersytecką zrzucił Rafał i przeobraził się w inną zupełnie formę.

Ostrzy ony i uczesany modnie, w śnie nej bieliźnie i eleganckim letnim garniturze zawiązywał krawat przed lustrem i przyglądał się sobie raz pierwszy uwa nie. Piękny był; cieszyło go to widocznie, bo się uśmiechał i kończąc starannie resztki toalety gwizdał aryjkę.

Zszedł wreszcie na ulicę, u kwiaciarki na rogu kupił gardenię, rzucił jej monetę i art dwuznaczny, i tak przeistoczony, niepodobny do wczorajszego Rafała jak dzień do nocy, zadzwonił na jednej z bocznych ulic do mieszkania na piętrze, a otwierającą dziewczynę spytał o pana, podając zarazem swą kartę.

Niedługo czekał odpowiedzi. Z głębi mieszkania wypadł do sieni Kazimierz Sarnecki, jak stał, w bluzie i z paletą w garści.

- eby nieboszczyk Rafael we własnej osobie zstąpił do swego lichego naśladowcy, mniej by mnie zdziwił i ucieszył ni jego imiennik, tylekroć proszony i po ądany. Dziękuję, e pan mnie raczył sobie przypomnieć. Pół roku nie odwiedził nas pan. eby nie rzadkie spotkania w waszym "Egipcie" u ojca Fratza, doprawdy zaginęłaby nasza znajomość.

- Właśnie wskutek naszej ostatniej tam rozmowy zgłaszam się osobiście, gdy znalazłem u siebie ową ksią kę, o której pan wówczas wspominał jako o czymś bardzo rzadkim. Rad jestem, e mogę nią panu słu yć.

- Stokrotne dzięki! Proszę pana do pracowni tymczasem, bo w salonie nieład, zwykły przed wyjazdem.

- Państwo w tych dniach wyje d ają?

- Zapewne. Zwlekamy dla Rahozy, który prosił, by bez niego nie wyruszać.

Stali w pracowni. Panna Aniela podniosła się z kanapki i ukłoniła z lekka gościowi, z oczyma spuszczoneymi. On te pozornie nie zwracał na nią wielkiej uwagi. Usiadł i ozwał się swobodnie:

- Sądziłem, e państwo wyje d ają pierwiej i e pojedziemy razem, bo ja te wyruszam w tamtą stronę.

- W stronę Sarnowa? - spytał ciekawie malarz.

- Przed dłu szą i dalszą podró ą wstąpię na kilka tygodni do dawnego kolegi w Rahoźnej. Stamtąd mam zamiar odwiedzić dalekie światy.

- Przez kilka tygodni będzie pan w Rahoźnej? Panie Rafale, ryzykuję dostać jeszcze jedną odmowę, ale pytam: co będzie z moim potępieńcem?

- Czy bez mego udziału obejść się on nie potrafi? - odrzucił Rafał zupełnie wesoło i uprzejmie.

- Jak sztuka bez ideału - nie. Wie pan, od czasu, jakem pana ujrzał ze strzelbą w ręku, w cieniu jodeł, w pysznym oświetleniu letniego południa - zginąłem! Mam ćwiek w mózgu, i do czego się wezmę fiasco! Muszę pana malować, albo pędzel połamię! Patrz pan, ile tu szkiców odkradłem podstępnie; mam pana pełną tekę.

eby choć pięć jeszcze posiedzeń!

- Szkoda więc, e teraz los nas rozdziela. Słu yłbym panu chętnie przez te dni dziesięć, które spędzę na wsi. Poniewa jednak państwo czekają na Rahożę, a on przed tygodniem nie będzie gotów do drogi, okazja chybiona.

- Jak to, chybiona? Mo emy przyśpieszyć! Co, Anielko?

- Ach, to pani obiecała Rahozie? - zwrócił się Rafał do panienki.

Spotkali się wzrokiem. Jego gorejące źrenice spojrzały dziwnie badawczo i długo w jej szafirowe, jasne oczęta. Pod wra eniem pytania czy spojrzenia tego pokraśniała nagle i zawahała się w odpowiedzi.

- Ja nie; ja nic nie obiecałam panu Feliksowi. Mnie bardzo tęskno do Sarnowa - wyjąkała wreszcie.

- Co? Ju ? I kto kobietę zrozumie! Nie dalej jak wczoraj mówiłaś, e mamy czekać.

- Przywidziało ci się - rzekła kapryśnie.

- A nie boisz się wyrzutów Feliksa? - roześmiał się.

- Ach, jakiś ty! - zawołała ju gniewnie. - Nie chcę na nikogo czekać i nikogo się nie boję! Po co wmawiasz niestworzone rzeczy?

- eby postawić na swoim z twojej inicjatywy! Tęsknisz do Sarnowa? Bardzo pięknie! Pakuj się zatem, bo jedziemy jutro. Alea iacta est (*łac. Koś ci zostały rzucone*)! Mam mego potępieńca! Przepyszny będzie! Panie Rafale, zrobiłeś szczęśliwym człowieka! To rzadki wypadek! Dziękuję panu!

- Tak małym kosztem! - rzekł Radwan odpowiadając rzetelnie na uściski. Być uwiecznionym to tak e coś znaczy! Boję się tylko, czy nie zrobiłem pani przykrości.

- Niech pan nie słucha Kazia. On zawsze bredzi - odparła swobodnie.

- Ładna rekomendacja! - oburzył się artysta.

- Bardzo rada jestem z wyjazdu. Nie cierpię miasta obcego, ciasnoty i tych wizyt tyłu! U yję swobody w Sarnowie. Owszem, wdzięczna jestem panu za przyśpieszenie terminu. Pan Feliks mógł się do nas zastosować, a nie my do niego.

Zachciało mu się gimnastykować z tymi Niemcami!

- Ale, a pan nie nale y do tej sławnej delegacji? Miał pan być prezesem, słyszałem.

- Honor mnie ominął, a na dobitkę zwichnąłem w ostatniej chwili rękę. Jestem inwalida do niczego.

- Chwała Bogu! Kalectwu mo e tylko zawdzięczam posiadanie pana.

- O, bynajmniej. Wiele jednak rzeczy stało między mną a państwem. Nie zawsze dogadzać wypada swym chęciom.

Anielka spojrzała na niego zastanawiając się, jakie to były przeszkody.

Nazwisko Radwana obijało się jej często o uszy. Kazimierz entuzjasmował się jego pięknnością i wybitnym typem nieprzystępnego młodzieńca, Feliks drwił i ośmieszał, widocznie niechętny. Malował jego dzikość i dumę, jego chłód i ponury charakter.

Obadwa zaciekawili dziewczynę i zrobili to, e często myślała o przelotnie widzianym mę czyźnie, częściej, ni się zdawało. Teraz mogła mu się napatrzeć do woli, a on czuł to ciekawe, trwo ne spojrzenie i czarował ją melodią głębokiego głosu, uśmiechem swobodnym, grą wyrazistej fizjognomii.

Profilem zwrócony do niej, rozkoszował te i zdumiewał Kazimierza wyczerpującą rozmową o sztuce. I to znał i badał i pojął szybko, ze zwykłą sobie bystrością umysłu i rzadkim darem pamięci. Potem rozmowa przeszła na arcydzieła starych, wygasłych cywilizacji i Sarneccy umilkli, zasłuchali się, bardzo zajęci i zaciekawieni.

A z ust mruka i odludka płynęła barwna opowieść o starych Indiach sanskryckich, o ich pomnikach i pieśniach, obyczajach i przyrodzie. Oczy mu promieniały, kanciaste czoło wypogodziło się, spod ciemnych wąsów błyskały zęby w uśmiechu. Przeistoczony był, a tak porywający wyrazem i wdziękiem, e Kazimierz chwycił węgiel i szkicować go zaczął, a dziewczyna, podniecona i przejęta, w twarz tego potępieńca utkwiała ju śmieiej oczy i myśli. Zdzierzgnęła się ju między nimi tajemnicza nić wra eń, a w piersi tego demona odzywała się ju pewność triumfu.

VIII

W cichą noc letnią zaskrzypiała furka strażnicza pod dłoń dalekiego wędrowca. Domostwo leżało ciche i jakby opuszczone. Pies się nie odezwał na obce kroki i tylko jedno okno słabo oświetlone świadczyło, że tu ktoś mieszka i pomimo spóźnionej pory czuwa jeszcze.

Wędrowiec do okna tego przystąpił i zastukał w szybę.

- Kto tam? - ozwał się głos Adama.

- Czyś ty już onaty, czy się złodziei boisz?

- Rafał! - zawołał Adam radośnie, otwierając okno.

Pomimo nocy ubrany był jeszcze, ale nie w mundur swój ani w cywilne odzienie, lecz w siwozieloną, leśną liberię Rahożów. Zdziwiło to przybysza.

- Coś ty się po ojcowsku przebrał? - spytał ściskając dłoń dawnego kolegi i zajrzał do izby. - A stary twój gdzie? Śpi - dodał.

- Śpi! - powtórzył Adam głucho. - Ju półtora roku śpi tam na wzgórzu.

- Umarł?

Adam tylko głową skinął.

- A ty? - zagadnął Rafał ywo.

- Wziąłem jego słu bę.

- Verflucht, verdammt! - zaklął Radwan.

- Cicho, nie kluj, co to pomo e? Prorokowałeś, że się zmarnuję. Stało się. Nie ma o czym mówić. Ale ty skąd przychodzisz? Pisałem do ciebie kilka razy. Nie otrzymałeś listów?

- Mo e i otrzymałem, ale ja listów nigdy nie czytam. Zapewne je wyrzuciłem z innymi. No, otwórz mi swoją warownię. Pogadamy.

- Daruj, że cię trzymam na dworze. Zrobiłeś mi tak wielką i radosną niespodziankę, że o bo ym świecie zapomniałem. Zwątpiłem, że się kiedykolwiek w yciu spotkamy.

Po chwili siedzieli naprzeciw siebie w dawnej sypialni nadleśnego.

- Gadaj teraz - rzekł Rafał.

- Stało się to następnej zaraz jesieni, w adwencie. Pan Rahoza postanowił urządzić leśne

gospodarstwo. Sprowadził jakiegoś Włocha, poczęto las ciąć w kwadraty, dzielić na folwarki, rozgraniczać trybami, numerować drzewa. Roboty było mnóstwo. Ojczysko się zmógł, mo e się zgryzł nieraz, mo e ałował starych jodeł

i cichych legowisk zwierza, przeziął, zmordował się i dostał zapalenia płuc. Tak to szło piorunem. Panna Kazimiera wezwała mnie depeszą, ale zanim się uwolniłem i dojechałem, zastałem w chacie heblowiny z trumny, swąd jałowcu i opró nione posłanie. Wszystko się beze mnie skończyło.

- Tym lepiej. Trzeba było zawrócić, plunąć i dalej swoją drogą iść!

- Pomodliłem się na grobie, obszedłem kąty i tak miałem zrobić, jak mówisz, gdy mnie na drugi dzień wezwano do dworu. Poszedłem nie rozumiejąc, czego chciano ode mnie.

Pan Rahoza przyjął mnie chłodno. Dziwny człowiek! Ty go nazywasz dobrodusznym staruszkim; nie masz pojęcia, jakim tyranem być umie, gdy ma kogo pod swoją ręką i mocą. Spytał od niechcienia, co myślę robić dalej, a gdym odpowiedział, e kształcić się, wyjął jakiś papier z biurka i podał mi go. "A co z tym będzie?" spytał zimno.

Spojrzałem i pociemniało mi w oczach. Był to weksel z podpisem ojca na pięćset rubli. Milczałem chwilę, nie przygotowany do tego ciosu, i nareszcie poprosiłem, by poczekał, a skończę studia, a pierwsze zarobione pieniądze oddam na ten dług święty. Zaśmiał się. "Zapewne, powiada, dług to święty, bo ojciec, nie mogąc ci wystarczyć, choć od ust odejmował, po yczał u ydów i lichwę opłacał, odmawiając sobie wszelkich wygód. Gdy zachorował, poprosił

mię o zapłacenie i wystawił ten weksel wraz z tą kartką do ciebie."

I kartkę tę odczytałem - nowy cios! Ojciec mię zaklinał, ju stygnącą ręką i myślą, bym pana Rahozy jak jego słuchał i powa ał, i bym mu nale ność uiścił, jak i kiedy zechce. Błogosławieństwo kończyło tę ostatnią przestrozę i wolę, a jam zmartwiał! Oddawał mię biedny, otumaniony ojciec w moc człowieka niechętnego mi od dawna. Musiałem ulec i du o goryczy milcząc znieść, i zgodzić się na to, co on łaską nazywał, e mnie, zamiast lokajem lub stra nikiem, naznaczył od razu na miejsce ojca, ze stu rublami pensji rocznie, która na dług idzie, i z utrzymaniem w tej stra y, takiej dla mnie smutnej i cię kich wspomnień pełnej.

Trzecim pokoleniem jestem, przykutym do tej chaty i boru. Da Bóg, będę ostatnim mo e. Nikt tu ju po mnie ojców i dziadów pomarłych wspominać nie będzie, i z szumem jodeł tylko samotnych wieczór spędzać. Oto i koniec moich marzeń i nadziei.

Chłopak umilkł i dłonią przeciągnął po czole, które straciło ju dawną jasność i pogodę. Próbował po staremu się uśmiechnąć, ale usta słuchać nie chciały i pozostały powa ne i ostre. Pochylił głowę.

Tak się musiało skończyć! - wybuchnął Rafał. - Kto głupią miłość i jeszcze głupsze skrupuły włóczy za sobą, ten nie na orła się zdał, ale na jucznego osła czy muła!

Niedołęga jesteś ostatni!

- Nie było innej drogi wyjścia i ty w moim poło eniu nie inaczej byś postąpił.

- Ja! Ha, ha! eby mi ten Rahoza śmiał słowo przykre pisnąć, to bym go zabił; a eby mi przymus chciał narzucić, to bym jego folwark podpalił, a sam poszedł w świat i ył całą pierśią. Nie bredź, eś został dla marnych kilkuset rubli i przestróg ojcowskich; zostałeś dla swej panny!

- I dla niej tak e - szepnął Lachnicki.

- Temu to wierzę! Czy przynajmniej przez te dwa lata, zrezygnowawszy z perspektywy mał eństwa, postąpiłeś naprzód i zostałeś kochankiem?

- Rafale!

- Widzę, eś się na jotę nie zmienił. Có dalej będzie?

Dalej! Myśl tę, pieszczoną niegdyś, Adam odpychał teraz od siebie jak czarną zmorę rozpaczy. Wzdrygnął się, jakby rany dotknięto i oburącz objąwszy głowę, milczał zgnębiony.

- Po co o tym myśleć i mówić? - odparł wreszcie. - Będzie, co Bóg da, wszak On nad nami.

- Wygodna religia i dobry sobie ten wasz Bóg, który nie ma nic lepszego do roboty, jak swatać ciebie z Rahożówną! Przypuśćmy jednak, e i jego wpływy nie pomogą; co dalej będzie, powtarzam?

- Po co uprzedzać wypadki? Złe zawsze w porę przyjdzie. Wolę nie myśleć i nie zatruwać sobie chwil choć gorzkiego szczęścia. Mo e mi tych chwil zaledwie miesiące, mo e tygodnie.

- A mo e dni - zamruczał Rafał.

- Przez te dwa lata tyle mi gromów biło w głowę i tyle bólów szarpało duszę, e się ju i nie poznaję. Za silnego nigdy siebie nie miałem, ale myślałem, e więcej zniosę cierpliwie i wytrwam, i e nawałnica ta nie mnie zmo e, ale ja ją!

Urwał, jakby się wahał, czy wstydził wyznania; wyciągnął ręce przed siebie i głowę w tył odrzucił ruchem bezmiernego zmęczenia.

- Zmordowany jestem ostatecznie - rzekł głucho - jak ten zwierz z tutejszej kniei spędzony nowym porządkiem, zhasany, oszołomiony, bezprzytomny! Nie wie, dokąd dą y, nie poznaje drogi, nie zgaduje, skąd i jakie przyjdzie na niego zniszczenie, choć to czuje, e lada chwila zginąć musi! Widziałem wczoraj takiego łosia odbitego od stada. Szedł zygzakiem, ze łbem zwieszonym, a ujrzawszy mnie, ani o ucieczce, ani o obronie nie myślał. Stał i patrzył wielkimi, błędnymi oczyma i czekał ciosu!...

Zgarbiony, z czołem przer niętym kilku ju bruzdami, z grymasem przykrej goryczy na wargach chłopak był widmem dawnego idealisty i zapaleńca.

Nawet egoista i niedbały Rafał spostrzegł to, przestał szydzić i pierwszy mo e raz w yciu nad losem cudzym się zastanowił, mimo woli zajęty.

- Po có się upierasz jak osioł nad strumykiem - zawołał gwałtownie. - Skocz.

- Gdzie?

- A choćby w przepaść, byle nie yć w niepewności!

- A potem? - szepnął sam do siebie Adam.

- Potem! Ha, ha, świat szeroki!

Lachnicki głową potrząsnął.

- I co mi ten pusty świat da? Iść i iść przed siebie dobrze temu, co duszę ma szczęśliwą i serce wolne. A ja wszędzie za sobą poniosę wspomnienia i tęsknotę.

Rafał się porwał na nogi, wzburzony i zniecierpliwiony.

- Wolisz tu gnić i wegetować, więc milcz przynajmniej! Głupcem jest, kto kocha i sam dobrowolnie zakuwa swe człowieczeństwo w nikczemne kajdany; ale kto, kochając, nie idzie przebojem, nie próbuje walki, tylko pleśnieje w bezczynności i siłę ma jedynie do skargi i lamentów, ten ju nie głupi nawet, ale podły!

Lachnicki poczerwieniał, dotknięty tym bezwzględny sądem. W głębi jego gołębiej natury poczynął się budzić bunt, opór i energia rozpaczy. Oczyma, co zabłyśły po dawnemu, spojrzął na kolegę i otrząsając się z martwej rezygnacji spytał śmiało:

- Więc mam iść do Rahozy?

- Iść i o córkę prosić.

- Pójdę! Cóż z tego? Wypędzi jak psa, z domu i majątku.

- Wypędzi! Naturalnie! Wówczas pannę zabrać i uchodzić!

- Nigdy! Dokąd? Po co? Jaki los jej zgotuję? Co jej dam w zamian za utraconą rodzinę, kraj, pozycję, mienie! Nigdy! Sam pójdę!

Ciszej dokończył, ju znowu opadnięty strachem przed tym rozstaniem, alem i mnóstwem skrupułów.

- Pójdziemy mo e razem! - rzekł Rafał.

- Razem? Dokąd? - zagadnął Adam.

- Het! - Ręka Radwana wskazała przed siebie.

- Pójdziemy, je eliś wart, by cię zabrać z sobą! Dokąd? Śmieszny jesteś.

Dopóki myśli stanie i a rękoma nie uchwycimy skłonu widnokręgu!

- artujesz, czy mówisz prawdę?

- Ja nigdy nie artuję.

- Więc jak e? A twoje studia filozoficzne?

- Do diabła. Skończony mój z nimi rachunek. Teraz będę ył całą piersią!

- Więc ju znalazłeś prawdę i Boga?

- A tobie co do tego? - odparł burkliwie Rafał. - W ka dym razie znalazłem coś lepszego, ni ty, bo jestem wolny.

- Ka dy wymaga czegoś innego od szczęścia - szepnął Adam.

Umilkli. Rafał zabawiał się dymem cygara, towarzysz, zapatrzony w światło lampki, rozmyślał.

Na dworze dzień się ju zrobił i bieląło niebo nad wierzchołkami starych jodeł, a przez otwarte okno rzeźwiący prąd rannego powietrza wkładał się do izby, chłodząc rozpalone czoło filozofa i zmęczone oczy biednego sieroty. Obadwa czuli, e w doli ich nadchodzi stanowcze rozwiązanie, pełne walk i posępnych dramatów. Jeden się wzdrygał przed bólem i, przymknąwszy źrenice, sen swój młody chciał śnić jeszcze przez chwilę; drugi, podniecony zemstą, chłostałby czas jak rumaka, byle prędzej mógł dokonać dzieła zniszczenia, byle prędzej dogodzić ądy, co jak hydra piła mu krew, szarpała szponami rozhukaną duszę.

- Zabawisz długo tutaj? - zagadnął Adam.

- Miesiąc. Mam interes.

- I pójdziesz potem? - szepnął, jakby do siebie mówił.

- Pójdę z tobą albo sam!

- To i młody pan mo e z tobą przyjechał! - zwrócił Lachnicki rozmowę na inny temat. - Podobno razem byliście w Monachium. Na artystę się kieruje i z Sarnecką enić się zamyśla, słyszałem.

- Póki wasz młody pan przyjedzie, du o wody upłynie! - zaśmiał się sardonicznie Rafał.

- Byliśmy razem, cha, cha! zapewne ju raz ostatni w yciu. Nacieszyliśmy się sobą do woli! Ja tu przyjechałem bez niego, ale z jego narzeczoną!

Wstał, przeciągnął się powolnym, leniwym ruchem drapie nego zwierzęcia.

W podwójnym oświetleniu ranka i lampy gibkie jego członki miały elastyczne ruchy dzikiej, głodnej eru bestii. Zaśmiał się raz jeszcze. W śmiechu tym wszystko było oprócz wesołości.

- Bywaj zdrów tymczasem! Idę ju - rzekł sięgając po czapkę.

- Dokąd? Nie zostaniesz u mnie?

- W stra y Rahozów! Nie. Jest przecie, sądzę, Schowankowa w miasteczku. Raz ju pan Feliks zabawiał sąsiadów moim widokiem jako strażnika, to dosyć!

Przez okno na podwórze wyskoczył i zniknął jak widmo, jak pokusa i jak zwykle zostawił za sobą gorycz i przygnębiające wrażenie. Odszedł, ale zmora nie uszła, pokusa została i jak puch marny rozlatywały się resztki snów złotych, ostatnie gasły skierki utrzymywanych tak długo nadziei.

Bezwiednymi ruchy Adam okno zamknął, strzelbę ze ściany zdjął i na ramię zarzucił, ocię ałym krokiem ruszył na swój zwykły obchód po leśnych rewirach. Wierzchołki jodeł złocił świt promienny, w borze budziło się ptasie życie i napełniało ciszę świergotem, dzwonieniem. W człowieku, co szedł, zwiesiwszy głowę i opuściwszy ramiona, zagościła posępna jesień.

Czuł w sobie chłód i życie listopadowego wichru i widział nagość drzew, i słyszał szelest padających ostatnich liści, i osnuwały go nici pajęczyn. Jak to był

zwykły, wychodząc z domu, prze egnał się i pacierz chciał mówić, ale nie mógł.

Słowa modlitwy umykały z pamięci lub gmatwały się chaotycznie. Przestał i w myślach czarnych pograć on szedł, nieświadomy drogi i celu.

Gdy się opamiętał wreszcie i oczy podniósł, orientując się w położeniu, spostrzegł, że stał na trybie wyciętej w gąszczu starodrzewiu, nad małym jeziorkiem porośłym sitowiem i łożą, otoczonym łączką i dębami. I przypomniał

sobie z powracającą falą rozpacz, że tu właśnie, przed laty budowali w myśli chatkę samotną i osiadali z dala od ludzi, ze szczęściem.

Jeszcze jedna z tysiąca złotych niteczek, które przedli w swych egzaltowanych głowach w długich wycieczkach wakacyjnych po borze. Z

zakątkiem tym los się obszedł jak z nimi. Siekiery się wdarły do pustelni, wypłoszyły zwierzynę i ptactwo, tak niegdyś bezpieczne, odsłoniły beczelnie tajemniczą polankę.

Adam patrzył i patrzył. Chciał się orzeźwić tym wspomnieniem dalekim, zapomnieć o gryzącej trosce; ale czar, raz zerwany, nie dawał się nawiązać i, jak słowa pacierza, pamięć chwil wesela odbiegła go i wbrew chęci powtarzać musiał

tę prawdę nagą i ohydną:

- Za miesiąc, może prędzej, rzucisz to wszystko i precz pójdziesz, samotny na całe życie! Nie wyprzedzą ci Parki * (*Parki – /w mitologii greckiej Mojry/, trzy siostry decydujące o losach ludzi*), złotej nici; nie wskrześnie twój sen prześniony.

Młody człowiek wzdrygnął się.

- Nie, nie! - wyszeptał do siebie. - Nie pójdę... Będę milczał.

Nie było to jednak silne postanowienie; był to strach tylko, marna obrona przed pokusą Radwana.

Rafał znalazł u Schowankowej to, co przed dwoma laty po niego przysłała: grubą gospodynię, Trudę zalotną, wybladłego wyrostka i dawnych gości ober y. Dostał

alkierzyk na mieszkanie, wychodzący na wewnętrzne dziedzińce i ogrody, umówił

się o wikt, yda faktora (*poś rednika*) posłał, eby mu kupił konia, spytał o Ruprechta i legł nareszcie spać.

Zbudzono go po południu. Na gniadosza, którego mu yd zachwalał, ledwie spojrzął, zapłacił, co chciano, i kazał go do stajni odprowadzić. Pedagoga o jego bytności uprzedziło chyba przecucie, bo ju był, rozradowany, o ywiony i napadł go pytaniami o Franza i ukochaną Minnę. Zasedli obaj do piwa i obiadu u otwartego okna z widokiem na rynek i dworską wysadę.

- Dobry punkt do obserwacji - zamruczał Rafał przez zęby ze złośliwym uśmiechem.

Gdy to mówił, pod oknem przesunęła się jakaś niewielka zgarbiona postać, za nią z krzykiem i śmiechem biegło kilku obdartusów. Po licach Radwana przeszło bezmierne zdumienie: wychylił się prędko przez okno i spojrzął za tą czeredą.

- Potz Blitz (*niem. Do diaska*)! - szepnął sam do siebie. - A to co? Halucynacja?

- Ach, panie! - wzdychał Ruprecht ałośnie. - Więc pan z Monachium prosto! O

Weh (*niem. Ojej*)! I Minnę pan widział? Jak e ona wygląda? Franz, pisała mi, będzie uczonym. Czy te wspominają mię oni?

- Wasza synowa szwalnię ma podobno, a wasz Franz czeka, by pobudowali przytułek dla idiotów. Tam się ulokuje - odparł.

Ruprecht głową pokiwał.- Braknie tam, braknie męskiej głowy i dłoni...

- rzekł starając się wyprostować i przybrać wyraz męskiej siły.

- Pieniędzy tyle posyłam, a zamiast podziękować, coraz nowych ądają. Co pan myśli? A ebym ja do nich pojechał?

- Jak się podoba... Wypędzą niezawodnie z domu.

- Co pan mówi? Gott erbarme (*niem. Bo e zlituj się*)! Całe ycie im poświęciłem!

- To i có z tego? Ludzie tym się ró nią od zwierząt, e znoszą dobrodziejstwo jak hańbę, a wdzięczności się wstydzą.

Znowu wyrzwał na rynek i poruszył brwiami.

- To jednak szczególne! - zauważył półgłosem.

Ale wnet nowa myśl mu przyszła, bo rozparł się na stole i pochylając się ku Niemcowi spytał szydersko:

- A cóż, gadają w waszym pałacu o małżeństwie pana Feliksa?

- Czekają łada dzień jego przyjazdu i zapewne jeszcze tego lata coś się stanowczego stanie.

- Pewnie! - potwierdził Rafał ze śmiechem.

- Nie pojedzie już więcej za granicę.

- A bo i po co? Posiadł już wszystkie rozumy.

- Starzeje się nasz pan! - szeptał dalej Niemiec, uśmiechając się grymasem złośliwej małpy. - Okradają go na wszystkie strony i rozszarpaliby prędko te jego bogactwa, gdyby nie miał tego młodego Lachnickiego. Taki to dziwny człowiek!

Zabić by się dał za Rahozów!

- Za to go pewnie oni zabiją! - rzekł niewyraźnie Rafał.

- Pan mówi?

- Nie do was.

Do oberżysty ktoś wszedł i zażądał wódki. Schowankowa podniosła protest i domagała się pieniędzy. Powstał spór i kłótnia najęta ona przekleństwami. Rafał się obejrzał.

- Cicho, babo! - krzyknął spojrzawszy na strój obdarty i mizerną twarz gościa.

- Daj mu wódki, ja zapłacę.

Obdartus przyjrzał mu się i podszedł bliżej.

- Dziękuję panu! To tałajstwo z naszej krwawicy się wzbogaciło, a teraz na panów się zapatruje! Och, te pany! eby im dobra Bóg nie dał!

Mizerny, łachmanami odziany, osiwiasty i dziki, podniósł pięść chudą i w stronę dworu pogroził.

- Still! Still (*niem. Cicho! Cicho!*)! - zawołał Ruprecht lęklawie.

- Co ty mi będziesz przeszkadzał, Szwabie? - zawarczał człek zuchwale.

- Gryszan milczał tam w lesie i w pańskiej kancelarii. Karczma nasza i ja teraz swój pan!

Kieliszek wódki wypił i w boki się wziął.

- To ju nie słu ycie? - spytał Rafał rzucając za niego monetę na szynkwas.

- Nie! Wygnał mnie jak psa ten błazen ze stra y. I za co? Za marną furę gałęzi, com szwagrowi dał. Wygnał! Poczekaj, ty farmazonie! * (*Farmazon* –

niedowiarek; lekceważąca nazwa wolnomyśliciela). Niech no ja opowiem, co wiem o tobie! Będzie ci gorąco i prędzej ode mnie wylecisz, i dalej! Ha, ha!

zobaczymy!

Ręką pogroził i wyszedł trzaskając drzwiami.

- So ein Lump (*niem. Ale łajdak*)! - oburzył się Ruprecht. Czeszka zawtórowała mu ochoczo. Rafał się uśmiechnął jakby uradowany.

- Gadaj, gadaj - zamruczał. - Niech się to do dna wzburzy. W to mi graj!

Wstał i po egnał Niemca. Potem się przebrał, konia sobie kazał podać i pojechał za rzekę w las i dalej. Gdy wracał, noc była głucha. Nazajutrz, gdy Adam przyszedł go odwiedzić, zastał znowu z nogą ju w strzemieniu.

- Dokąd jedziesz? - spytał.

- Na Cyterę! - odparł.

- Ty? artujesz! Czy by kamień mógł zakwitnąć?

- Mo e się rozpalić.

- Nie uwierzę nigdy w twą miłość.

- To wierz w nienawiść. Są to poniekąd synonimy. * (*Synonim - wyraz bliski znaczeniowo innemu wyrazowi*).

Prowadząc konia za uzdę, szli razem przez rynek ku mostowi. Gdy mijali dom sądu pokoju, drzwi się rozwarły i na ganek wyszła gromadka ludzi. Rafał

spojrzał po nich obojętnie i stanął nagle.

- Znowu! Co u licha? - zaklął.

- Widmo Brzezowej prześladowuje mię ju drugi raz!

Adam oczy podniósł i głową potrząsnął.

- Nie widmo to, ale ona sama... Biedna ofiara!

- Co? To naprawdę Brzezowa? A ona się tu skąd wzięła?

Obadwa patrzyli w jedną stronę. Gromadka ludzi rozeszła się w różne strony, zmierzając do szynków i zajazdów. Przez rynek, z głową zwieszoną, potykając się na kupach śmieci i kamieniach, wlokła się i oddalała w przeciwną od nich stronę postać drobna i chuda, odziana w mantylkę zrudziałą i staroświecki pogięty kapelusz. Miała w jednej ręce parasolkę połamaną, w drugiej woreczek kanwowy, * (*Kanwowy - ze sztywnej tkaniny siatkowej z grubych nici, używanej jako podkład do wysznurowania włóczką lub jedwabiem*), z którego wyglądały papiery.

Jeżeli Rafał jeszcze wątpił, to go do reszty przekonał piesek obłocony i chudy, który za nią szedł kulejąc, ze spuszczonego ogonem i uszami. Tak, ta wynędzniała ebraczka była to jego dawna gospodyni; ten pies nieokreślonego koloru, z przebitą nogą i zakrwawionym uchem, to był dawny fertyczny, tęczy uczeł.

- Brzezowa? Tutaj?... - powtarzał Radwan coraz więcej zdumiony.

- Osobliwie! Co ona tu robi

- Nic ju nie robi... - rzekł Adam smutno.

- Lampka, co jej w mózgu się paliła, zgasła... pamięć odbiegła. Spotkał ją najcięższy dopust Boży: pomieszanie zmysłów!

- Zwariowała! No, mało jej do tego brakło i dawniej. Ale to mi nie tłumaczy, co ona tu robi?

- Przegrała proces. Gdy otrzymała wyrok, byłem tam jeszcze i przeraziłem się spokojem, z jakim ten cios przyjęła. Popatrzyła na papier i nie rzekła słowa, nie wydała z siebie jęku. Tylko tej e nocy poczęła pisać i pisać niby skargi, niby prośby, bez sensu ju . Wyobraziła sobie, e sprawę kazano jej zacząć na nowo, od najniższej jurysdykcji (*sąd, trybunał*); potem zdawało się jej, e staje przed sądem i broni swej krzywdy, i ju taką została.

- A córka? Umarła? - zagadnął Rafał.

- Nie. Biedne dziecko! Bez młodości, zdrowia, szczęścia, tego wszystkiego, co ka dy z nas miał choć chwilę w yciu! Czyścowy ywot od kołyski, znoszony z kamienną, martwą rezygnacją. Po tym ostatnim ciosie jednak wszystko się rozprzęgło. Lokatorowie się wynieśli, nędza straszna zagościła u nich.

- ebyś to streścił trochę... Wiem i sam, e w takich warunkach dobrobyt nie rośnie. Nie wiem tylko, dlaczego dotąd nie poumieraly z głodu. Ty ich utrzymujesz?

- Ja nie mogłem... sam rozumiesz. Napisałem tylko do panny Kazimiery, a ona, zamiast odpowiedzi, sama przyjechała z ojcem. Nie pojmuję, jak go namówiła, ale przyjechał, obejrzał wszystko i zgodził się zaopiekować tą nieszczęsną.

Domek jej tu dał w miasteczku na mieszkanie i kilka korcy zboża rocznie.

Resztę dokłada panna Kazimiera i ja, ile mogę. I kto, patrząc na tę dolę, będzie jeszcze na swoją narzekał!

- A córka?

- Uczy się. Tej wiosny tu była na tygodni parę, a potem ruszyła w świat, do Genewy na uniwersytet. Ach, ebyś ją widział! Z alu nad takim wyniszczeniem mnie łzy do oczu nabiegały.

- Osobliwość, e yje. Anemia ją arła i malaria. Nie sądziłem, by wytrzymała.

Kamienny organizm! Ha, ha! Gotowa mnie wykierować na złego obserwatora i dobrnąć do celu!

- Nie wierzyłeś, by wytrzymała?

- Naturalnie, e nie.

- Po có więc ją podniecałeś do walki?

- Przez prostą ciekawość medyczną.

- Wstyd ci! A je eli unieszczęśliwi ją twoja nauka?

- Ka dy powinien mieć rozum dla siebie. A mnie co do niej?

- Kainowa odpowiedź!...

- Moja własna i zupełnie logiczna.

- I bez serca.

- Nie mówmy o sercu, ale o Brzezowej i Brzezównie. egnam cię tymczasem.

- Powiedz, dokąd jedziesz. Nie zdradzę zaufania.

- Mo e być, ale ja powiernice i powierników toleruję tylko w greckich dramatach.

- Gdzie się zobaczymy?

- U Schowankowej ka dego rana, jeśli chcesz.

Wsiadł na koń i ruszył z kopyta do Sarnowa. I tak ka dego poobiedzia, potem i rano, jechał tą samą drogą co dzień weselszy. Adam go raz spotkał o zmroku wracającego do miasteczka i zaczepił.

- Skąd jedziesz?

- Z Cytery! - odparł po swojemu, a mijając go nucił aryjkę operetkową. Nie, on nie kochał Anielki! Serca nie miał, a krew jego burzliwa wrzała chęcią odwetu i piekielną radością coraz pewniejszego zwycięstwa. Tydzień minął, a Feliks nie wracał. Potępieniec Danta, * (*Dante Alighieri /1265 -*

"*Boskiej Komedii*"), występował cudownie piękny z ram obrazu Kazimierza, wkradał się do serca dziewczyny. Schwytała się na gorącym uczynku niepokoju, gdy spóźniał się, tęsknoty po odjeździe, drżenia serca, gdy w jej oczy zatapiał

płomienne źrenice. Feliksa polubiła powoli, jasnym uczuciem; Rafał ogarniał ją nagle jak płomień, po arem namiętności.

Kazimierz nic nie widział oprócz swego przepysznego, nieocenionego modelu. Malował z lubością kochanka, wykrzykując zachwyty po włosku, po niemiecku, po francusku nad świe ością rysów i karnacji. Dziewczę, przejęte i oczarowane, całowało kwiaty potępieńca i usypiało z jego imieniem na ustach, a rozkoszną nadzieją w sercu. A Feliks wciąż się opóźniał, a wreszcie w Sarnowie przestano go nawet wspominać, a wizytę w Rahoźnej odkładano z dnia na dzień.

Po przymusie całodziennym wracał Rafał do ober y, zrzucał maskę z odzie ą i w kurcie rozpiętej, rozparty po studencku, niedbały, pogardliwy, ziewając i kopcąc cygaro spędzał wieczory w gwarnej izbie, wśród publiki nieokrzesej, rozmawiając z Ruprechtem lub grając w karty. Wtedy się czuł

samym sobą i szydził w duchu z serca dziewczyny, z głupoty malarza i z całego świata. Rano Adam go odwiedzał, ale w izbie siedzieć nie lubił, więc w alkierzyku (*małej sypialni*) Radwan zaspany i zniecierpliwiony połykał śniadanie, a leśniczy siadał u stołu naprzeciw i podparłszy głowę, bił się z myślami, co dzień bledszy i smutniejszy.

Naprzeciw tego okna z małego domku wychodziła co dzień Brzezowa, przesuwała się jak cień przez podwórze i utykając, nędzna i zbiedzona, szła wśród wrzasku rozpustnej dziatwy miasteczkowej do sądu. Psina głodna, ten uczek stary, szedł zawsze za nią. Na ganku sądowym odpędzono go precz, i zostawał

skurczony, zwinięty w kłębek, skowycząc czasem łośnie, gdy go trafił kamień łobuza, i czekał cierpliwie długie godziny.

Brzezową znano ju , więc jej nikt wstępu nie bronił. Siadywała w sądzie na ławce pod ścianą, dobywała z torby papiery i odczytywała je po raz setny. Gdy wywoływano nową sprawę, powstawała i słuchała chciwie, potem twarz jej kurczyła się zawodem, głowa opadała na piersi, a z oczu bezmyślnych na papiery trzymane konwulsyjnie padało łez parę i tak pozostawała do nowego wywoływania, do nowego zawodu.

Gdy sąd się zamykał i ludzie rozchodzili, wstawała jak automat, zbli ąła się do stołu.

- Panie mój - pytała sędziego pokornie - a kiedy wezwą mnie i Zudrów? Czy prędko?

- Otrzymacie pozew! - odpowiadał urzędnik spokojnie, przywykły ju do jej obłędu. Wówczas wychodziła za innymi.

- Same ruiny, same ruiny! - szepnął raz Adam, patrząc z alkierzyka na jej kroki chwiejne i oczy zgasłe.

Rafał ramiona wzniosł w górę.

- Kto sobie ćwiek w głowę zabija, nie dziw, e mu wreszcie mózg przewierci!
- A jednak psychiatra mi mówił, e ka dy ma taki ćwiek, ma punkt, na którym mo e zwariować.
- To go nie wbijać, ale wyrwać póki czas.
- Nie wiem, co gorzej boli? - rzekł Adam zmęczonym głosem.

Tu Rafał przestał pić kawę i spojrzał na niego bystro.

- Ty oddaliłeś strażnika Gryszana?
- Ja. Kradł i zwierzynę sprzedawał.
- No, to on cię zdradzi za to.
- Zdradzi? Co?
- Ano, twój stosunek z pańską córką. Onegdaj odgrał się z tym u Schowankowej na sali.

Lachnicki zbladł śmiertelnie. Więc ju po karczmach wspominają Kazię z jego powodu, pijane usta włączą ich miłość przejrzystrą! Ohyda i wstyd porwały go za gardło i dławiły. Z bladego stał się czerwonym, purpurowym od krwi, co mu się rzuciła do oczu i skroni. Nie mógł wymówić słowa.

- Warto, ebyś uprzedził tę denuncjację! - zaśmiał się Rafał po swojemu.
- Bo jeśli po tej wieści z ust Gryszana nie padnie trupem sam stary, to niezawodnie ciebie zabije.
- Ach Bo e! - zajęczał Lachnicki chwytając się za głowę.
- Produkcyjne są te jęki! - burknął Radwan. - Ciekawym jednak, czyś swą sprawę posunął choć o krok przez te dni dziesięć, co tu bawię.
- Mówiłem ju z panną Kazimierą - szepnął Adam. - Prosiła, ebym się nie narał

na gniew pana. Ach! Ona, ten mój anioł biały, ona gotowa ywot cały cierpieć, byle mi gorczy oszczędzić!

Więc czekajcie zemsty Gryszana, pijaka.

- Nie, nie, to niepodobna! To ohydne! Trzeba kończyć, trzeba wszystko kończyć i ginać! Głos jego skonał złamany i długi czas milczeli.

Rafał kalendarzyk dobył z kieszeni i coś liczył, kreśląc w nim czerwone linie.

- Zum Henker (*niem. Tam do kata*)! - zaklął pod wąsem. - To ju trochę za długo tej głupiej komedii. Czas i mnie kończyć, bo mię tu nuda po re! Gdzie u licha siedzi ten błazen? - Wstał i niecierpliwie kopnął nogą krzesło. - On mi nie przestanie dokuczać zawsze i wszędzie, a go nie stanie chyba! - wyrzucił z siebie z dziką wściekłością.

Adam, jak ze snu obudzony, podniósł głowę.

- Gniewasz się na mnie? - spytał łagodnie.

- Pytam, kiedy twój młody dziedzic się uka e?

- Nie wiem. Oczekują go co dzień. Dziwnie się opóźnia w tym roku.

- Umyślnie. eby moją cierpliwość doprowadzić do ostatecznych granic.

- Masz do niego interes?

- Mam stare rachunki do uporządkowania przed odjazdem w świat.

- W świat! - powtórzył Adam jak lunatyk. - I weźmiesz mię z sobą?

- Wolnego, tak na zawsze!

- Na zawsze, a pewnie! Do czego mi wracać i do kogo?

Posiedział jeszcze chwilę milczący, potem wyszedł zataczając się jak pijany. Za nim Rafał popatrzył drwiąco i zawołał na Trudę, by szła na plebanię po ró e, które z sobą zawsze wiozł do Sarnowa. Ton tego rozkazu był niecierpliwy i złośliwy, jakby chodziło o spleatanie komu figła. Po południu gniadosza siodłać kazał i wyświe ony, z maską swobodnej uprzejmości na twarzy, z ró ą u kłapy surduta, wyszedł przed ober ę. W tej e chwili na środku placu zgiełk się podniósł

i zbiegowisko ludzi skupiać się poczęło i śmiać.

Młody człowiek, prowadząc wierzchowca za cugle, zbli ył się, rozepchnął

gapiów, zajrzał do wnętrza gromady. Tam, na kupie śmieci, twarzą do ziemi le ała Brzezowa bez ruchu. Piesek wystraszony przypadł do niej, tuląc się przed pociskami urwisów. Padały na niego jak grad trzaski, zlepki zeschniętego błota, grudki cegieł. Niektóre, zamiast w niego, trafiały w le ącą nędzarkę i pokrywały ją kurzem i śmieciem. Po ka dym trafnym pocisku pies podnosił się na tylne łapy i opadał znowu, wyjąc ałośnie. Gawieź bawił ten rodzaj sportu: śmiano się.

- Umarła ona! - zawołał Rafał przeciskając się bli ej i tak przejęty, e a na jego twarz zimną wybiła się odraza i przykrość.

- Nie, to tak ze strachu przyczaiła się! - odparł drab w poplamionym surducie, szczerząc szeroko zęby.

Młody człowiek wyrostka podnoszącego w górę garść potłuczonych skorup za kołnierz porwał, wstrząsnął i w tłum rzucił.

- Bydło! - krzyknął wściekle, tnąc drugiego szpicrutą przez plecy.

Odskoczyli wszyscy, a jednocześnie rozstępowali się i szept pobiegł z ust do ust.

- Panienska, panienska!

I nagle jakby ich wiatr zdmuchnął, rozpięchli się na wsze strony, a Rafał, ledwie spojrzawszy na pannę Kazimierę, pochylił się nad leżąca i dźwignął ją na rękę.

- Co to się stało? - zawołała zdyszana panienska.

- Bydło! - powtórzył raz jeszcze.

Oboje teraz pochylili się nad staruszką, którą młody człowiek, przyklękawszy, o siebie oparł, obejmując ramieniem.

- Truda, wody! - krzyknął donośnie, dotykając puls i skroni, i oglądając ją okiem doktora.

- Musiało ją słońce porazić! - rzekł wreszcie do panny Rahozówny, która, z rąk Trudy przyjąwszy wodę, zmywała twarz staruszki śmieciem poplamioną, wykrzywioną dziecinną ałością, tragiczną w otoczeniu wzburzonych siwych włosów, z wyrazem tym okropnym. Wreszcie rozwarła swe oczy błędne, powiodła nimi wkoło i uśmiechnęła się dobrotliwie.

- Upadłam, panie mój, upadłam! Tyle bo drogi odbyłam za tym procesem!

Przepraszam mojego pana! Mówiła to patrząc ju przed siebie w pró nię i spróbowała stanąć, ale się osunęła znowu. Ręce jej poruszały się niespokojnie, chcąc podnieść torebkę i parasolkę. uczek lizał te biedne ręce i, jakby jej pomoc chciał, podskakiwał.

- Przepraszam mojego pana. Wdowa ja teraz i skrzywdzona, ale to nic! Jest sąd na krzywdę, jest, a ja go się doczekam, wspomni pan moje słowo.

Rafał wziął ją na rękę jak dziecko, cały czerwony od nie znanego sobie wra enia i zwracając się do panienski: - Gdzie jej dom? - spytał głucho.

Panna Kazimiera wzięła torbę i parasolkę, poszła przodem, a staruszka dała się nieść i mówiła:

- artuje mój pan, artuje! Nie czas mnie jeszcze w górę podnosić. Ale to przyjdzie. Wdowa Brzezowa pójdzie wysoko, wysoko! Wszystko jej wróca, wszystko zapłaca, a Zudrowie nędzni będą, podli będą, pogńębieni będą!

Doczekam się, jest sąd, tylko nie ma dotąd mojej kolei! Nie ma.

Zamilkła. Na rękę Rafała, który ją podtrzymywał, spadła gorąca kropla, potem druga i trzecia.

Wchodzili na próg domostwa. Stara sługa opłacana przez panienkę podniosła lament. Posłano ją po doktora, a Rafał swój ciężar złożył na mizernym posłaniu i podczas gdy panna Kazimiera rozbierała ją z kapelusza i mantylki, stał i patrzył z brwią ściągniętą i dzikim błyskiem oczu.

- I są głupcy, co świat ten cenią i ludzkość szanują. Niech tu przyjdą i popatrzą!

- zawołał wybuchając.

Panna Kazimiera pogodnie swe oczy podniosła ku niemu.

- A przecie żyć i pracować trzeba, a nienawidzić nie wolno, bo my wobec Boga najgorsi! - rzekła z cicha.

Rafał bystro na nią spojrział.

- Za to te was kocha ten lunatyk. Dobraliście się w korcu maku!

Bóg - wynagrodzenie za wszystko!

Panienka zarumieniła się, zamilkła chwilę. Potem znowu ogarnęła go tym spojrzeniem swym jasnym i uśmiechnęła się łzawo.

- Pan, gdy wszystko wie, dlaczego się dziwi? Co by zostało cierpiącym, gdybyście nam Boga wzięli? Znam pana z opowieści pana Adama. Jednych nawraca pieśń tylko, innych grom. Panu gromu trzeba i dlatego serdecznie ałuję pana! To pana gniewa? Przepraszam, alem panu bardzo yczliwa, choć się tak mało znamy!

Drzwi się rozwarły, wszedł doktor. Znał Rafała z wieczorów w ober y, a Kazię od dziecka. Chorą obejrzał i ręką machnął.

- Nic jej nie będzie.

Przydusiło ją gorąco w sądzie, potem przypiekło słońce. Lód, parę synapizmów, *

(*Synapizm - plaster przesycony olejkami gorzycowymi; stosowany w leczeniu stanów zapalnych i nerwobólów*), orszada * (*Orszada - napój chłodzący z utartych migdałów, cukru i wody lub mleka*) i spokój. Idioci mają twarde zdrowie.

Jutro będzie Zudrów procesować!

Pogadał chwilę i odszedł. Rafał te za czapkę brał, gdy drzwi się znowu rozwarły i wszedł Adam.

- Twój koń mnie nastraszył. Złapałem go koło leśniczówki i bałem się wypadku.

W ober y objaśniono mię. Jak e ta nieboga?

- Doktor spokojny - odparła panna Kazimiera. - Zostanę tu jednak do wieczora, a się nie polepszy.

- Zostań i ty, Rafale! - poprosił chłopak.

Radwan zrozumiał, że pod jego strażą i oni oboje będą mogli być razem i pomimo drwiącego uśmiechu został. Wolał to niż wizytę w Sarnowie. Przyłóżku chorej przesiadeli kilka godzin. Rozmowa jednak nie szła gładko. Tamci bali się jego sarkazmów, a on, wyjątkowo posępny, rozglądał się po pustych ścianach mieszkania, po sprzętach nielicznych i ubogich, po tej ruinie człowieczej i kipiał

wściekłością.

O zmroku ledwie ocknęła się biedna ze swej martwoty. Spojrzała wokoło i zatrzymała zgasłe oczy na Rafale, który siedział najbliżej.

- Chorowałam, panie mój - zaczęła mówić po dawnemu prędko.

- Trochę się zmęczyłam i dobrzy ludzie podnieśli, słyszę. Dziękuję panu doktorowi, że mnie odwiedził.

- Nie poznaje mnie pani? - spytał pochylając się.

Oczy jej zamrugały i na sekundę nabrały stalszego wyrazu, wnet jednak zgasły znowu.

- Poznaje, panie mój, poznaje! Tylko mi oczy popsuły te papiery i druki, więc nie dojrzałam na razie. W Ochajnach raz ostatni widziałam pana mojego! W zły dzień, jak nas z oficyn dla Zudry wygnali! Przypomniał sobie pan starą znajomą!

Dziękuję, dziękuję! Na obiadek proszę. Dawno pan z naszych stron? Cóż tam słyszać? Stoi jeszcze stara kuźnia przy drodze i kasztany czy yją?... Ach, panie mój, jak to daleko i cię ko tam wrócić! Moje pan Zudrów widuje? Proszę ode mnie powiedzieć, że znajdę taki sąd, co krzywdę moją oceni i za mną prawo przyzna!

Kazia, bardzo blada, słuchała z bezmierną przykrością tej mowy bezładnej.

Pochyliła się do niej.

- Moje panią co boli? - spytała.

- Ach, to ty, Leonka! Wróciłaś przecie! Doczekać się ciebie nie mogłam. Boli!

Pewnie, że boli, ale to nic. Przejdzie! Byłaś u Chruścickiego?

- Moje pani głodna?

- Pewnie, że głodna i uczeń głodny. Herbaty mi, dziecko, przygotuj, bo długo pisać będę. Moje jutro pozew przyjdzie, trzeba być gotową!

Piesek, słysząc swe imię, wspiął się na łóżko i skomlał łośnie. Panna Kazimiera wyszła do

kuchenki, a męczyźni siedzieli milczący, nie śmiejąc się poruszyć.

- No i gdzie wasz Bóg - spytał nareszcie Rafał półgłosem, gorzko. Adam głowę zwiesił. - Cierpliwy, bo nieśmiertelny! - zacytował wreszcie cicho.

Pod oknem rozległy się kroki i ktoś drzwi otworzył.

- Proszę jasnej panienki! - ozwał się głos lokaja.

- Czego chcesz? - spytała podchodząc.

- Jasny pan przysłał konie. Jasny panicz przyjechał.

Rafał podskoczył i w ciemności oczy jego mignęły zielono jak wilcze.

- Nareszcie! - mruknął przez zęby.

Panienka śpiesznie dawała zlecenia sługom i egnała się. Adam ją przeprowadził. Gdy powrócił, zastał Rafała u okna. Wyglądał rozpromieniony i szczęśliwy.

- Bywaj zdrow albo chodź ze mną. Wypijemy ponczu u Schowankowej. Wesół
jestem.

- Dlaczego?

- Kończy się mój czas próby!

- Jakiej?

Radwan za czapkę wziął.

- Idziesz?

- Nie. Zostanę przy tej biednej.

- No, to się nie dowiesz. Do widzenia.

Nie spojrzał na Brzezową, ogarnięty już inną myślą, i wyszedł gwiżdżąc.

Na dworze wyprostował się i wstrząsnął, jakby go dreszcz przeniknął.

- Łatwiej nawet w ich Boga uwierzyć niż udawać dwa tygodnie. To nie moja specjalność. Brrr! Jakże to męczące! Trzeba kończyć, bo nie wytrzymam.

IX

Czerwone mgliste słońce wzeszło nad Rahoźną. Ranek nie dał kropli rosy, powietrze było ciężkie i duszące, a zbierające się od dawna nad lasami chmury groziły długo spodziewaną, straszną lipcową burzą.

Od przyjazdu Feliksa upłynął tydzień spokojny. Rafała nie widywano nigdzie. Po całych dniach siedział u Schowankowej i czatował jak pająk w środku sieci, wyglądając oknem na drogę dworską i rynek. Ruprecht przynosił mu co wieczora wieści z pałacu, a dwa razy widział sam, e Feliks przejeżdżał do Sarnowa i z powrotem. On czekał jak górnik, co zapaliwszy saletrzany lont miny, czeka wybuchu.

W ów ranek, przed burzą, wyruszył wreszcie konno w stronę lasu. Wiatr się już zrywał i kręcił piasek po drodze, płuća, pomimo wczesnej pory, wciągały z trudnością suche i gorące powietrze. Pomimo to Rafał wyglądał ożywiony i wesół.

Gniadosza popędzał do prędkiego biegu i jak huragan wpadł do leśniczówki Adama.

Lachnicki, szerniały i z arty przez ciągłą troskę i walkę, spotkał go na progu chaty i spojrzał na niego z wyrzutem.

- Czyś ty taki rad z mego nieszczęścia? - spytał.

- Ozon w powietrzu działa na mnie alkoholicznie! - odparł Rafał wprowadzając konia do stajenki. - Odjeżdżam dzisiaj

- Ju!

- Zdaje mi się, e pora! Trzy tygodnie mija; za tydzień mamy z Bertem wyruszyć już razem.

- Pójdę i ja z wami!

- E, ja i dnia więcej czekać nie myślę.

- Tote dzisiaj pójdę do pana Rahozy. Wypędzi mnie i sponiewiera, wiem to.

Tymczasem chciałbym z nią spędzić te kilka godzin. Nie zobaczymy się na ziemi już nigdy.

- Więc idź. Ja tu do trzeciej zabawię, potem pojedę na godzin parę za interesem i wrócę. Czekać ciebie będę do siódmej, potem w drogę! Nie będzie nam, sądzę, ciemno, błyskawice przyświecą!

Oczy mu się paliły ądzą wymarszu na bezgranicze, na swobodę i dziką fantazję.

- Pieszko pójdziemy?

- Naturalnie. Nienawidzę kolei!

- Wróć na czas, o! I wcześniej jeszcze. To tak łatwo i prędko panu Rahozie mnie na proch zetrzeć i zgubić na wieki! Nie będziesz czekał długo.

Westchnął i ruszył przed siebie krokiem automatu. Rafał na zwałonej kłodzie u drogi siadł i zapatrzony na mrówki uwijające się w mchu pozostał

zgarbiony i beczynny. Podniósł oczy dopiero na bliskie kroki i spotkał się z wzrokiem Feliksa.

Młody Rahoza wyglądał chmurny i zmartwiony. Z rękoma zało onymi w tył, a wzrokiem utkwionym w ziemię ujrzał dawnego towarzysza, gdy się prawie ju otarł o niego i stanął.

- A, to ty! - zawołał starając się przybrać swobodny wyraz twarzy.

- Zdziwiony byłem bardzo, gdy mi Sarnecki powiedział, e przyjechałeś jednocześnie z nimi.

- Razem z nimi - poprawił Rafał spokojnie.

- Mniejsza o wyraz! Kazimierz w rozpaczy, eś nie był tam ju tydzień. Mo e dzisiaj pojedziesz?

- Mo e. - Spojrzał na chmury.

- Bo i ja będę po południu, choć grozi straszną burzą.

- To i dobrze. Zbierało się na nią od dawna.

Feliks obejrzał go od stóp do głowy.

- Ale , filozofie, nie poznaję ciebie. Pozujesz na eleganta. Czy to dla Trudy z ober y?

- Mniejsza o wyraz. W ka dym razie dla mojej kochanki.

- Ach, tak. Masz kochankę! Winszuję! Cywilizujesz się widocznie.

- Mając przez tyle lat taki przykład ywy jak ty, musiałem się wykształcić.

- Bardzo mi przyjemnie. Gotówem ci zawsze słu yć w tym celu. Długo jeszcze zabawisz?

- To ode mnie nie zale y.

- Cha, cha, cha! Od twojej kochanki zatem?

- Nie, od wypadku, jak świat cały.

- Zaczynasz filozofować. Zmykam! Mam nadzieję, e się spotkamy jeszcze.

- Niezawodnie.

Spojrzeli sobie w oczy; Feliks spróbował się uśmiechnąć, ale dobry humor nie przychodził na

zawołanie. Zawrócił się na obcasie i odszedł.

Za nim Rafał się podniósł. Burza gdzieś w oddali się zrywała i szła hucząc; chmury zgęszczały się ju nad Rahoźną ółtobure, złowieszcze. Po szczytach boru wicher ju poczynął hulać i z czarnych tych głębi szło ponure wycie. Tumany piasku wzbijały się z drogi, porwane w szalony ruch wirowy. Gdzieś tam na skraju horyzontu padł pierwszy piorun, jeszcze głuchy, jak sygnał walki przyrody.

Machinalnie Feliks się obejrzał. Rafał stał w miejscu i patrzył za nim.

I raz pierwszy w yciu pomyślał, e chłopak ten, wyniosły i piękny, był jakby duchem huraganu i zniszczenia. Wśród poczynającej się walki stał wyprostowany i urągał wichrom. Na jego mizerną twarz rzucały chmury cień posepny, a w oczach miał ognie zapalające się nagle i ginące w chwili jednej jak jaskrawe smugi błyskawic.

Burza szła do niego, a on ją witał jak siostrzycę. Feliks głową pokręcił, kapelusz nacisnął na oczy i ruszył dalej, borykając się z wichrem. Rafał jeszcze czekał. Burza teraz szła szalonym pędem jak stado rozhukanych koni; szerokim skrzydłem objęła Rahoźną, pola i bór, tylko tam, nad Sarnowem, jak ostatnie wspomnienie słońca, został brudno pomarańczowy rąbek obrze ający sine obłoki, nad Rahoźną ju była noc i groza huraganu. Grom padał za gromem, a w głębiach boru łączył się z łoskotem piorunów i wichrem trzask walących się olbrzymów i wreszcie deszcz lunął strumieniami, przenikając do nitki stojącego wciąż Rafała.

Wówczas on się poruszył, ale się do chaty nie schronił, tylko na zegarek spojrzął, konia ze stajenki wyprowadził i ruszył z kopyta na ten rąbek słońca za lasem. Tu obok niego piorun trafił w szczyt świerku z ogłuszającym łoskotem i wę ykiem zbiegając ku ziemi, zrył drzewo ywą szramą. Gniadosz stanął jak świeca, chrapiąc dziko. Jeździec ciął go szpicrutą między uszy, pognali szalonym pędem na oślep. A twarz Rafała w tym rozpasaniu ywiołów miała wyraz rozkoszy i wielkiej szczęśliwości. Jego to była muzyka, jego biesiada!...

Tak, w Sarnowie była cisza. Nawałnica jakby po ałowała białego dworu i kwiatów Anielki: deszczem je zrosiła i poszła dalej.

- Nie było pana cały tydzień! - szeptał cichy, gorący głos dziewczynki w altanie z powojów i caprifolium, gdzie ją zastał Rafał.

Kazimierza nie było. Ustrojony w płaszcz nieprzemakalny, poszedł z teką i parasolem w ślad burzy. Chciał ją schwycić i przenieść na płótno w szale i zniszczeniu.

Dzieweczka wymówiła to powitanie bezwiednie. Mo e nie chciała tak właśnie powiedzieć, lecz się serce rwało ku niemu i tak tęskniła przez ten tydzień.

Stali pod zieloną ścianą altany; ona ze spuszczoną głową, onieśmielona, dr ąca; on trochę roztargniony, natę ając słuch, czy wśród dalekich grzmotów nie rozró ni tętentu konia.

A gdyby ten, ten drugi, odło ył wizytę zastraszone deszczem? Nie, delikatne ucho Rafała musiało coś dosłyszeć. Wyraz niepewności znikł z twarzy, oczy spoczęły na pochylonej głowie Anielki.

- Czuję się niepotrzebnym, pani! Obraz ju prawie gotów i Feliks Rahoza powrócił.

- Có on mnie mo e obchodzić? - szepnęła.

- On, wszak jest pani narzeczonym!

- Pan Feliks? - Podniosła oczy na Rafała, lecz je wnet spuściła. W rączkach bezwiednie kręciła biały kwiatek caprifolium. - Nie kocham go i nigdy nie pokocham. On mi jest niczym!

- Dlaczego, pani?

- Bo kocham ju .

W oddali wirową ulicą ktoś szedł ku altanie. Szedł lekkim, elastycznym krokiem, nucąc z cicha piosenkę.

- Kogo, Anielko? - Głos filozofa dr ał. Było to uczucie czy triumf, czy niecierpliwość? Dziewczynce dźwięk ten wkradał się do serca jak pieśń niebiańska.

- Kto tym szczęśliwym? - pytał, a jednocześnie otaczał ją wół.

Podniosła rękę, jakby się bronić chciała, lecz ju ręka nie słuchała woli, miłość zmogła wrodzoną wobec niego nieśmiałość. Objęła szyję młodego człowieka, główką przytuliła mu się do piersi.

Zapanowało długie milczenie. Serce jej kołatało mu pod ręką; oddychała cię ko, rozmarzona, kochająca. Pochylił się ku niej i, biorąc kwiatek z ręki zajrzał

namiętnie w oczy.

- Pocałuj mię! - szepnął niewyraźnie.

Leniwie jakby, cię ko podniosła skroń z jego ramienia; koralowe usta spoczęły na wargach Rafała...

Sploty caprifolium i powojów u wejścia rozdzieliły się w tej e chwili. W

otworze stała smukła, zgrabna postać Feliksa. Wszedł wesół, uśmiechnięty, ze swobodnym słówkiem powitania na ustach. Skamieniał. Twarz pokryła mu się szkarłatem i zbieła natychmiast jak kwiaty wiciokrzewu. Ręka ścisnęła mu się w pięść. Szarpnął gałęzie gwałtownie.

- Ach!... - wybiegło mu z ust mimo woli.

Na ten okrzyk Anielka drgnęła, wyrwała się z uścisku, fala ywej krwi okryła ją szkarłatem; jak spłoszona sarna rzuciła się uciekać. Machinalnie Feliks usunął się na bok. Dziewczynka wyskoczyła do ogrodu, zapadły za nią wonne sploty. W altanie nikt się nie odzywał przez chwilę. Rafał pobie nie spojrzął na intruza i, jakby nic nie zaszło, rozparł się niedbale na ławce i zapalił cygaro.

- Mógłbyś na swe odwiedziny wybierać stosowniejszą porę i bawić kolegę malarza, zamiast mi tu

przeszkadzać! - ozwał się wreszcie chłodno i spokojnie.

Feliks to bladł, to czerwieniał; otwarta jego twarz mieniła się wszystkimi wyrazami wstydu, upokorzenia, alu, zazdrości i gniewu. Zębami gryzł wargi, w pierwszej chwili chciał płakać, potem wściekłość stłumiła inne uczucia i skoczył

do Rafała.

- Słuchaj, ty! Jakie masz prawo całować ją? Gadaj!

- Nie mam wcale ochoty gadać z tobą... Cha, cha! Przywykłeś zanadto do triumfów! Nie wszystko się jednak bierze tą bronią, co turnerskie prezesostwo!

- Zdrajco nikczemny! - krzyknął Feliks postępując krok naprzód.

Ręka Rafała sięgnęła powoli do kieszeni surduta, lecz spuścił ją po chwili namysłu.

- No, no, no! Powoli, mój mały! - rzekł pogardliwie. - Nie ma tu dla kogo układać retoryki. * (*Retoryka – sztuka ozdobnego wysławiania się, krasomówstwo*). Radzę ci w milczeniu strawić pora kę. Dziewczyna moja i do ciebie pewnie nie wróci.

Poszukaj sobie innej!

- Pierwej mi tę płać! Słyszysz? Ja ci tego nigdy nie daruję!

- Albo ja cię proszę o darowiznę? I owszem, obrachujmy się. Tylko teraz, w cztery oczy ze mną, nie zwycięysz swoją ulubioną bronią. Tu trzeba trochę ołowiu i du o krwi, mój panie! Cha, cha! To cię mo e ostudzi? Co?

Pomimo pozornego chłodu i szyderstwa głos miał schrypnięty i głuchy, a twarz zmienioną szalem.

- Milcz i dawaj broń jaką! - wrzasnął Feliks dr ąc cały. - Nauczę cię, jak mi podstępnie bałamucić narzeczoną! Nauczę cię!... Głosu mu nie stało.

- Va bene! Chodźmy! - odparł Rafał ruszając ramionami. - Po co tyle pró nej gawędy? Wyszli z altany. Burza szalała nad Rahoźną. Gromy biły raz po razie jak salwy armatnie, błyskawice kreśliły na czarnych chmurach jakby litery tajemniczego pisma.

Obadwa dosiedli koni i ruszyli w stronę lasu milcząc. Wicher z deszczem siekł im twarze; droga w dół ku rzece była ło yskiem strumienia; wierzchowce, gnane prętami, sadyły przez zwałone pnie i gałęzie, obryzgując je wodą i błotem.

Minęli galopem strą , u ostatnich drzew boru stanął Rafał. Rahoźna, w tuman deszczowy owinięta, le ała przed nimi. Wskazał na nią.

- Mo e ci szkoda dziedzictwa? - spytał sarkastycznie.

- Milcz i kończmy! - krzyknął Feliks. - Masz rewolwer?

- Mam. Bierz go, a mnie daj swój!

Feliks dobył broń z kieszeni siodła i podał. Zeszli nad sam brzeg rzeki, puszczając konie na los szczęścia.

- Szkoda, e nie ma leśnych dzwonek teraz... - śmiał się wciąż Radwan. - Mam za to caprifolium od mojej kochanki! Ty lubisz romantyczne cele. Patrz! Zatykam go w klapę. Włocz mi go pod obojczyk...

- Ł esz! - wybuchnął Feliks. - Ona nie była, nie jest i nie będzie twoją kochanką!

Masz za to, eś śmiał to powiedzieć. Zmierzył niepewną ręką i targnął cyngiel.

Strzał padł, ale przeszedł ponad głową Rafała i utkwiał w pniu świerku.

- Cha, cha, cha! Czy nie byłeś prezesem na jakim zjeździe strzelniczym?

Kwalifikujesz się na króla kurkowego! - szydził Radwan.

- Strzelaj! - wyjąkał nieprzytomnie Feliks.

- Nic nie nagli... Pamiętasz, jakieś dowodził, e trafiam przypadkiem! Będzie źle, gdy ten przypadek dziś się powtórzy. Nie będę mierzył do czapki, ale w bok lewy tym razem.

- Strzelaj! - wrzasnął desperacko Rahoza.

Rewolwer się podniósł. Wzdrygnął się chłopak przed czarną lufą, szczęki się zacisnęły nerwowo. Mo e mu błyskawicą myśli przeszło wspomnienie szczęścia i wesołego ywota, bo zbladł bardzo.

Rozległ się wystrzał. Sekundę stał jeszcze i nagle się zwałił na twarz, wyciągając bezwiednie ramiona. Z lewego boku bluznęła krew obficie i wsiąkała w mokry piasek. Zajęczał parę razy i ucichł na wieki.

Minuta minęła długa jak wieczność. Zabójca stał nieruchomy, jakby się sam dziwił trafności swego strzału; potem pochylił się nad le ącym, posłuchał

oddechu, rzucił rewolwer o ziemię, dobył swój z bezwładnej ju dłoni zabitego i odszedł spokojnie ku drodze. Wierzchowiec jego stał opodal pod drzewem, złowił

go, dosiadł i ruszył ku miasteczku.

Twarz jego straciła wyraz podniecenia i triumfu, była ju jak zwykle twarda i ponura... Wyrzutów nie doświadczał; w głębi jego duszy odzywała się tylko nieokreślona nuda i niesmak. Doznawał uczucia pijaka, który się wytrzeźwi, szulera, gdy zostanie bez grosza, lekkomyślnika nad rankiem po nocy szału.

Przed oberą zsiadł z konia i wszedł do izby. Pusta była, tylko Ruprecht wyglądał

oknem, a ujrzawszy go, podbiegł prędko z miną tajemniczą.

- O Herr Je! O Herr Je! - szeptał przerażony. - Takiego dnia nie przeżyłem drugiego! Same awantury, sceny.

Rafał obojętnie ręką machnął i wszedł do alkierza. Ruprecht, nieproszony, wcisnął się za nim.

- Niech pan posłucha! - powiedział zamykając drzwi i drepcąc za młodym po izdebce.

- Dziś rano pan zawołał syna i oznajmił mu, że z Sarnecką enić się nie pozwoli.

Czemu? Co? Ho, ho!

Stary chytry! Przewąchał, że artysta przeszedł za granicą fortunę i majątek wisi na włosku. Zabronił amatorów stanowczo! Młody wtedy wymówił

posłuszeństwo, krzychał, wariował i zapowiedział, że dlatego właśnie dzisiaj jeszcze się oświadczy i o eni, z wolą czy bez woli ojca. Sądny dzień nastał, bo i baronowa trzymała ze starym.

Młody ani rozkazów, ani prośb, ani perswazyj słuchać nie chciał; wyleciał z domu i przepadł zagroziwszy, że się zabije. Pan wtedy wpadł w pasję i nakazał

mu, aby wracał do domu posłuszny albo wcale nie. Gott im Himmel (*niem. Bo e w niebiesiach*)! Co to za naród! Co to za obyczaje! Nie mogłem patrzeć i słuchać!

Rafał pakował swe manatki w ręczny tłumoczek i nie zdawał się słuchać tej gawędy, zajęty swą robotą i myślami. Ruprecht gadał dalej, gestykulując:

- Myśli pan, że to koniec? To dopiero początek... To było rano; o południu przyszedł ten łotr Gryszan i prosił o posłuchanie. Pan go przyjął w kancelarii...

minutę, może dwie, potem powstał tam krzyk, zawołał służyby, kazał człowieka tego wyrzucić za drzwi, a taki był straszny, że ja struchlałem!

Nic nie mówił chwilę, tak mu usta drżały, a potem krzyknął:

"Sprowadzić mi tu Lachnickiego!" i zamknął się znowu w pokoju. To dzień, panie, to dzień! Burza wybuchła, Lachnickiego nigdzie nie mogli znaleźć, a go spotyka wychodzącego lokaj... wie pan skąd? Z mieszkania panny Kazimiery!

Gott im Himmel! Słyszał pan? Z mieszkania córki dziedzica - leśniczego.

Widziałem na własne oczy, jak pod oknem szedł bardzo blady i wszedł do kancelarii.

Rafał podniósł nareszcie głowę.

- No, a wyszedł stamtąd yw?

- Nie wyszedł... wyleciał. Pan Rahoza za kark go wyrzucił, nazywając okropnymi wyrazami. Chłopiec upadł w sieniach i okrwawił się, potem wyszedł bez słowa, a pan poszedł do panienki. Nie wiem, co ju się tam działo, bo uciekłem. Nie uwa ałem na deszcz, na pioruny; przybiegłem tutaj panu się wywnętrzyć. Panie, ja te dzieci uczyłem niemieckich cnót i cywilizacji, wpajałem w nie kult wyśzości, zamiłowania do wzniosłych czynów i poezji. I oto co wynikło! Syn grozi ojcu, córka w stosunkach poufałych ze sługą. Co to za kraj. Jakie to umysły! Gott erbarme!

W tej chwili uchyliła Truda drzwi.

- Wariatka przysłała do pana! - rzekła z umizgiem, śmiejąc się zalotnie do młodego człowieka.

- Brzezowa? - spytał zdziwiony.

- A tak, przysłała słu ącą.

Rafał wziął tłumoczek na plecy i wyszedł do sali.

- Poczekam na pana... - rzekł Ruprecht.

- Czekaj - zaśmiał się dziwnie - a ebyś się nie znudził, jak się spóźnię, masz cygara; a ty, Truda, lej mu piwa na mój rachunek. Bywajcie zdrowi!

Zaśmiał się raz jeszcze i wyszedł trzaskając drzwiami. Musiał bardzo nisko schylić głowę w drzwiach Brzezowej; gdy ją podniósł, stał oko w oko z Kazią.

- Gdzie on? - spytała bez adnego wstępu, cicho.

- Nie wiem! - odparł. - Ma na mnie czekać w stra y. Ruszamy za godzinę w świat!

- Tak. Mówił mi. Przepraszam em tu pana sprowadziła podstępem, ale chciałam prosić, ebyś go pan nie opuścił tam, daleko! On taki samotny!

- Tym lepiej. Będzie mu l ej umierać!

Spazm bólu przebiegł rysy dziewczyny. Oczy pełne łez wzniosła ku temu kamiennemu obliczu potępieńca.

- Niech pan mu nie da samemu cierpieć! - szepnęła. - Proszę mu, sierocie, być bratem i przyjacielem!

Przez oczy jego przeszła dziwna łuna.

- Czy pani wie, kto ja jestem? - spytał krótko.

- Wiem, e on pana kocha, pomimo wszystko!

Zamilkł i, z brwią ściągniętą, wyglądał zamysłony.

- Zostanie pan z nim zawsze! - powtórzyła swą prośbę. - Nie rzuci go pan samego.

Poruszył się niecierpliwie.

- Nie potrzebuję niczyjego przywiązania i on mi niepotrzebny! - mruknął. - Nie ma zresztą o czym mówić. Zechce iść ze mną, to zostaniemy razem. Po co pani płacze? Takie głupstwo ta cała historia!

Ręką machnął i, ruszając ramionami, zawrócił do odejścia.

- Dziękuję panu! - zawołała za nim.

- Nie ma za co - odparł ju za drzwiami.

Na dworze wciąż deszcz padał i Rafał nikogo nie spotkał na drodze do leśniczówki. Przechodząc przez most spojrzał w lewo, na to miejsce, gdzie le ał

jego rywal. Za krzakami nic nie było widać. Burza się oddalała, pioruny padały rzadsze i cichsze ju ; nad ziemią słał się mrok od deszczu i chmur posepny.

Na ganku strażnik wygnany sierota stał ju do drogi gotów i podszedł na spotkanie towarzysza. Bardzo był blady. Spod czapki, na skroni widać było szramę świeżą i krwawą. Miał na sobie odzie własną, starą i nędzną, w ręku kij tylko. Nic więcej nie wziął z domu, gdzie trzy pokolenia jego rodu przeżyły na wiernej, ciężkiej służbie wiek cały.

Ruszyli w milczeniu. Rafał naprzód, Adam za nim, nie oglądając się za tym, co egnał na wieki. Oczy miał suche i wargi zacięte, tylko rękę wsunął w zanadrze, jakby tam ranę bolącą cisnął i tak szli smagani wichrem, zlanii deszczem w czarną noc, ku nieznanym światom i celom.

Na rozstaju, koło wielkiego krzyża, wśród brzoź płaczących Adam przystanął i, przyklękawszy, ziemię szarą pocałował i tak pochylony chwilę pozostał. Potem garstkę piasku w róg chustki zawiązał i podniósł się.

Znowu szli dalej i dalej. Nareszcie Rafał się obejrzał.

- No có ? Bardzo cię serce boli? - zagadnął.

- Szczęście moje Bóg mi łatwo dał; teraz za nie czas zapłaty przyszedł. Gotówem yciem płacić. Tak długie było i tak wielkie! - odparł głucho.

- Rahoza cię bił podobno.

- Bodajby tylko bił! Krew, co cieknie, nie boli, ale słowo, co błotem i plwocinami czystą duszę obrzuca, gorzej śmierci boli. A łzy jej jak ar na mnie padły i zostaną ju !...

I znowu szli, nie odzywając się wcale. Noc coraz była ciemniejsza, deszcz ich przejmował do kości,

parę ostatnich błyskawic rozdarło niebo i przy ich świetle ukazali się raz jeszcze na puste drodze. Jeden zuchwały i pyszny - prawie szatan; drugi w bólu cierpliwy, w rozbięciu spokojny - prawie anioł. Szli razem, skojarzeni na wspólną dolę i ycie tajemniczą siłą przeznaczenia!...

I poszli! Poszli w świat szeroki, obcy, różnobarwny; i przebyli na włóczędże bez planu i celu ośm najpiękniejszych, najbujniejszych lat życia!

Gdzie ich nie było!.. Widziały ich prairie amerykańskie i lodowce bieguna, koszary różnych krajów i dżungle Gangesu, zalewy Amazonki i stepy Azji Środkowej. Poznali miasta wielkie jak kraje i śnieżne chaty Eskimosów; doznali nędzy i chorób tysiąca; borykali się ze śmiercią, co szła na nich z zatrutych strzał i szponów tygrysich, z mrozów polarnych i duszących wyziewów trzęsawisk równikowych, z gazów kopalni i odmętów oceanu.

Nauczyli się piętnastu mody argonów i zwyczajów narodów wódzich, ułi prymkę i betel, palili opium i konopie, ywili się tranem rybim i pysznymi owocami wysp Azji Południowej. I szli z miejsca na miejsce, z awantury jednej w drugą, jeszcze gorszą, z zajęcia do zajęcia!

Bert uważał się w tej spółce i kompanii za głowę i wodza, dlatego zapewne, a najczęściej pił, najbrutalniej przeklinał, znał wszystkie kryjówki i wykręty i posiadał, obyczajem marynarskim, a trzyony, rozmieszczone bardzo oględnie w portach całego świata. Gdy nie było zarobku, a głód doskwierał, albo gdy wycieńczonym się czuł i potrzebował wytchnienia, odwiedzał je po kolei w Japonii, Sydney i Rio, a wracał zawsze z dobrą myślą, z pełną kieszenią, oporzędzony od stóp do głowy, czerwony, zdrowy, z zapasem nowych anegdot, wódki i rumu.

- Czyńcie jak ja, bawoły, kretyny! - namawiał kolegów, niestety bezskutecznie.

Adam milczał i tylko oczy jego, jak kryształ czyste, spoglądały ze zgrozą na Andenberga. Miały te oczy i łagodna powaga cichego chłopca tak dziwną moc, a awanturnik spuszczał swe zaognione trunkiem ślepie i cichł, nawet w przystępie najgorszego paroksyzmu przekleństw, a Rafał mitygował swe wybuchy szału i zemsty, i sam nie wiedział, kiedy pozwolił sobie na słabość pokochania towarzysza.

Bert był głową, Rafał najpierwszym wykonawcą najszańszych projektów, szedł na oślep, tam nawet, gdzie nie było prawie prawdopodobieństwa ocalenia, ale Adama było zasługą, a nie popełniali kryminałów, nie mieszały się do nikczemnych spraw.

Szanowali go bezwiednie, ulegali jego łagodnemu słowu, słuchali niemego nawet spojrzenia bez oporu. On się nigdy prawie nie odzywał rzucony fantazją losu i chwilowym wypadkiem, spełniał sumiennie robotę kądą, nie ustawał w adnym trudzie. Lubili go zwierzchnicy i zatrzymywali zwykle, proponując słuszną, wynagrodzenie mogące zapewnić byt spokojny i dostatek.

Daremnie! Odchodził z kolegami, a na wzmiankę spokojnego bytu miewał

tylko uśmiech od łez smutniejszy i wzdardliwe machnięcie ręką. On śmierci szukał, a jemu obiecywali życie. On wrażeń i biedy chciał, by nie myśleć, a obiecywano spokój i dostatek...

Rafał przez te lat ośm na stał się zahartował. Z chłopca pięknego jak Adonis zrobił się człowiek siły niedźwiedziej, sprężystości kocięj, opalony na kolor cegły skwarem równika, o ramionach i dłoniach

zgrubiałych od lin, wiosel i topora, o twarzy, z której świe ość i ar młodości starły lata, nędza i przebyte doświadczenie.

Gdzie się podział filozof i mędrzec?... Został daleko, w mrocznej mgle wspomnienia. Otrząsnął się z niego jak z szaty niedogodnej w dniu, gdy antykwariusze i aferzyści rozerwali po sztuce bibliotekę ojca, gdy wyszedł ostatni z pustego mieszkania, ustępując miejsca nowym, obcym lokatorom. A teraz czy był czas w tym yciu burzliwym na metafizyczne mrzonki, studia i badania? Ba, czy nawet była ochota? Bańki mydlane, fatamorgany pustyni, mamidła lodów polarnych!...

Mieli jeszcze czwartego kolegę: Franza Ruprechta. Uciekł z domu od dziatwy i obowiązków. Myślał, e tam, za oceanem, ni pracować, ni uczyć się nie będzie potrzeby. Biedny chłopiec. Tułał się po świecie, okpiwany i wyzyskiwany, nie mogąc sobie w niczym poradzić.

Trafem dziwnym spotkali się w New Yorku przy zaciąganiu na wielorybnik. Bert, którego gawędy "Pod Faraonem" wywołały i w nim tę ądę włóczęgi, zasypał go gradem przekleństw i dosadnych przymiotników, ale Adama zdjął al nad obdartym, nędznym wagabundą.

- Niech idzie razem! - rzekł.

Bert zaklął, ale sprzeciwiać się Lachnickiemu nie miał zwyczaju. Rafał splunął i mruknął przez zęby: "Małpa!" nie opierając się przyjacielowi. Franz został i przyczepił się do nich jak rak do sieci.

W miesiąc potem Adam ałośnie przyznał, e koledzy znali lepiej Ruprechta. Rafał ruszył brwiami.- Lepiej zły ni głupi! - zawyrokował.

Był to dopiero początek. Ile kłopotów przyczynił im ten człowiek! Ginął

co chwila, zawsze z powodu miłostki; odnajdywano go z wielkim trudem, wydzierano często z rąk pijanej gawiedzi siłą pięści i rewolweru; a gdy sam wracał, był osowiały, zbity, okradziony, i zaklinał się, e to raz ostatni, do nowej zachcianki. Dziwnie tępą była ta mózgownica, krótkowidz dosłowny i w metaforze, przy tym pró niak, papla i zarozumiały. Wędrowka nie nauczyła go niczego. Dziwiło go wszystko, wierzył ka dej baśni, bał się strachów i słuchał

zawsze ciekawie anegdot Andenberga, choć te rzeczy znał i widział po tysiąc razy.

Był jeszcze piąty towarzysz: Kate, Adama, mała sprytna małpeczka. uła prymkę, paliła tytoń, jadła ze wspólnej miski strawę ołnierską lub gryzła na przemian z właścicielem suchar okrętowy. Na lądzie i morzu dzieliła ich trudy i zabawy, przyczepiona do ramienia Lachnickiego lub wsunięta w zanadrze bluzy marynarskiej, rozglądając się ciekawie krągłymi, wiecznie mrugającymi oczkami i strojąc śmieszne grymasy.

Nawet obojętny Rafał miał dla Kate pewne względy; z Franzem czubiła się bez ceremonii, a Bert tolerował, gdy mu z rąk odbierała najlepsze kąski. Ach, czego się nie prze yło, nie poznało, nie zniosło przez te lat ośm i jak minęło, i kiedy?!...

Znikło jak sen młodości, a na końcu stanął grób, co wszystko zamknął

złowrogą pieczęcią, grób wśród falujących pampasów * (*Pampasy - rozległa, porośnięta wysoką trawą stepową równina w pasie umiarkowanym Ameryki Południowej*), Ameryki...

Gdy myśl Rafała szła wstecz, te lat ośm były różnobarwną wstęgą, którą czas i okoliczności zbieliły i zatarły, i tylko jeden obraz pozostał zawsze świeży i żywy, a smutny nad wyraz. Jak żywy i świeży miał w pamięci i przed oczyma jasną noc tropikalną, i rozpiętą na niebie konstelację Krzyżową, bezmierne łąki, stada bydła, ognisko pod kępą drzew, i ich czterech.

Byli jak zawsze w komplecie, w charakterze stróżów stad jakiegoś Francuza z Buenos Aires, "który pakował mięso w porcelanowe tabakierki" wedle określenia Berta. Czterech było, ale jednego gwałtem zabrali z sobą. Wymawiał

się biedak, e zawadą im tylko będzie i widzieli sami, e w oczach ółkł i marniał, nie siłą pracował, lecz wolą, a nocami w gorączce się rzucał, to się potem oblewał.

Na myśl jednak zostawienia go samego oburzali się jak jeden.

- ółta febra! Bzdurstwo! Zdrów będziesz od stepów! - wołał Bert.

- Ja za ciebie będę robił - ofiarował się pocziwie Franz.

Rafał ostatni przemówił, ponuro, i nie patrząc na kolegę, jakby się bał ze zgryzotą zdradzić: - yliśmy razem i padniemy obok siebie! Tak mnie twoi prosili i tak będzie. Nie gadaj głupstw!

Ach, te pampasy! Sześć miesięcy biwakowali wśród nich po nocach, z siodłem pod głową, doglądając pasących się koni, słuchając ryku kuguarów *

(*Kuguar - puma, zwierzę drapieżne z rodziny kotów o krótkiej brzojowatej sierści*), w oddali. Bert właśnie wrócił niedawno od japońskiej ony, był w stanie bliskim białej gorączki i plótł niestworzone rzeczy; Franz szczyrzył zęby, wtórując mu śmiechem głupowatym; Rafał w milczeniu latał rzemienie i odzie; Kate, łakomec jakich mało, nie spuszczała wzroku z kotła karmiciela; Adam

leżał milczący, patrząc w gwiazdy.

Pewnego wieczora Radwan ostatni wrócił, po całodziennej szalonej jeździe zmęczony nad wyraz. Spojrzał na słabego kolegę, twarz mu się zamroczyła przykrością, odmówił jadła i nie rzekłszy słowa legł owinawszy się w szynel stary, zabytek jakiegoś garnizonu. Gniewały go dzisiaj portowe anegdoty i śmiech bezmyślny; zasnął i marzyło mu się coś gorączkowo.

Płonące stopy, gauchos (*pasterze*) schyleni do grzywy końskiej wśród stada uciekających byków i antylop, ogień zewsząd, krew spieczona w yłach, w mózgu, w gardle, w oczach, a rumak pędzi nie tykając ziemi. Czy się ocala? Lub czy ich ar obejmie gorejącą obręczą i padną martwi na kępy agawy?

Ocknął się, i siadł, jeszcze cały pod wrazeniem zmor. Ogień tlał, koledzy chrapali, cisza zalegała stopy, przerywana parsaniem koni i śpiewem cykad.

Po aru jeszcze nie było.

- Nie śpisz, bracie? - spytał go cichy głos Adama. On czuwał, leżąc na wznak z rękoma pod głową, zapatrzony jak zwykle w kopułę błękitną swymi wpadłymi oczyma.

- Spałem ju ! A ty? - odparł Radwan siadając koło niego.

- Ja nie mogę. Tak mi jakoś dobrze. al przesypiać takie noce. Zwrócił oczy na step daleki i mówił dalej:

- Od tych stepów jakieś do mnie idą z ka dym powiewem wonie i cudne melodie.

Nic tak nie lubiłem, jak pieśni i wonie kwiatowe. Upajam się teraz i nigdy tak mi lekko nie było.

Poruszył się i uśmiechnął tęsknie.

- Czy pamiętasz, jaki śpiew słyszeliśmy najpiękniejszy, schodziwszy z końca w koniec ziemię? Nie z naszych, z cudzych i dalekich.

- Kto by spamiętał?

- To ci przypomnę. Ranek to był, tam, tam, w starych Indiach. Polowaliśmy z oficerami na tygrysa. Osada Hindusów stała nad świętą rzeką i, w ów ranek pogodny, oddawano falom zwłoki młodzieńca. Pamiętasz? Nieśli go na noszach, a za nim rodzina szła płacząc. Rzucono go w fale Gangesu, naprzeciw dziwaczego posągu, co na wysepce stał, bo ek zapewne. Wokoło niego głębinę czarną pokrywały lotosy w kwiecie, biało ró owe, śliczne. Ciało młodzieńca uwięzło wśród nich chwilę, nim go prąd porwał na czystą wodę, a stara niewiasta została sama z orszaku i śpiewać poczęła pieśń monotonną, siedząc skurczona na brzegu.

Pamiętasz?

- Pamiętam. Niewiasta powtórzyła mi ją, a potem tłumaczono treść.

Od tych stepów ona teraz do mnie idzie, ta pieśń. O lotosach ró owych, rosnących nad głębiną, a które Hindus nazywa kwiatem miłości. I słusznie: miłość tylko kwiatem być mo e, a mowa jej pieśnią. Kwiatem z głębi bezdennych wyrosłym, a pieśnią - pogrzebową!

Jakby odpowiadając niemej prośbie biedaka, Rafał śpiewać począł. Adam oczy zamknął. Po ciemnej jego twarzy przechodziła łzawa rzewność, to kurcz bólu, to łuny gniewu, to martwota rezygnacji. Mo e mu ycie złamane stanęło w myśli i toczy walkę, ostatnią ju , z człowieczeństwem, które się skar yło na krzywdy poniesione, trudy daremne, potargane uczucia szlachetne, zamiary zniweczone.

Melodia się powtarzała bez końca, dojmująca właśnie tą rozpaczą monotonną i beznadziejnym smutkiem, i skoła wreszcie w ciszy stepu jakąś skargą, którą echo dalekie przeciągało w nieskończoność.

Adam otworzył oczy.

- Umarłym tylko śpiewają tę pieśń nad Gangesem, bo miłość śmiercią jest tutaj, yciem - tam, wysoko, przeto szczęśliwy, kto bieg swój skończy! - szepnął.

- A przecie yć trzeba i po co? - mówił po chwili przerwy zmęczonym swym, dyszącym głosem.

- Tyle bólów i potu i łez... i po co, i dlaczego? eby zarobić grób i nic więcej! I po có , jeśli tak być musi, Bóg dał światu złote słońce i wonne kwiaty, białe obłoki i melodie? Po co dał piękno to całe i kazał człowiekowi zarazem śmierci ądać, i krwią serdeczną przez ycie całe ociekać?

Bardzo cicho mówił, wstydząc się mo e zniechęcenia i goryczy, a Rafał

powstał z ziemi i pięść zwiniętą wznosząc do gwiazd, wybuchnął długo tajoną nienawiścią:

- Po co tam w górę patrzycie? Kogo tam myślicie mieć! Boga? Fikcja! Pusto tam i głucho. Bóg to wypadek, ślepe fatum, w którym was uczą widzieć łaski i kary.

Widziałeś ty sprawiedliwość na świecie? Widziałeś ty słusność i równość? Poka mi Boga w doli twojej: jeśliś pewny, po co cierpisz; jeśli cierpisz, za co pokutujesz? Lawiny, co druzgocą, i po ary podziemne, co lawą i popiołem zioną, taką mają myśl i sprawiedliwość, bo niszczą doliny śmiejące się, zasypują miasta i ogrody! W nich mieszka Bóg wasz, niszczyciel.

Adam podniósł się na wpół.

- Rafale! - zawołał ałośnie. - Taki dobry dla mnie byłeś przez te długie lata tułaczki! Jak brat! A teraz bluźnisz znowu, gdy ja ju odchodzę! O, nie mów tak, nie mów! Nie truj mi tej cichej chwili!

Radwan zamilkł i, przyklęknąwszy, dotknął czoła jego i rąk.

- Boli cię co? Gorzej się czujesz? - spytał niespokojnie.

- Nie! Nad wyraz mi dobrze, tylko czuję, e kresu dobiegam i chciałbym wszystko pokończyć. Bracie, czy byś ty mi wypełnił ostatnią prośbę?

- Mów śmiało.

- Je eli cię losy rzucą gdzie niedaleko od kraju, wstąp do Rahoźnej. Powiedz jej, em ju wolny i tam, gdzie kast nie ma ni ró nic urodzenia, i e mi była po tchnienie ostatnie duszą i myślą i marzeniem o niebie. A Rahozie oddaj za dług ojcowski grosze moje, com zbierał lat ośm, jak skąpiec, i powiedz, e mu z serca odpuszczam. Dopełnisz?

- Jeśli yw będę, dopełnię!

- Słuchaj, jeśli ci groszy stanie, to połó kamień ojcu w Rahoźnej. Tyle lat marzyłem o tej pamiątce! Czy te on daruje mi, gdy się spotkamy, em na pańskie dziecko oczy wzniósł i rękę po nią wyciągnął. Czy on mi daruje?

Le ał chwilę, zmęczony długą rozmową.

- W borach Rahożnej było jezioro sitowiem porośnięte, wkoło łączka i dęby - zaczął

znowu, jakby do siebie. - Tak e marzenie szklane... Czym ja myślał, e się rozstaniemy i e mi przyjdzie głowę położyć do spoczynku wśród pampasów, samemu!... Gdzie te czasy, gdy jej śpiewał "Wędrowca" w noc cichą, na powitanie!...

Zamilkł. Oczy obu poszły zamyślane na krzyż gwiazd rozpięty nad nimi; chory się do niego uśmiechał jasno, jak olnierz konający do sztandaru. Rafał

złorzeczył w duszy nieznaną, niezbadaną potęgę! A od stepów cichych szły do Adama coraz cudniejsze wonie, coraz słodsze pieśni!

Nazajutrz o świcie pojechali trzej tylko. Lachnicki został w obozie, skulony, w paroksyzmie dreszczów okropnych. Gdy dosiedli koni, po egnał ich serdecznym spojrzeniem.

- Bóg z wami! - zawołał. Do Rafała, który się ociągał, rękę wyciągnął.

- Dziękuję ci za opiekę, a nie zapomnij prośby! - szepnął.

- Mo e razem pójdziemy i tam! - odparł Radwan głucho. Skoczył na konia, a ten, w pół dziki, w szalonym galopie popędził za towarzyszami rękami i wierzgając.

Obozowisko znikło w jednej chwili.

Dwa dni i dwie noce uganiał się za rozhulanymi bykami. Bert wyczerpał

cały zapas przekleństw, Franz jęczał, e umrze, i uciekłyby od dawna, gdyby nie bojaźń pięści Andenberga i zbłądzenia. Rafała trapił nieznośny, ciągły niepokój.

Trzeciego dnia, niezdolny dłużej zapanować nad troską i złym przeczuciem popędził na oślep, kierując się instynktem konia wciąż na północ. Step zieleniał w całym przepychu, a on w uszach słyszał szum po aru z gorączkowej zmyły.

Gaucha pędził, leciał jak strzała; dym rósł, dusił, płomienie lizały mu nogi końskie, ratunku nie było; jeszcze chwila, a rumak i jeździec padną bez tchu na popioły z traw...

Słońce zachodziło, gdy dopadł obozowiska. Adam leżał na swym zwykłym miejscu, z płaszczem nasuniętym na oczy. Kate powitała piskiem przybyłego. Zeskoczył na ziemię i podbiegł do chorego.

- Adam! - zawołał.

Nie było odpowiedzi, tylko słyszał gwałtowne, nieregularne bicie własnego serca.

- Adam! - powtórzył głośniejszym głosem, uchylając płaszcz.

Nowe, dłużej milczenie zapanowało wśród bogatej, słońcem oblanej płaszczyzny. Serce Rafała przestało bić na sekundę, zimny pot oblał skronie, członki przeszedł dreszcz zgrozy. Klęczał nad

zimnymi zwłokami, a purpurowy zachód oblewał ich obu morzem jaskrawych płomieni, odbijając się, jak ostatnie po egnanie ziemi, w szklistych, martwych źrenicach biednego rozbitka.

W poprzek tych zwłok wyniszczonych chorobą i troską filozof się zwałił i znieruchomiał jak drewno. Po ar, co go trapił zmorą w nocy, dobiegł go, powalił, dławił, niszczył. Raz pierwszy w yciu ból poczuł czysto ludzki, raz pierwszy zrozumiał rozpacz.

Le ał szarpany alem, cierpieniem, bezmiernym smutkiem i dzikim, bezsilnym buntem całej natury. A ból ten tak nowym i nieznanym mu był, e ogłuszony nim oniemiał i zmartwiał; a bunt ten tak go przejął i zgnębił, e nie klął

i nie złorzeczył, tylko, zgrzytając zębami, dyszał nierówno.

Czym e on był wreszcie? Panem samego siebie? Ha, po có cierpiał zatem i tyle! Panem swego losu? Po có więc tracił tego jednego człowieka, co mu czymś był na świecie, tracił bez powrotu, bez ratunku, na zawsze? Więc czym e był? Zerem! Ha, ha! Tylko zerem wobec własnego bólu i tej ciemnej potęgi, co go rzucała teraz w proch przed sobą. Ha, ha! I aby dojść do takiego rezultatu, przewertował ksiąg tysiące i ywych studiów i doświadczeń odbył lat tyle!

eby cierpieć jak półgłówek, eby zgrzytać zębami jak szalencie! Przekleństwo!

Zawył dziko jak zwierz drapie ny i, podrywając się nieco z ziemi, gwałtownym ruchem wy dobył rewolwer zza pasa. Wściekłość go ogarnęła bezpamiętna i trzęsącymi się z szału ustami jął bełkotać:

- Boli mię, to prawda, ale ty nie triumfuj! Nie ulegnę ci! Ha, ha! Prosić łaski nie będę! Panem moim chcesz być i swoją moc pokazać! Ha, ha! Jeszczem ja swój pan! Boisz i kurczysz się, ty nikczemne, masz za to! Będziesz milczało teraz!

Bezwiednie broń w pierś wtłoczył prawie. Rozległ się suchy trzask i śmiech zuchwały. Błądą i zimną twarz Adama obryzgały gorące krople krwi; szalencie osunął się na niego ju cichy.

Pampasy gorzały łuną słońca. Gaucho le ał w kału y swej krwi; szalony, myślał, e zabił ból i rozpacz. Na widnokręgu purpurowym sylwetka jeźdźca wystąpiła jeszcze daleka i gnała w stronę obozowiska.

XI

Marcowa zadymka szalała nad borem i okolicą. Upadające państwa i strąceni władcy mają w ostatnich chwilach swej egzystencji takie szały dzikie, takie orgie i wybuchy wściekłości, jak zima, gdy ją wstrząsa na jej tronie wspaniałym słońce rosnące, prąd na pozór łagodnego wiatru, który, niby pieszczotą, burzy jej gmachy i potęgę. Zrywa się władczyni i wyje, i huczy, nocami mrozem ściska, a pobita o południu, szaleje zadymką, miota śniegiem, przejmując lodowatym wichrem.

W taki dzień ponury i wyjący, pod wiatr, co z nóg walił, pod tumany mokrych, wielkich płatków śniegu, drogą od Sarnowa, przez bór, do Rahożnej, z torbą przez plecy a kijem w ręku, szedł człowiek samotny. Szedł wytrwale, borykając się z burzą, co go gwałtem chciała zawrócić, zapadając czasem głęboko w rozmiękłych ju zaspach.

U krzy a, wśród brzóz płaczących, przystanął chwilę, czoło z potu otarł, rozejrzał się i ruszył znowu. Pochylony naprzód jak uraw, przewodnik stada, piersią rozbijał huragan i szedł wielkimi krokami. Niebo było szare, zbałwanione chmurami, na ziemię mrok schodził. Człowiek podwajał kroku.

W stra y, na skraju boru wśród wiecznie zielonych jodeł, zapalono ju światło, gdy jak cień czarniejszy od nocy zimowej on ją mijał. Zatrzymał się znowu. O płótek przydro ny się oparł i sekundę patrzył w te okna czerwone od wewnętrznego płomienia. Mo e wstąpić tam chciał i spocząć, mo e tylko zobaczyć, zali w tych czarnych ścianach duchów znajomych nie spotka?

Poszedł jednak dalej po chwili, sam jak duch cichy i fantastyczny.

Raz jeszcze przystanął na moście nad rzeczką jeszcze lodem skutą i tylko gdzieniegdzie przebłyskującą ju brudno burą łachą wezbranej wody. Spod szerokich kresów wytartego filcowego kapelusza oczy wędrowca półkolem obeszły pusty krajobraz, zatrzymały się dłu ej na zaroślach pod borem, jakby coś nowego tam dostrzegły.

Mo e wtedy, gdy tu był, nie stał tam jeszcze wysoki, samotny krzy z szarego kamienia, ogrodzony elazną poręczą, ozdobiony zeszlými wieńcami, które wiatr szarpał i rozdierał posępnie chichocząc.

I znowu przez sekundę zdało się z ruchu wędrowca, e zboczy w to ustronie i poszuka napisu czy znaku jakiego na tym kamieniu, ale wnet się zwrócił i poszedł dalej swą drogą ku miasteczku. Topole w dworskiej wysadzie, jeszcze sztywniejsze w tej zimowej martwocie, chyliły się tu i tam w wichrze, jakby szeptały sobie jakie tajemnice. U ich stóp samotny człowiek szedł coraz wolniej, a do drzwi pałacu, i rozejrzał się po ciemnych oknach i pustych dziedzińcach.

Dwór, niegdyś tak ywy i ruchliwy, jak zaklęty stał i wymarły.

Wędrowiec minął główne wejście, otworzył cicho drzwi w skrzydle i stanął

w pokoju dość du ym i mrocznym, oświetlonym jedną tylko lampą na stole, zarzuconą skrajaną bielizną i ksią kami. Na skrzyp drzwi w dalszych pokojach ktoś się poruszył i zbli ył.

- Kto tam? - rozległ się głos panny Kazimiery.

Stała w progu. Mało się zmieniła przez te długie lata. Miała tę samą gęstwinę złotych włosów nad białym czołem, te same jasne, przejrzyste jak woda oczy, ten sam wyraz tęsknej zadumy i łagodnego spokoju w rysach. Tylko niegdyś ałoby nie nosiła i mo e właśnie od tych szat czarnych wydawała się jeszcze drobniejszą i bielszą, eteryczną prawie, jak widziadło nieziemskie, a złote jej włosy nad bladą twarzą wyglądały prawie jak obręcz, którą wyobraźnia chrześcijan kładzie nad głową wybranych.

Spojrzała na gościa i nie poznała go.

- Kto wy? - powtórzyła.

- To ja, Rafał Radwan! - odparł schrypniętym głosem.

Zachwiała się i zadr ała. Oczy jej zabłyśły, poszukały za nim kogoś i zgasły nagle.

- Pan sam? - szepnęła bezdźwięcznie.

- Sam! - potwierdził ponuro i głucho.

Umilkli. On, zmęczony długą, zapewne pieszą wędrówką, o ścianę się oparł

i posepnie patrzył w światło lampy; ona oparła się o stół i oburącz zakryła twarz kredowobiałą, zmienioną spazmem bólu.

- Dawno umarł? - spytała wreszcie.

- Przed pół rokiem. ółta febra go z arła i natura własna. Widocznie są ludzie, co jak rośliny nie znoszą przesadzenia. Takim on był. Nie widziałem, jak zmarł, ale mi jeszcze przedtem polecił przy sposobności tutaj wrócić, gdy go nie stanie. Więc przyszedłem, późno, bo droga daleka, a jam jej odbyć zrazu nie zamierzał. Co zostało po nim, odnoszę wam. Tak chciał.

Postąpił kroków parę i jał rozpinać ko uszek swój przemokły. Światło lampy padło na niego w pełni teraz i oświetliło wypukłe, głębokie, ostre linie, które mu te lat dziesięć pokreśliły na twarzy i czole. Rylec czasu, namiętności, walk i cierpienie rzeźbił je twardo: ani jednego rysu nie naznaczyło szczęście i spokój. Taki sam był, jeszcze piękny, a dzikszy!

Na stół wyrzucił z zanadrza woreczek z pieniędzmi, wytartą ksią kę, zblakłą fotografię, papierów garść po ółkłych i drobny przedmiot w szmatę siwego płótna owinięty, a podsuwając je ku niej, mówił urywcz:

- Winien był sto rubli, resztę odliczcie i mnie oddajcie; kamień na grobie swego ojca chciał poło yć; ja to zrobię za niego. Dług zwróćcie panu Rahozie.

- Ojciec mój od roku nie yje! - szepnęła. - Pisałam do niego o tym. Nie otrzymał

listu zapewne.

- Nie. I wicher by nas nie zgonił, tym mniej list. Oto pieniądze, ró ną monetą zebrane po święcie, a ot wasza ksią ka i portrecik i krzy yk wojskowy w Algierze zdobyty, nie wiem ilu ranami i papiery jego słu bowe. Zabierzcie wszystko, ja ju dopełniłem swego.

Dr ące dłonie Kazi zebrały spuściznę. Były to relikwie złamanego ycia, starganego szczęścia, prześnionej młodości. Czara się rozprysła, jak wszystko co cienkie i wątłe. Na ziemi został grób daleki, którego jej oczy nie ujrzą nigdy, i ta odrobina pamiątek ałosnych; a tam, za ziemią, czekało wynagrodzenie...

Rafał odstąpił od stołu i mówił dalej.

- Małpiątko miał, Kate, i lubił je bardzo. Wziąłem i ją, idąc do was, ale mi nie dotrzymała towarzystwa. Daleka droga, a to kaszlące było i zbiedzone wędrówką w zimę. W zanadrzu ją chowałem i grzałem, jak mogłem. A mi zastygła wreszcie pewnego wieczora... Nie doniosłem!

Panna Kazimiera wyciągnęła do niego obie dłonie.

- Dziękuję panu za wszystko. Za opiekę nad nim i za przyjaźń, i za dobrą pamięć.

Bóg tak chciał...Zdławiły ją łzy i urwała w pół słowa.

Spojrzał na nią spod brwi i po chwili wahania ozwał się niepewnym głosem:

- Nie dziw, eście go kochali. Kochali go te tacy po was, co w nic i w nikogo nie wierzą, a ja bym wolał d umę wam przynieść ni tę wiadomość i sam zginąć ni jego zwłoki zobaczyć... Odzie swą przemokłą zacisnął na piersi i po kapelusz sięgnął, który był wraz z laską u progu zostawił.

- Zabawię w miasteczku czas jakiś, zanim ten kamień na grobie nie stanie.

Bywajcie zdrowi!

- Ale mnie pan odwiedzi jeszcze - zawołała prosząco. - Sama zostałam sierota.

Brat zginął, nieszczęsny szaleniec, z własnej ręki, ojciec za nim poszedł! Teraz ten dom nasz jak puste gniazdo na jesieni, ruina pajęczyną zasnuta, i tylko stara babka, prze ywszy tamtych, gaśnie jak kaganek, i ja z nią! Wstąp pan, proszę, i zostań długo.

Znowu się zawahał, ale spojrzał na nią i skłonił głową.

- Przyjdę! - odparł krótko.

Gdy to wymawiał, drzwi za nim rozwarły się ywo. Usunął się na bok i obojętnie spojrzał na nowego gościa. Kobieta to była, ośnie ona, bardzo szczupła i wysoka, otulona od stóp do głowy w płaszcz nieprzemakalny.

Nie zwróciła uwagi na obcego, co się do ściany przed nią uchylił, i zagadnęła prędko pannę Kazimierę:

- Jak e chora?

- Bez zmiany. Ale czy się godziło w taką niepogodę i noc trudzić się pieszo!

Posłałabym po ciebie konie w razie nagłej potrzeby.

- Mniejsza o niepogodę. Wyznam ci, e nie tyle mi szło o chorą, co o ciebie.

Uśpiłam swoją matkę i ruszyłam w odwiedziny. Poczytamy i pogwarzymy godzin parę.

Rafał w twarz mówiącej oczy wlepił, jakby ich oderwać nie mógł wcale.

Zrzuciła płaszcz i kaptur, i stała w całym wdzięku młodzieńczych kształtów, profilem do niego zwrócona. Gęstwina hebanowych włosów otaczała jej bladą drobną twarz, osłaniała wysokie, gładkie czoło. Włosy te, obfite i niesforne, przypominały mu bardzo dawne lata i stosunki. Lica miała blade i trochę śniadawe, o złotawym odcieniu dzieci południa, oświetlone parą oczu jak gwiazdy świecących, jak noc czarnych, o bardzo bystrym i stanowczym spojrzeniu.

Zdawało mu się, e i oczy te nie były mu obce zupełnie, ale gdzie je widział i dlaczego zapamiętał wśród tysiąca innych, nie pojmował.

Poruszył się wreszcie, ale na ten ruch i spojrzenie Kazi nowo przybyła obejrzała się szybko.

- Przepraszam! - rzekła. - Byłaś zajęta. Przerwałam ci. Kończ, proszę, interes, a ja tymczasem baronową obejrzę i wrócę. Spojrzała na milczącego mę czynę i zatrzymała się. Uczucie, które jak iskra przebiegło jej rysy, był to przestach; zwróciła oczy na Kazię.

Właścicielka Rahożnej uśmiechnęła się blado i odpowiadając na to spojrzenie rzekła cicho:

- To pan Radwan! Przyniósł mi po egnanie Adama i te po nim pamiątki.

Wszystko ju skończone.

- Umarł? - szepnęła głucho, patrząc na Rafała.

Skinął potwierdzająco głową i znowu ją objął wzrokiem, zdziwiony, e twarz tę gdzieś, kiedyś widział i zapamiętał. Jakby zrozumiała to pytanie i podziw.

- Pan mnie nie poznał? - rzekła.

- Nie! - odparł spokojnie.

- Nie dziw, tyle lat! Ja jednak poznałam pana.

- Mo e być. Nie tyle wra eń i twarzy przeszło przez wasze ycie, ile przez moje

- rzekł biorąc za kapelusz.

- I nie dlatego, sędzę; ale pan był dla mnie zjawiskiem wybitnym, ja dla pana cieniem tylko. Mo e pan tego nie pamięta, e przed laty dziesięciu mieszkał z panem Rahożą u wdowy Brzezowej i uczył jej córkę?

- Owszem, pamiętam. Có z tego?

- No więc to ja jestem.

- Kto?

- Leonia Brzezówna.

- Pani!

Nieruchoma i zimna jego twarz pokryła się niebywałym wyrazem zajęcia i ywości. Jeszcze raz objął wzrokiem jej toczony kształty, delikatne rysy, bladoro owe usta i oczy przepyszne i głową potrząsnął.

- Nie zmieniła się pani, ale przeistoczyła. Poznać nie mogłem, bom takiej nie znał.

- Rada jestem z tego spotkania. Pan za to ani przeistoczony, ani zmieniony.

Ten sam, mój dawny mistrz!

Uśmiechnęła się trochę z przymusem i, zwracając się do Kazi, zmieniła zupełnie ton i wyraz.

- A więc prawdą był twój sen czy marzenie, przed pół rokiem... pamiętasz? Mój pozytywizm się oburzał na opowieść. Radziłam ci laurowe krople. Wszak jednak ustroje nerwowe snadź widzą naprawdę szczególne rzeczy.

- Bóg nam zsyła pociechę w tym i pokrzepienie. Widuję go często! - szepnęła panna Kazimiera.

Rafał spojrział na nią uwa nie i ramiona wzniosł.

- Nie ustrój nerwowy to czyni, ale chorobliwe rozwinięcie abstrakcji i ekstazy. W

ostatnich czasach i on widzeniom podlegał; absorbowany jedną myślą, opowiadał

mi czasem, co się tu dzieje, i widywałem w noce jasne, gdy le ał zapatrzony w przestrzeń pustą, e się do pani odzywał, czasem pytał, to znów odpowiadał.

"Zdrowa panna Kazimiera?" spytałem raz półgłosem, by go nie zbudzić. "Nie skar y się, ale cień z niej został! Widzisz te cienie fioletowe pod oczyma! Ona się kryje, ale ja wiem, e je podkreśliły łyzy i bezsenność! Prędko ju oboje płakać przestaniemy, a radości nie będzie końca!" Ostatnie słowa ju nie do mnie mówił, ale do pani, którą wciąż widział przed sobą. Człowiek ten ostatnie lat dziesięć w malignie ył. Nadzwyczajne to, ale tak było. Myśl, co go opanowała, była zmorą i rozpaczą, a jednak znajdował rozkosz w niej i, zamiast zapomnieć i wyrwać się spod jej opętania, trwał i w cierpieniach miał swe szczęście. Nie pojmo wałem, ale zrozumiałem wreszcie przez przykład.

- To dowód, e pan mało badał ludzi - ozwała się Leonka.

- Podobnych panu Adamowi jest wielu na świecie, a między północnymi ludami szczególnie. Marzyciele, idealisci! Pół anieli!

- Marzyciel mrzonkę sobie wytwarza; idealista, acz nieudolnie, dą y do swego ideału. Adam ani jednym nie był, ani drugim. Prototypu jego nie znajdzie pani pod zimnym niebem północy ani wśród codziennych warunków. Pójść po niego trzeba do starych Indyj, do kolebki wszelkich religij, pierwowzoru wszelkich urzędzeń, zwyczajów, nawet uczuć. Jam był tam i pojąłem wiele rzeczy, które świat nowy nazywa zagadką, anomalią lub wyjątkiem. Tam są to rzeczy powszednie, utrwalone wiekami. Tam, gdy bóstwem co uznają, umieją mu słu yć i wierzyć.

Indywidualizm niknie, zamiera; czucie tępieje, wra enia streszczają się w jedno: w tego Boga. Wówczas człowiek nie ma ju nerwów drgających, krwi gorącej, samolubnej, rozsądku i chęci własnych; zatracą nawet ten instykt zachowawczy, mimowolne prawie cofanie się przed bólem. Nie jest ju czymś samoistnym; jest łupiną wątłą, w której zolbrzymiało w potwór pojęcie bóstwa się rozpiera, rozsada go, trątuje i dusi wszelkie czucie. Jest to nirwana obleczone w postać dla oczu dostępną.

Umilkł. Zmarszczone jego brwi rozsuneły się i twarz wypogodziła, jakby obraz, który mu stanął przed oczyma, był zdolen pokryć nawet jego ponure myśli.

- Był ranek jeszcze rzeźwy, skwarem nie spalony. Nad świętą rzeką gaj figowców zstępował do nurtów, a jego brzegiem gościniec szedł. Wracaliśmy uznojeni kilkudniowym dalekim marszem z zapadłych d ungli, dokąd nas oficerowie zagnali byli dla obławy na tygrysy; ale ranek ten stał za najlepszy odpoczynek, a cień figowców za dobroczynną sjestę. * (*Sjesta - odpoczynek popołudniowy, poobiednia drzemka*). Jak zwykle szliśmy z Adamem obok siebie, ale zamiast broni nieśliśmy zwłoki szeregowca zabitego przez grzechotnika i skórę zabójcy zarazem. Nagle stanęliśmy i wszyscy się zatrzymali. Pod figowcem stała chata, a raczej szałas z gałęzi, a w otworze coś siedziało. Adam lękał się wszelkiej brzydoty i oczy odwrócił; ja podszedłem. Siedział tam, a raczej klęczał na skorupach glinianych fakir *(*Fakir - asceta, pokutnik, mnich ebrzą cy w krajach muzułmań skich i w Indiach*), pustelnik, ot taka łupina prawie bez ciała i człowieczych form, pełna nirwany. Ramiona miał przed siebie wyciągnięte, w najniewygodniejszej pozycji, ręce zwinięte w pięści, w oczach jakiś błędny tuman.

Był to szkielet w worku ze skóry; pokryty gęstwiną siwych olbrzymich włosów.

Przybli yłem się, spojrzałem. Nie wierzyłem oczom. Dotknąłem więc ręką.

Paznokcie jego przeszły skórę, mięśnie i sterczały z wierzchu dłoni; skorupy gliniane wjadły się w kolana i łydki i sterczały przez nie; w ramionach od niewygodnej pozycji potworzyły się skrzywienia i kalectwa; a on się uśmiechał, zapatrzony wzrokiem ekstazy na Ganges toczący o sto kroków ólte, spienione nurty.

Oficer dotknął jego ramienia, nawet nie spojrzał. "Aum!" wybełkotał

**/sanskrit./ - (Mityczne i ś wię te słowo w indyjskiej literaturze religijnej, u ywane na podsumowanie wszechprawdy albo mistyczny odpowiednik imienia Bóstwa), (Aum, om mani padme hum - /klejnot jest w kwiecie lotosu/ - magiczno religijna formuła u ywana jako nieustanna modlitwa, zakłę cie. Lotos symbolizuje Wszechbyt, a klejnot - osobowość mówią cego.*

/Władysław Kopaliński: "Słownik mitów i tradycji kultury", Pw

1985/).

"Dobrze wam?" pytam ich językiem. "Aum! Aum!" Zawołałem Adama.

Spojrzał i wzdrygnął się cały. Napój chłodny dobył z manierki, przytknął do ust świętego.

Tamten usta uchylił. "Aum! Aum!" powtarzał swój okrzyk święty na cześć trójcy. Kazano ruszyć; ruszyliśmy niosąc ciało kolegi. "Adamie, ten fakir to twój brat rodzony. Obydwa wyznajecie jedną wiarę, czcicie jedno bóstwo, inaczej tylko nazwane" rzekłem.

Nie oburzył się ani rozgniewał, on taki cichy był, uśmiechnął się owszem i po chwili namysłu powiada: "Mo e być, bo rozumiem, e mu dobrze i e go ta męka nie boli".

Urwał opowiadający i zamyślony pozostał, bezwiednie mo e wpatrzony w zasłuchaną powa nie twarz Leonki.

- Marzyciel z rajy wytracony, jak Toggenburg z ballady, * (*W okresie reformacji w latach 1703-1712, miasta Zurych i Berno prowadziły wojnę z Toggenburgiem*

/Sankt Gallen kanton/, która zakoñ czyła się przyznaniem temu ostatniemu prawa do wyznawania katolicyzmu), nie odszedł dalej, jak za kres światła z okna klasztoru. Idealista, tułając się po świecie, roiłby o cudownym rozwiązaniu i powrocie do ideału choć po latach. Jemu za radość i nadzieje wystarczał ciągły ból i beznadziejna rozpacz. Fakir na Ganges spoglądał, on w niebo gwiazdziste. Jeden i drugi przez ból moralny i cielesny odrywali się od ziemi. Byli szczęśliwi w tym odrętwieniu człowieczeństwa. I tylko gdy konał prawie, raz jeden o pieśń ziemskiej miłości poprosił, a i pieśń ta rodem z Indii była, gdzie lotos miłosny jest bóstwa zarazem kwiatem.

- Szczęśliwy był, bo wierzył, e światem kieruje nie traf ślepy i wypadek, ale Bóg dobry i miłosierny. Nie cierpiał, bo cichy był i pokorny. Hinduś pozostanie zawsze ciemnym bałwochwalcą, a ofiara jego pró nym szaleństwem - rzekła panna Kazimiera.

Leonka Brzezówna stała i spojrzała prosto i bystro w dzikie oczy mę czyzny. W spojrzeniu tym zmierzyły się po raz pierwszy ich dusze. Jego źrenice pełne były ądż pogańskich i rozstroju; jej - jasne i energiczne, pełne panowania i wyrobienia duchowego.

- Są ludzie, którym trzeba gromu i ognia, tak jak są metale, które tylko ciśnienie tysięcy atmosfer topi lub krystalizuje! - rzekła po chwili.

Patrzyli wciąż na siebie. Jego oczy nabierały w tym długim natę eniu czerwonych błysków, jej nabiegały iskrami zapału i podniecenia.

- Są te tacy, co wołają śmierć ni zmianę lub upokorzenie. Takich i grom nie nawróci.

- Zapewne, bo i w có ten grom bić ma, gdy serca nie mają? - odrzekła ywo.

Umilkł i dziwnie się zaśmiał.

- Mo e w tym cała ich siła! - zamruczał.

Lokaj drzwi otworzył.

- Od chorej organiściny przybiegł chłopak.

- To po mnie - rzekła Leonka.

- Do zobaczenia jutro, Kaziu.

Rafał skłonił się tak e gospodyni i wyszedł. Za nim ruszyła Leonka.

Zadymka wzmogła się jeszcze i zaraz na progu cisnęła na nich tuman mokrego śniegu wraz z przeciągłym gwizdem wichru. Panna Brzezówna otuliła się szczelniej płaszczem, Rafał szedł obok niej obojętny.

- Zły czas dla pani - ozwał się.

- Przywykłam przez długie lata mieć zawsze wiatr w oczy - odparła z uśmiechem.

- Pan zresztą l ej ubrany na tę zawieruchę i zdro ony zapewne.

- Ja nie cierpię ciszy i pogody. Gdy się ywioły rozpanoszą wściekle, we mnie się robi ciszej i l ej. Czy pani tu z matką zamieszkała?

- Panna Kazimiera sprowadziła mnie tutaj zaraz po skończeniu medycyny. Jestem doktorem.

- Tak? - wyrzekł bardzo zdziwiony.

- Tak, panie. Zdobyłam patent wbrew pańskim przepowiedniom, mo e właśnie z ich powodu. Chłostał mnie pan, szydził i upokarzał, a we mnie te słowa lekcewa ące budziły zaciętą wytrwałość i chęć postawienia na swoim. O, pamiętałam ja dobrze pana w ka dej chwili tych lat dziesięciu! Wszystkie swoje bóle zawdzięczałam panu, ale te i ka dy triumf. Pamięta pan te czarne horoskopy? Miała mnie po reć malaria i histeria, miała mi skrzydła przyciąć natura kobieca, wra liwa i słaba. A teraz, gdym dopięła celu, sama nie potrafię powiedzieć, czy bardziej dziękuję panu za ten hartujący system, który mi wiele dał, czy bardziej nienawidzę za to wszystko, co mi wziął z duszy.

- A tak dalece? I có wziąłem pani? - zagadnął ciekawie.

- Młodzieńczą wiarę i zapał, młodzieńcze marzenia i ideały.

- Tylko tyle? Balast zatem nieu yteczny.

- Nie balast, ale skrzydła.

- Ikarowe.

- Chocia by.

- Lepiej wcale nie wzlatywać, jeśli spadnięcie jest nieuchronnym. I za to więc pani mo e mi być wdzięczną.

- Nie, za to nie mogę, bom cierpiała, a ból darowują chyba tacy bohaterowie jak pan Adam, albo tacy święci jak ten fakir zdrewniały z pańskiej opowieści.

Dziwna rzecz, nie zaśmiał się szydersko ani po swojemu nie ruszył

ramionami. Wielkimi oczyma, zdziwiony, spojrział na nią i milczał.

- Nie dały mi szczęścia pańskie zasady - mówiła dalej smutno - ale przeto ciekawą jestem, czy wina to zasad samych, czy gruntu nieodpowiedniego, na który je pan przeszczepił? Mistrzu, czy dały one tobie samemu zadowolenie? Czy wystarczyły duszy? Pytanie to dręczyło mnie lata całe.

On głowę spuścił i pobladł. Wbrew swemu zwyczajowi nie bryzgnął jej sarkazmem lub cynizmem. Milczał.

- Mam przecie prawo spytać, ja, pańska niegdyś uczennica i wielbicielka. Nie dorównałam panu umysłem i nie dorównam, ale zrozumieć łatwiej niż niegdyś.

- Uczyłem panią tego tylko, w com wierzył wtedy i com w tej dobie za prawdę miał. Od tego czasu lata minęły. Przed nami nad zagadką ycia myśleli ró ni; zostały po nich ksiąg góry olbrzymie i pył marny. Teraz my w ich ślady stąpamy, a po nas inni przyjdą. Ile gwiazd, tyle prawd i pytań, ile atomów w przestworzu, tyle teoryj było, jest i będzie.

Poka mi pani choć jedną z prastarych ran ludzkości zagojoną ludzkim rozumem i poka jedną zdobyczą moralną bez równowa nika nowego trądu i świe ego rozkładu. Nie ma, nie ma, darmo szukać! Nauka to błędne koło bez wyjścia; duch ludzki to trawiąca samego siebie zmora, a my sami, pyły wirujące bezwiednie, rzucone szyderczą dłonią wypadku, bez celu, bez wyjścia, bez adnej potrzeby.

Pyta mię pani o zasady te moje dawne. Nie pamiętam ich; tyle przeszło potem, a o wszystkich zwątpiłem z chwilą, gdy poczułem, e mogę cierpieć!

Zostałem, jak inni, atomem bezwiednym. Cierpiałem, choć nie chciałem cierpieć.

Bolało mię, sam nie wiem; we krwi, w piersi! Przedziurawiłem kulą tę podłą pierś, wytoczyłem tę krew słabą! Ha, có z tego? Wy yłem przecie i, jak na urągowisko mej wiedzy i potędze, ból został. Odtąd ju w nic nie wierzę i niczym mistrzem być nie mogę!

- Przeciwnie; mnie się zdaje, e teraz pan ma prawo nauczania, gdy sam ludzkiego bólu doznał. Nie ten, wedle mnie, jest człowiekiem, kto nad świat wy szy własną pychą, ale kto te rany zbadał i w sobie nosił, a potem dopiero na nie lekarstwa szuka. Teraz dopiero myśl pana będzie jaśniejszą, rozum prawszym!

- Teraz ju ani myślę, ani badam. Zamknąłem tę księgę na zawsze. Teraz za kilka tygodni wrócę do swego ycia. Z orkanem (*huraganem, nawałnicą*) będę brał się za bary i tygrysy dusił w uścisku. Wtedy mi dobrze! Nie mają granic moje ądze i nie rozumieją oporu, a tam szeroko! Tam prędzej koniec i nicość! Tam legnę!...

Pani pamięta filozofa Rafała; dla mnie on ju umarł. Głupi był za długo. Oto jego nekrolog! Zaśmiał się teraz na zakończenie swym dawnym, przykrym śmiechem.

- Kto szczęśliwy zatem i zadowolony? - spytała smutno.

- Ci, co znają tylko instynkty i ich zaspokojenie.

- Biedna ludzkości, jeśli tve gwiazdy tak nisko spadają! - wyszeptała zamyślona dziewczyna.

Znowu szli czas jakiś w milczeniu.

- A matka pani? - zagadnął.

- Jak ją pan widział raz ostatni. Mówiono mi, e raz omdlała pan na rękach do domu odniósł. Dziękuję za nią biedną. Teraz zawsze to samo. Rozum i pamięć nie wróciły, a siły słabną. Nie mam alu do Zudrów za krzywdę materialną, ale jej nieszczęścia darować im nie potrafię. Zabiliby ją lepiej ni to!

- Nie szukała pani rady?

- Owszem. Badali ją najslawniejsi psychiatrzy. Na manię i spokojny obłąd nie ma ratunku.

- Pani z nią sama mieszka?

- Sama. Daleko nas wicher odegnał z rodzinnych stron, a krewni - teraz krewni Zudrów. Nie mamy nikogo. Dochodzili do miasteczka i tam się ich droga rozdzielała.

Zatrzymali się chwilę.

- Do widzenia, sądzę - rzekła wyciągając do niego rękę.

- Do widzenia! - powtórzył kłaniając się.

Odeszła, a on chwilę w miejscu pozostał, zapatrzony w jej niknącą postać.

Potem, zamiast zawrócić do ober y, poszedł w tym samym kierunku a do mieszkania organisty. Za nią drzwi się zawarły, on do okna się zbli ył i długo patrzył. Wreszcie się od szyby odchylił, otrząsnął i jak złodziej szybko uszedł.

- To nie tamta, to nie ona! A jednak gdzieś ją widział i co mi jest!... Spocząć trzeba.

W ober y tłusta Schowankowa drzemała za stołem w pustej izbie.

Poznała go zapewne, bo się prze egnała jak przed upiorem i z kiepska po polsku zaczęła witać.

- Alkierz pusty? - spytał.

- Pusty.

- To prowadź i zapal światło.

Zrzucił swą odzie przemokłą, obejrzał kąty i przez okno spojrzął.

- Któ tam mieszka? - spytał domek stary ukazując.

- Aha, kto! Tam mieszka taka rzecz, co pan nigdy nie widział. Taka kobieta, co ludzi leczy lepiej niż wszystkie tutejsze doktory, ilu ich było. Ot, dziwy na świecie.

- Jeść co masz, to daj; a nie masz, idź spać!

Jedzenie i ogień na kominie zjawily się w okamgnieniu. On usiadł i po erał jak wilk, ona gawędziła.

- To się moja Truda ucieszy! Zawsze pana wspominała. Za młynarza poszła i dzieci ma czworo. A Gaspar mój mały u księdza słu y. A słyszał pan, e Gryszan po pijanemu obwiesił się na dworskiej topoli? Taki szelma! Został mi winien cztery złote groszy dwadzieścia. I ksiądz jest nowy, i panicz nasz się zastrzelił!

Pan te umarł i baronowej, powiadają, e lada dzień nie stanie. Dziesięć lat to jak cholera! Tylu ludzi weźmie!

W izbie rozległ się brzęk szkła.

- A kac, a kac! - krzyknęła wytłaczając swą obfitą postać przez zbyt wąskie drzwi.

Rafał fajkę zapalił i, łokciami na stole oparty odpoczywał, czy rozmyślał.

Potem wstał, jeszcze raz do okna się zbli ył i popatrzał, po czym gwałtownie się odwrócił i coś zamruczał w niezrozumiałym argonie.

Stanął przy ogniu, ziewnął, zrzucił surdut i przeciągnął swe zmęczone członki jak zwierz dziki. Czerwony ar oświecił ostro i wyraźnie atletyczny, muskularny kontur i mizerne oblicze.

Potem rzucił się na posłanie i zasnął twardo, cię kim snem utrudzenia.

Pomimo to śniło mu się coś. Nie zadymka przecie i nie wypadki ostatnie, ale dalekie d ungle Indostanu; Ganges płynął majestatycznie, noc była tropikalna, jak dzień jasna, odurzająca wonią;

śpiewały jakieś ptaki czy owady, przelatywały świetlne lucciole * (*Lucciola /wł./ - ś wietlik, robaczek ś wię tojań ski i szerokoskrzydłe nietoperze*).

Wśród rzeki kapliczka z bałwanem fantastycznym, otoczona girlandą biało

- ró owych lotosów. Na wybrze u czerniały nieruchome członki śpiących kajmanów, z d ungli przesuwały się bez szmeru pręgowane ciała tygrysów.

Lotosy chwiały się jak ywe, jakby go witały tym monotonnym kołysaniem, a za ka dym ruchem woń rozkoszna dra niła jego powonienie.

I nagle poczuł ądę zerwania tego kwiatu z bezdennych odmętów, i poszedł, jak był zwykły, nieustraszony, między bestie i trzęsawiska. Chciał go mieć, a zatem weźmie pod paszczą kajmanów, pod ślepiami tygrysów. Szedł, gdy go opamiętał śmiech szyderski.

Obejrzał się. Za nim Bert Andenberg szczyrzył dwa rzędy popsutych przez szkorbut zębów i mówił swym ochrypłym głosem: - Mord und Weh (*niem. Do kroć set*)! Więc ju i ty w topiel idziesz za zielskiem, jak Franz i inne bydłeta! Nie twoja to robota kwiaty rwać i nie twoje ręce potrafią je dostać! Rzuć, kolego! Dla nas inna zabawa i nie takie trudy!...

Sen się splątał i obraz cudny znikł, przysłoniony mgłami szynkowni i brudnych nor portowych. W adnym jednak z tych widzeń zgmatawanych nie dostrzegł Rafał zmarłego dobrego kolegi i przyjaciela. Gdy się obudził, wielki ju był dzień na świecie. Śniadanie podała mu Czeszka na zwykłym miejscu przy oknie wychodzącym na rynek i zabawiała go skargami na cię kie czasy.

Roztargniony i chmurny wyglądał przez okno, jakby czekał na coś i nie odpowiadał wcale. Nareszcie zza węgła wysunęła się drobna, zgarbiona postać starej kobiety. Poznał ją i uwa nie się przyglądał. Zamiast starej mantylki miała na sobie futerko porządne i znać było, e staranne, kochające ręce zawiązały jej chusteczkę na szyi, kapturek pod brodą, ociągnęły dr ące dłonie ciepłymi rękawiczkami.

Zdrobniała tylko i zgarbiła się mocniej, ale zachowała ywość ruchów, od których boleśnie odbijały martwe rysy i wzrok szklany, w pró nię utkwiony.

W ręku, jak zwykle, niosła worek papierami wypełniony i parasolkę. Nie sama szła. Za nią o krok postępowała córka, uderzający kontrast tej ruiny i starości, smukła, piękna, z pociągającym wdziękiem ruchów i wyrazem bladawej twarzyczki. I nie tak jak niegdyś, prześladowana przez gawieź i dziatwę, ale spokojna i bezpieczna była Brzezowa. Nikt nie szydził, nie krzyczał, nie urągał; ustępowano im z drogi i zobaczył nawet Rafał, e drab obdarty, o pijackiej twarzy, mijając je uchylił czapki.

Przesunęły się i znikły. On się pochylił, potem otworzył okno i szedł za tą grupą wzrokiem a do sądu. Staruszka weszła; do Leonki zbli yła się kobieta uboga i poprowadziła ją za sobą do ło a cierpienia zapewne.

Rafał okno zamknął.

- Słuchajcie - przerwał gawędę ober ystki - nie wiecie wy, kto tam mieszka w tym dworze za lasem, w Sarnowie?

- Generał jakiś. Ju trzeci dziedzic od czasu, jak pierwsi to sprzedali.

- To Sarnowskich nie ma?

- Oje! Ju i pamięci po nich nie ma! Sprzedali, bo panna poszła, słyszę, za Italiana za mąż, a młody pan tam kędyś przy nich maluje.

- Ha, ha, ha! - zaśmiał się szydersko Rafał. - Narzędzia nie połamała tamta robota!

To i dobrze!

- Co pan ka e?

- Kto tu u was mogliami zarządza?

- A kó by? Proboszcz.

- A gdzie on mieszka, ten wasz marabut? * (*Marabut - ptak z rodziny bocianów, o wysokich nogach, potę nym, u nasady grubym dziobie, nagiej szyi, na której zwisa mię sista torba, ywi się padliną, yje w Afryce zwrotnikowej*).

- Podle kościoła plebania - odparła nie dosłyszawszy pogardliwego zakończenia.

- A zastanę go teraz?

- I pewnie. Po mszy odpoczywa, jeśli do chorego nie pojechał.

Rafał kapelusz nasunął na oczy i wyszedł. Plebania stara była i w ziemię wrosła. Wszedł do środka, lecz daremnie wołał i chrząkał, nikt do niego nie wychodził. Zajrzał dalej, zobaczył izdebkę prawie pustą, bez sprzętów i obrazów, tylko nad tapczanem pokrytym mizerną pościelą Chrystus ukrzyżowany, szerniał od lat dawnych, wisiał, spod cierni spoglądając na ziemię, a sikora oswojona na ramieniu krzy a ćwierkała wesoło. Na stole le ała księga, twarde krzeselko stało przed nim, nikogo nie było.

Rafał rozejrzał się i wyszedł trzasnąwszy niecierpliwie drzwiami.

Kościół wyzierał na rynek i, lubo probostwo stare było i opuszczone, on błyszczał

świe ymi ścianami i nowym dachem. Rafał ujrzał drzwi od zakrystii otwarte i po chwili wahania wstąpił jak do szynku, nie wyjmując rąk z kieszeni i nie odkrywając głowy. Minął sień i zakrystię, znalazł się w samej świątyni.

Mroczno było i pusto w obszernej nawie. Z umieszczonych prawie u stropu wąskich okien wpadały smugi słońca i odbijały się o ceglana posadzkę, o świecące ozdoby bocznych ołtarzy, o kryształki

świecznika. Wielki ołtarz tonął w cieniu, więc Rafał, olśniony białością śniegu na dworze, nie ujrzał zrazu czarnego człowieka, co u stóp jego modlił się pochyłony nisko. Wreszcie dostrzegł tę postać nieruchomą i podszedł kilka kroków.

- Domy wasze otworem stoją, ale puste! Gdzie wasz tutejszy gospodarz? -

zagadnął ostro i niecierpliwie.

Czarna postać drgnęła, przera ona podniesionym głosem, który jak grom rozległ się po sklepieniu i spłoszył nawet kilka ptaszek, które na gzymsie okna u góry, przy wytłuczonej przez wiatr szybcie zaczęły, rozweselone słońcem, pieśń wiosenną.

Gdy się modlący podniósł, poznał Rafał, e to był sam ksiądz, suchotniczo wyglądający, młody jeszcze człowiek, tak chudy, e mu policzki, zda się, przebijały skórę, a ręce, w których trzymał różaniec, miały wysmukłe twarde formy szkieletu.

Zamiast zaraz odpowiedzieć, pochylił się i prze egnął. Potem paciorki wsunął do kieszeni i oczyma pełnymi jeszcze błysków zachwytu objął gościa.

- Pytasz o tutejszego gospodarza? - odparł z cicha i rękę ku ołtarzowi podniósł.

- Oto on! Potrzebujesz go, synu?

Rafał obojętnie oczy podniósł. Chrystus taki sam, jak na probostwie, tylko większy i jeszcze jakby boleśniejszy, wisiał rozpięty i spod cierni na dom swój spoglądał. Przed nim migotała mała lampa jak iskierka złotawa.

Filozof ramionami ruszył.

- To drzewo! - odparł. - Ja drzewa potrzebuję do pieca tylko, a gadać z nim nie umiem!

Ksiądz się wzdrygnął, ale po sekundzie już się opamiętał i oczyma, które jeszcze promienniejsz zabłysły, popatrzał na bluźniercę przejmująco.

- A jednak On i ciebie zbawi, synu, ten Bóg ze swego drzewa. On i za ciebie cierpiał, i znajdzie ciebie na pustyni, i na ramionach podniesie do swej owczarni.

Odkryj głowę, choć w Niego nie wierzysz, odkryj, bo On cię tak kocha, e ci wszystko daruje, gwałtem tej miłości kiedyś pod skrzydła zagarnie. Odkryj głowę, synu.

Filozof brwi zmarszczył, zaśmiać się chciał czy bryznąć bluźnierstwem, nie rzekł jednak słowa. Ręka jego drgnęła kilka razy, po licu przeszło błyskawiczne wra enie oporu, nareszcie ręka podniosła się powoli do głowy i zdjął kapelusz.

Ksiądz ukląkł, ustami dotknął kamienia i, podnosząc się, krzy ręką nad tą głową zuchwałą zakreślił.

- Słucham cię, synu. Ja sługa tutejszy tylko i na twoje rozporządzenie, jeśliś smutny. Chodźmy.

Wyszli. Ksiądz kościół zamknął i wprowadził gościa do tej samej pustej izdebki. Ptaszyna zaświergotała radośnie i jak strzała spadła na ramię księdza.

- Niedawno tu jestem, więc nie znam ciebie. Zapewne metryk potrzebujesz, synu?

Siadaj, proszę.

- Dziękuję, postoję. Nie mo ecie mnie znać, bom nietutejszy.

Ksiądz się dobrotliwie uśmiechnął.

- A mo e o zapowiedzi ślubne przychodzisz?

- Ja swoich miłości w kościele nie załatwiam. Macie tu na cmentarzu mogiłę Lachnickiego. Syn jego ze mną był i przed śmiercią prosił, by ojcu kamień na grobie położyć. Powiedziano mi, e was trzeba o pozwolenie prosić, a zarazem powiedzcie mi, co u was za znaki kładą na mogiłach? Widziałem tyle ludów i cmentarzysk po świecie, em zapomniał ró nych zwyczajów. Przy tym imienia tego starego nie pamiętam.

- Czy chcesz pójść ze mną na cmentarz? Poszukamy razem tej mogiły i grabarzowi dam potrzebne rozporządzenie. Krzy e stawiamy na grobach, synu wszędzie krzy e. To nasze ukochanie i nadzieja.

- Pójdę, jeśli chcecie. Nie mam czasu długo tu zostawać.

- A gdzie twój dom i rodzina?

- Nie rozumiem nawet, co to znaczy - odparł obojętnie.

Ksiądz ptaszynę w rękę wziął i pocałował.

- Ciepło ju , odrobino - rzekł z uśmiechem. - Mo e chcesz wrócić do swoich? Otworzę ci okienko.

Sikorka pokręciła głową i zaćwierkała swobodnie. Potem wysliznęła mu się z rąk i pofrunęła na ramię krzy a.

- Mrozy jeszcze będą, kiedy to na świat Bo y się nie wybiera, ale w izbie zostaje.

Rafał od księdza na ptaszynę oczyma powiódł.

- Miałem kolegę - rzekł łagodnie - który hołubił mewy na masztach, e mu do rąk szły, i najdziksze zwierzę ugłaskać umiał. Szczególny snadź to magnetyzm. Zdaje mi się, e wy do niego podobni.

- A do ciebie, synu, ten kolega nie był podobny?

- Gdzie zaś! Jak ogień i woda.

- Czemu więc byliście razem?

- Czemu? Ja nie wiem. Dobrze mi było z nim.

- Nim stąd odejdziesz, mo e i ze mną ci będzie dobrze, kiedym do niego podobny.

- Nie. Jak nie on, to nikt inny. Chodźmy.

Nikt pewnie nie widział Rafała w podobnym towarzystwie i jemu samemu wydawało się to bardzo dziwnym.

- Pochwalony Jezus! - pozdrawiano księdza, a on się uśmiechał i czasem zagadywał znajomych dobrotliwymi słowami.

Wpół rynku z ubogiej chatyny wynurzyła się Leonka Brzezówna i stanęła osłupiała; ksiądz się zatrzymał.

- A co tu słyhać, moje dziecko? - zagadnął.

- Źle. Dzieci co do jednego le ą na krup i odrę, kobieta wyrzuca resztki płuc. Tam ju ja nie poradzę, a chyba Kazia i proboszcz dobrodziej. Dzieci zdrowe będą, ale sieroty.

- A organiścina?

- Prawie zdrowa. Dziś w nocy kryzys przeszedł szczęśliwie. Zastałam rano śpiącą.

- Gdzie idziesz teraz?

- Do stra y. Leśniczemu ró a poszła w rany. Nogi ma zupełnie bezwładne.

- Daj ci Bo e tylko zdrowie i siły. Nie trzeba ci przypominać obowiązku, moje dziecko. Idziemy w jedną stronę teraz, bo ja tu z tym młodym na cmentarz dą ę.

- Ach tak, w sprawie grobu ojca pana Adama. Dzień dobry panu.

- Znajomi jesteście? - spytał proboszcz zdziwiony.

- O, i bardzo starzy nawet.

Ruszyli we troje. Ksiądz ucichł i w myśli coś sobie tylko wiadomego kombinował. Młodzi nie odzywali się tak e, jakby ju w tej wieczornej rozmowie wczorajszej wyrazili wszystko, co ich łączyło kiedykolwiek, a jakby ta noc jedna odrzuciła ich precz, daleko od siebie, nappełniła dziwną nieufnością.

Nie patrzyli ju sobie prosto w oczy, tylko on spode łba rzucał jej dziwne błyski swych dzikich źrenic.

- Proboszcz dawno nas nie odwiedzał - ozwała się, przerywając kłopotliwe milczenie.

- Nie miałem czasu wieczorem, moje dziecko, a w dzień was nie zastałem przedwczoraj. Słu ba

nasza podobna i du o czasu zabiera, jak wiesz.

- O, nie podobna! Ksiądz zawsze ratunek i zbawienie przynosi, ja tylko pomoc nieudolną. To moja rozpacz. Myślałam, e hartowniejszej nade mnie nie ma kobiety, a przecie dotąd przemóc nie zdołam alu, gdy kogo nie wyratuję.

Doktorowie zwykle znoszą to filozoficznie, a ja, wstyd powiedzieć, płaczę jak dziecko.

- A sądzisz, em ja nad duszami nie płakał? Przychodzi za to wyzdrowienie cudowne, a radość wszystkie łzy przewy sza. Chore dusze jak i chore ciała.

Nic my nie poradzimy bez pracy organizmu, bez chęci własnej człowieka.

Nieprawda , panie? - zwrócił się nagle do Rafała.

Ten, jak ze snu obudzony, oczy podniósł.

- Nie słuchałem, coście mówili. Byłem daleko.

- Mo e w Indiach? - spytała artobliwie.

- Zgadła pani. Nad Gangesem.

Zaśmiał się i dodał powoli:

- Kwiat rwałem.

- Kwiaty? Pan?

- Tak. Są takie, które nawet ja zerwać chcę jak ka dy przeciętny głupiec.

- Jak mo na kwiaty zrywać? - wtrącił ksiądz. - Mnie się zdaje, e je to boli bardzo, a potem więdną.

- Tote takie, co nie chcą być zrywane, rosną na szczytach i, aby je dostać, trzeba wa yć tak e ycie - odparła Leonka rzucając wzrok na Rafała.

Starli się spojrzeniem. On ramionami ruszył.

- A któ dba o ycie, gdy ma chęć do zaspokojenia? A raczej, co warta chęć, w której o ycie lub śmierć nie chodzi?

Stali u furty cmentarnej i ksiądz przerwał dysputę, która przybierała ostry charakter.

- Do widzenia, moje dziecko! - rzekł. - Postaram się uwolnić na wieczór i z wami go spędzić.

- Dziękuję, proboszczu.

Rozdzielił ich płot i droga. Grabarz wyszedł ze swego domku i na pytanie księdza poprowadził ich

daleko w głąb. Cmentarz był ze śniegu oczyszczony, bardzo starannie utrzymany. Rafał, mijając nagrobki, czytał machinalnie napisy.

Leżały tam jego znajomi: Rahoza, ojciec i syn, pod marmurowym obeliskiem, stary doktor lubiący piwo i izbę Schowankowej, a opodal, bliżej płotu, dostrzegł

na krzyżu drewnianą tabliczkę, na której widok mimo woli się uśmiechnął:

"Bodo Ruprecht, 76 lat".

- I tyś tu? - zamruczał. - Doguwnerowałeś się swojej ziemi i prawdziwej własności.

Grabarz przystanął przed mogiłą ozdobioną nowym krzyżem i wieńcem nieśmiertelników.

- To panienka położyła na Zaduszki - rzekł.

Proboszcz dawał mu instrukcje i polecił pomagać Rafałowi, a młody człowiek tymczasem do płotu podszedł i gdzieś w dal spoglądał.

- Moemy wracać, synu! - wyrwał go z zadumy głos.

- Zostanę tutaj. Jutro do was wstąpię po datę śmierci i imię tego starego. Dziś mam dosyć tej historii.

Pozostał o płot wsparty i nieruchomy jak kariatyda *(*Kariatyda* -

podpora architektoniczna w formie postaci kobiecej, słupka zamiast kolumny, filaru), godzinę przeszło. Leonka ukazała się znowu na drodze z powrotem.

Wówczas on się poruszył i wyszedł z cmentarza.

Spotkali się znowu. Ona, zaskoczona nagle jego widokiem, poblądła i obejrzała się, jakby szukała księdza. Potem zapanowała nad wzruszeniem i spytała swobodnie:

- Dokąd pan idzie?

- Przed siebie.

- To może być bardzo daleko. Ja zaś po matkę, a potem do domu na obiad. Po południu przyjmuję chorych u siebie. Może i pan zechce sobie przypomnieć dawne czasy i u stołu naszego znowu zasiąść?

- Dziękuję. A da mi pani tyle, eby mój głód nasycić, pragnienie ugasić?

Popatrzyła na niego bardzo smutno i łagodnie.

- Dałabym wiele, eby pan był innym.

- Jak to inny?

- Chciałabym swego mistrza za ucznia teraz mieć. Tyle rzeczy poznałam, o których pan pojęcia nie ma, a które takie dobre są, tyle szczęścia dają!

- Niech pani spróbuje.

- Pan artuje?

- Nigdy.

- Spróbuję zatem.

- I owszem, słu ę.

Niepokój znikł z jej oblicza, jego rozpogodziło się na chwilę i zajaśniało dawną, świetną pięknnością.

- A co mi pani da w zamian za uległość?

- Czy to taka wielka ofiara?

- Dla mnie? Uległość? To nie ofiara, ale gwałt zadany całemu yciu i naturze!

- Mo e więc nie stanie mię na zapłatę?

- Owszem. Da mi pani pić, a ar w sobie zagaszę. -

Dam panu lekarstwo na spokój i pogodę duszy. Zresztą proszę pierwej dopełnić swoich zobowiązań. O nagrodzie potem.

Starła się uśmiechnąć, ale blask z jego oblicza znikł i ją okryła chmura przykrości. Szli ju milcząc, znowu owładnięci nieufnością i chłodem.

Zanim zaczęła, opadła ją trwoga o rezultat tej pracy duchowej, wątpliwość o skutek, niewiara we własne siły. A jednak chciała spróbować, chciała bardziej ni kiedykolwiek w yciu.

XII

W domku Brzezowej zapadał mrok. W sypialni mała lampka paliła się na stoliku, przy którym stara kobieta pisała na wielkich arkuszach i rozmawiała od czasu do czasu sama z sobą, gestykulując i płacząc chwilami płaczem małego skrzywdzonego dziecka.

W pierwszym pokoju, słuącym za gabinet Leonki, nie było światła. Przez okno otwarte wpadało trochę blasku i wilgotne powietrze wczesnej, bezbarwnej i bezwonnej jeszcze wiosny. U tego okna proboszcz siedział, zapatrzony w skrawek nieba, i dumał.

Czekał już dobrą godzinę, gdy nareszcie drzwi skrzyknęły, w sieni rozległa się rozmowa ze słuącą i weszła Leonka.

- Jak tu ciemno! Przepraszam proboszcza; zaraz zaświecę; zamarudziłam nad miarę.

- Nie trzeba światła, moje dziecko. Od dawna wybierałem się do ciebie i tak się zwlokło. Usiądź proszę, mam do ciebie interes.

Dziewczyna zrzuciła prędko okrycie i podeszła do okna. Pomimo zmroku ujrzał ksiądz, e bardzo była blada.

- Nie będziesz mi miała za złe, moje dziecko, prostego, szczerze yczliwego pytania? - spytał łagodnie.

- Nie, owszem! I odpowiem podobnie - odparła trochę zmienionym głosem.

- Czym on ci jest, ten człowiek?

Dreszcz ją przeszedł, a z bladej stała się papierowo białą. Nie odpowiadała chwilę i drobnymi zębami gryzła wargi, a wzrok jej wybiegł za okno i zmętniał

nagle.

- Czym on ci jest? - powtórzył ksiądz powoli.

Podniosła dłonie do głowy, splotła je na hebanowych włosach i tak stała nieruchomo. Potem spuściła ku pytającemu przejrzyste oczy i odparła bez wahania:

- Ja za jego duszę ycie bym dała z ochotą!

- Kochasz go więc?

- Kocham! - odparła równie stanowczo.

- I za co go kochasz, dziecko? - badał ksiądz dalej.

- Za co? Za co kocha kobieta? Za bóle zwykle! Taka nasza natura niezbadana i tajemnicza! I ja go

kocham chyba za te cierpienia i walki, którym z jego powodu znosiła i przebojowała, za te sny złote, które mi szyderstwem potargał, za te ideały, które cynizmem zatrzał. Powinna nienawidzić, a kocham.

- Nad wszystko?

- Nad wszystko nie, ale nad siebie, nad życie.

- I poświęciłabyś mu wszystko?

- Wszystko oprócz czci i duszy.

- Dziecko, i dlaczego kryłaś to przede mną, ty, taka prawa, i czekałaś, a spytam?

- Nie kryłam, o nie! Gdybym tajemnicę grzeszną miała i sromą się oczy podnieść, tobym być nie mogła. Dwa tygodnie temu ujrzałam go - po dziesięciu latach. Przez te dwa tygodnie miałam wiele pracy i trochę nadziei. Myślałam, że przyjdę do was z radosną wieścią jego powrotu; a potem... a potem...

Urwała z głuchym westchnieniem.

- Potem nie było po co iść! - dokończyła złamanym głosem.

- Na czym budowałaś, dzieciątko, tę nadzieję?

Błada jej twarz poczerwieniała nagle.

- Miałam złudzenie, że on mnie kocha, kochać może, że go złagodzi uczucie; a on...

- A on? - powtórzył ksiądz.

- On mnie tylko pojął!! - wymówiła z trudnością. - A zamiast złagodnieć, jak zwierzę się stał dzikim i stracił go już na zawsze.

- I kochać przestałaś?

- Nie, księże. Albo to może na przestać kochać? Bólów w swoich dusznych zapomnieć?

- A pomyślałaś ty kiedy, czy on wart miłości i takiej?

- A gdy pomyślę, cóż z tego? Wiem, że to mi serca nie zmieni. Ksiądz jest święty, nie rozumie mnie może, a ja i sama wyraźnie opowiedzieć nie zdołam.

Poznałam go dawno, byłam półdzieckim zahukanym, nędznym, wycieńczonym już życiem, a tak samotnym ze swą naturą, jak bądył przydrożny. Nikt na mnie nie zwracał uwagi, nikt nie rzekł przychylnego słowa. A raz, w noc późną, nad jakimś zadaniem rachunkowym spłakałam się okrutnie. W głowie miałam obłąd ze zmęczenia, w oczach mgłę i gorączkę. Zaciskałam zęby, by nie jęczeć.

Zacięta byłam i nieprzywykła do skargi.

Nie słyszałam, e ktoś wszedł i tylko poczułam dłoń na czole i głos troskliwy:

- "I warto to płakać, dzieciaku! Spoczniej, a daj mi ten zeszyt. Nad siły bierzesz!"

- Co mu się stało wtedy, raz w yciu? Potem nie słyszałam z jego ust nigdy takiego głosu, nie dostrzegłam nigdy współczucia, ale i po co? - on tym wziął

sobie me serce i, pomimo wszystko, zachował.

Księ e proboszczu, czy to podobna, eby zły mógł od złego odwieść? Tak było ze mną. Jego wspomnienie uratowało mi serce, mo e sto razy nad przepaścią.

Cię ko yć kobiecie młodej, samej, wśród kolegów ró nych, bez adnej opieki.

Widziałam wiele. Mo e mnie ustrzegła natura, wyrobiona biedą i samotnością, ale ustrzegło mnie tak e to jedno kochanie, to jedno powiedzenie serdeczne, ta dłoń, co dotknęła czoła bolącego, ten głos, co mię nazwał "dzieciakiem".

Zapomniałam wszystkich jego złych nauk i wpływu bezbo nego; tego nigdy nie zapomniałam i nie zapomnę ju do śmierci.

Ksiądz, uwa nie słuchający, o nic ju nie pytał, a ona, ze swą zmienioną wra eniem twarzą, mówiła szczerze i jasno, z rzewną nutą w głosie, a smutną chmurą w oczach.

- Teraz on odejdzie stąd, mo e ju odszedł, nagrobek skończony będzie za dni parę, a jego natura straszna ju się wydziera w te światy dzikie jak on!

Pójdzie i, przekłety, z nieba strącony, legnie w walce z orkanem, bluźniąc i złorzecząc stygnącymi usty. Księ e proboszczu, a z duszą jego co będzie wtedy?

- Będzie przekłeta, bo nic nie kochał!

- Księ e proboszczu! Bóg taki dobry, czy u Niego adnym kosztem tej duszy kupić nie mo na, adną ofiarą? Ona taka bogata, tylko jak świat przed stworzeniem chaotyczna! Czy koniecznie ma ginąć marnie?

- Bóg w tym człowieku przykład daje, czym jest dusza bez wiary i kochania ofiarnego. I Bóg jej nie zbawi bez jej własnej woli.

Leonka opuściła ręce i odetchnęła głęboko. Wielkie dwie krople zbiegły po rzesach i ból dojmujący skurczył twarz.

- Wiecie teraz wszystko księ e proboszczu. Czym bardzo zgrzeszyła? - spytała bezdźwięcznie.

- Bardzoś cierpiała, dziecko, i bardzoś biedna! Daj ci Bo e zapomnienie.

- Po co? Szczęśliwa, mo e bym zapomniała o cierpiących, a tak rozkosz mam, mogąc im usłu yć. Myśli ksiądz, e skar yć się umiem i pozwolę temu, co wewnątrz, zapanować? Nie! Nauczyło mię ycie milczeć, a miłość znosić! Nie ustanę nigdy w pracy, tylko niech mnie ksiądz nie pyta więcej o to.

Powiedziałam wszystko, wbrew naturze i skrytości. Mnie nie robi ulgi wywnętrzenie. Cierpię podwójnie.

- Chciałem ci dopomóc, moje dziecko!

- Dopomóc! Bez woli jego i gromu, kto mi dopomo e? Skończone wszystko, a on stracony dla szczęścia i spokoju. - Powiodła dłonią po czole i właściwą sobie siłą woli opanowując wzruszenie, dodała innym tonem: - Zajmuję księdza swymi sprawami, a nie powiadam, e Kazia zabrała ju do siebie dzieci Gryszana.

Kobiecie choć pod koniec spadła z piersi cię ka troska. Wie ksiądz, co mi opowiedziała dzisiaj? Oto jej mą właśnie wydał przed panem Rahożą stosunek Adama z Kazią, ale jak ohydnie, za to, e go Adam za niedbalstwo i kradzie z miejsca wyrzucił. I Kazia to wie!

- Bo a słu ebnica! - szepnął ksiądz radośnie. - Od niej się uczyć jak cierpieć.

W pokoiku zrobiło się zupełnie ciemno, a z sypialni głos staruszki rozległ

się niecierpliwym:

- Leonka! Leonka! Co ty sobie myślisz? Rady sobie sama dać nie mogę, a ta się uczy i uczy. Porzuć te ksią ki, chodź, posłuchaj, jak ja tę obronę przerobiłam!

Ksiądz wstał z westchnieniem i nad pochyloną dziewczką krzy nakreślił.

- Do zobaczenia! Dziękuję ci i przepraszam, ale nie mogłem ścierpieć wątpliwości co do ciebie. Bolało mnie. Teraz odchodzę spokojny. Nie zawiodłem się na tobie.

Pociesz cię Bóg, zobaczysz!

Wyszedł, a Leonka poskoczyła do sypialni, gdzie starowina wstała od stołu, i trzymając w ręku zapisany arkusz, jęła czytać:

- W Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego amen!

"Wdowa Brzezowa jestem, wyzuta z mienia i ziemi, i kąta własnego, skazana na ywot tułaczy, rękami Zudrów, ich wyzyskiem skrzywdzona. Oni pieniądze mają, mnie zostawili tylko siły sterane i krew. Pójdę do sądu, do Boga, do ludzi dobrych i przemoę ich, a wyjdę cała i z triumfem, i zapłacić mi będą musieli i za wdowieństwo moje, i za te siły, i za krew. Ka cie im płacić, bom stara i tyle ju lat sprawiedliwości czekam. Gdzie ona? W sądzie pokoju? W guberni?

W senacie? Wszędzie dojdę, tylko powiedzcie, poka cie, nie dajcie krzywdzie yć, bezprawiu panować!"

Pochylona, z twarzą w dłoniach ukrytą, Leonka słuchała cierpliwie.

Brzezowa przerwała:

- A co, dobrze?

- Dobrze, mam! Mo e by mama nie pisała więcej dzisiaj. Ja skończę. Proszę zjeść cokolwiek.

- Skończysz? Dobrze z ciebie dziecko! Jeść, mówisz, a czy wrócił uczek?

uczek dawno nie ył. Zabił go kamień ulicznika w progu sądu. Ona jednak zawsze myślała, e się gdzieś zabałamucił i wróci.

- Nie ma jeszcze! - odparła Leonka. - Zostawimy mu kolację, na wypadek gdy wróci, a mama niech zje tymczasem, bo ju późno.

- Aha, późno, a do nas pozwów jak nie ma, tak nie ma!

- Prędko będą.

- Kto ci mówił? Sędzia?

- Sędzia. Lada dzień nadejdą.

- To dobrze. Trzeba jeść zatem, eby siły wzmocnić, a potem spocząć, bo mo e to ju jutro.

W pół godziny potem światło z sypialni przeniosło się do gabinetu.

U biurka przy oknie siadła dzielna pracownica i pochyliła, jak niegdyś, ciemną głowę nad ksią ką. Długo w noc świeciło się w tym oknie, bo i późno czasem pukano do tych drzwi z wezwaniem do chorego.

W parę dni potem, nad wieczorem, Kazia, pokończywszy interesy z rządcą, siedziała w swym dawnym, naro nym pokoju i, uśpiwszy te chorą babkę, zebrała wkoło stołu kilkoro dziewczątek małych, które o tej godzinie zwykle uczyła katechizmu i robót. Lekcja kończyła się ju i dzieci świergotały wesoło, gdy drzwi się rozwarły i wszedł Rafał.

Od tygodnia nie widziała go. Nikomu nic nie mówiąc odszedł i przepadł

bez wieści; teraz prosto z drogi snadź wracał, obłocony, zmokły, a tak zmieniony był strasznie przez te dni kilka, e, spojrzawszy nań, nie mogła okrzyku powstrzymać.

- Pan chory!

- Ja? Czemu?

- Taki zmizerowany i blady. Ledwie poznałam pana. Proszę usiąść; zaraz ka ę wina podać.

- Nic mi nie jest. Dziesięć mil dziś zmachałem w taką bezdro .

- Niepokoiłiśmy się długą pana nieobecnością bardzo.

- Kamień kupiłem. Jutro go poło ą. Skończyłem ju prawie swoją tu robotę.

- I pójdzie pan znowu w świat?

- Naturalnie. Za długo ju siedzę!

Podawała mu kieliszek wina, ale odmówił.

- Dziękuję pani, nie mogę pić teraz. Jestem ju i bez tego pijany!

Spojrzała na niego przera ona. Pijanym nie był, ale chorym niezawodnie.

Oczy mu świeciły nienaturalnie, usta miał czarne i spalone wewnętrznym arem, na czole głęboką bruzdę od natę enia myśli.

Usiadł cię ko, a podczas gdy ona egnąła dzieci, zgarbiony i niemy spoglądał uparcie w ziemię.

- Dlaczego pan odchodzi i do czego? - spytała łagodnie, siadając naprzeciw niego i biorąc robotę do rąk. - Czy ma pan gdzie daleko do czego i do kogo wrócić?

- A po co mi to? Nie znałem nigdy niewoli.

- I nigdy panu taka pustka nie dokuczyła?

- Łatwiej, chcąc, pustkę zapełnić ni wyrwać coś ze siebie. Na to adna wola nie wystarczy.

- Po co wyrwać, co dobre?

- A skąd e pewnik, e to dobre? Mo e złe? - zamruczał. - Pani znała dwoje duchów: siebie i Adama. Ha, ha! co by pani rzekła, eby zajrzała w głąb innych!

- Po ałowałabym ich z całego serca.

- al! Co to za głupie uczucie. Kropla wody w kipiątek. Nie zgasi i nawet nie ochłodzi, tylko ten wrzątek bardziej rozdra ni. Oceany lać trzeba w ten war, wszystkie lody bieguna stopić. Dla tego właśnie mnie w świat iść trzeba, gdzie te oceany, bo biada, gdy w miejscu zostanę!

- A jednak pan umie być tak dobrym dla ludzi!

- Głupstwo! Po co pani wmawia mi jakąś tam dobroć? Co to jest dobroć? Słabość, nędza i upokorzenie. Jeśli był dobry dla niego, to mnie za to los wyszydził. eby był Bóg i dobro na świecie, toby on yć powinien, a ja nie! Nie pojmuję, jak mo e pani w Boga wierzyć, straciwszy jego; albo panna Leonia, patrząc na matkę. Ha, ha! Same wierzyć i mnie, mnie, chcieć nawrócić do takiego

kultu, gdzie cierpieć zalecają i naturę gwałcić, dla jakiegoś tam imaginacyjnego nieba, w którym tak e ani woli, ani samodzielności nie ma! I jam sekundę słuchał cierpliwie!

Głupiec! - Zaśmiał się demonicznie.

- Nie był pan nigdy nieszczęśliwym! - rzekła Kazia. - Wtedy ten Bóg, na pozór straszny i niedościgły, zamienia się w ojca czułego, a ta wiara sroga staje się cichą przystanią, od orkanów ycia ratunkiem i ucieczką. Zda się wtedy, e na duszę, jak na ocean wichrem smagany, do głębi wzburzony, kładą się ręce kochające i uciszają czarem, e na rany krwawe i palące spływa gojąca oliwa; a gdy człowiek, jak rozbitek, śmierci czeka, otwierają mu wrota nieznane do innego ycia.

- Nie rozumiem, jak człowiek mo e być nieszczęśliwym.

- A jeśli straci to wszystko, co ukochał?

- Co to jest ukochać!? ądać! ądać duchem i krwią, nerwami i rozumem, całym sobą. Gdy mę czyzna tak ukocha kobietę, to ją zdobyć musi pomimo waszego Boga i nieba, i piekła, pomimo całego świata walk, a wbrew jej własnej woli nawet. ądza ludzka to tak e bóg potę ny, nade wszystko mocniejszy.

Powstał, to mówiąc, i zmienił się cały. Purpura krwi wyrzała zza mizernych policzków, nabiegła białka oczu i czoło przecięte yłami nabrzmiałymi jak sznury. Ogień buchał mu ze źrenic, rozdymał, zda się, nozdrza, a postać wyniosła, gibka, skurczyła się w sobie jak pantera do skoku.

Kazia odsunęła się mimo woli, przestraszona.

- Panie Rafale! - zawołała. - To się miłością nie nazywa, ale szałem! I nie Bóg to, ale szatan zniszczenia. Pan sam, choć to mówi, tak by czuć nie potrafił.

- Ja, ebym kochał...

Przerwała mu, siłąc się na swobodę:

- Toby się pan ucziwie o enił.

- W kościele mo e? Przy wtórze swędu kadzidła i organowych pisków? Klecha ma mi coś bredzić i ja mam przysięgać brednie jak świat stare i jak świat światem nie dotrzymane, i brać na całe ycie kajdany. Cha, cha! Tego głupstwa nie doczeka się nikt po mnie. Kobietę po ądaną, jak chęć ka da inną, mieć muszę, na przekór waszym sakramentom, księ om i starym babom!

Có to jest mał eństwo? Ułatwienie spisu ludności i powstrzymanie koczowniczego ycia. Jeśli wasz Bóg jest czystym duchem, po co taki związek odbywacie w kościele? To bezsens! A jeśli go wasz Bóg sam błogosławi, czemu kobietę potem zatrzymujecie przed tym samym kościołem jak zbrodniarkę i polewacie święconą wodą jak nieczystą. Nie zachowujecie w dogmatach swoich najmniejszej logiki i jak stado owiec dajecie się bezrozumnie kierować.

Zwierzętami jesteściey poniekąd w naszych ądach, a wy chcecie zwierzę nawet uświęcić. Nieszczególnie to wam się udaje między wierzącymi nawet, a wolni, oprócz śmiechu pogardy, nic

dla was nie mają.

- A jednak myśmy szczęśliwi i spokojni, a oni...

- Oni nieliczni i samotni jeszcze jak olbrzymy wśród karłów! Przyjdzie jednak dzień, gdy jak zmurszały budynek zwałą wasz świat, a zasady wasze na wiatry rzucą i odmłodzi się cudnie ziemia nowa!

- W ów dzień Bóg nieśmiertelny zetrze tę ziemię. Ale on nie przyjdzie, nie, bo te karły nikłe dla tych olbrzymów uproszą łaskę!

Zaturkotał powóz pod gankiem. Kazia wstała ywo.

- Przepraszam pana, zaraz wrócę! - rzuciła wychodząc. Nie było jej sporo czasu.

Wróciła nie sama.

- Szczególne, ale bardzo pocieszające polepszenie - zabrzmiał w dalszym pokoju głos Leonki - je eli tak dalej pójdzie, mo emy spokojnie czekać lata. Marzec prawie się kończy.

- Chwała Bogu! A wiesz, e zrobię ci niespodziankę. Jest tu u mnie jeszcze jeden chory potrzebujący twojej opieki.

Leonka weszła i spojrzała dość obojętnie.

- I owszem! - rzekła i urwała.

- To pan! - szepnęła z mieszaniną przykrości i zdumienia.

- Pani nie spodziewała się mnie widzieć więcej?

- Nie - odparła szczerze.

- Czy dlatego, em pani nie po egnął?

- Dlatego, e pan mówił, i skończył swoją tu robotę.

- Jeszcze nie!

Pocziwa, zatopiona w abstrakcji i dobrotczywnych uczynkach Kazia nie rozumiała, e ta niespodzianka była gorzką dla obojga jak owoc Martwego Morza i wtrąciła dobroduszenie.

- Nieprawda , e pan Radwan fatalnie wygląda?

Leonka zmarszczyła brwi i zagryzła usta.

- Pan Radwan jest sam doktorem i wiedzieć powinien, co mu dolega. Mojej rady pewnie by nie przyjął. Pan dzisiaj wrócił?

- Przed chwilą.

- Zdroony i pewnie głodny.

Nie chciał jednak przyjąć ode mnie nawet kieliszka wina! - dodała Kazia.

Leonka popatrzyła na niego uważnie. W jej oczach mignął jakiś serdeczny, może jeszcze iskierka nadziei.

Wzięła wino i podała mu.

- Proszę wypić za moje zdrowie, a potem opowiedzieć nam scenę jakąś z tych pysznych zwrotnikowych krajów. Pan tyle widział, a tak niechętnie opowiada!

Wziął kieliszek i wypił bez protestu. Gdy szkło stawiał na stole, ręce mu dręły jak w febrze i głos był zmieniony, gdy opowiadał.

- W moich wspomnieniach, jak we mnie, za wiele jest piekła dla waszych uszu.

Nie opowiem nic, ale za to wino i na poegnanie zaśpiewam pieśń daleką, tę samą, co Adama do śmierci kołysała.

Usiadł opodal od światła i zapatrzony na Leonkę śpiewać począł.

Język był niezrozumiały i rytm dziwny, oryginalny. Głos Rafała, pomimo nadużytych jeszcze silnych i giętkich, zrazu był cichy i spokojny, jakby opowieść snuł, potem roztoczył się i zadźwięczał rzewną skargą czy prośbą, czy modlitwą, potem rósł

i potęgował, nabierał dźwięków metalicznych, łamał się jak rzeka po kaskadach i wreszcie zabrzmiał gamą urywanych, namiętych tonów, wybuchów szału, okrzykiem boju, dyszeniem wściekłości i urwał się nagle... jeszcze jeden akord triumfu, westchnienie rozkoszy - śpiewak ucichł.

Po kątach pokoju obito się przeciągłe echo i jakby duszący powiew zwrotnikowy przeszedł, potem zapanowała cisza.

Rafał wstał i jakby odpowiadał na nieme pytanie o treść tej fantastycznej melodii, począł mówić półgłosem:

- Lotosy, kwiaty życia i miłości, wychylają swe róże i kielichy z wód toni. Nie dojrzy ludzkie oko ich narodzenia. Wczoraj na tym miejscu były wody czarne, głębia niezbadana i pusta - o świetle są kwiaty smukłych kształtów, barwy jutrzeńki, woni odurzającej. Wstaje młodzian, wczoraj dziecko, i spogląda na nie. Spogląda i ubóstwia, i staje się człowiekiem! Lotosy drażnią go i wabią, bezpiecznymi się czują pod strażą bezdni niedostępnych, zwierząt głodnych i zazdrosnego Boga, który je wydał ze swego łona sobie tylko na podziw.

Hindus, młodzieniec o krwi gorącej i wyobraźni wschodu, w zachwycie swym rośnie i olbrzymieje. Jego piersi pożądamy uścisku, usta pocałunków, krew rozkoszy.

Kwiaty się rozchylają i gorejące jego oczy widzą zza płatków ró owych, znad koron bladawych purpurowe wargi, ramiona kobiece, oczy głębokie. Nie ma odmętów potę nego Wisznu, * (*Wisznu - jeden z głównych bogów hinduizmu, druga postać ś wię tej trójcy /obok Brahmy - stwórcy i Sziwy - ś mierci/, zbawca i nauczyciel ludzi, pogromca potworów*), jest on tylko i jego chęć! Wstaje i idzie!

Kajmany go ćwiartują, tygrysy duszą i krwawią, odmęty ciągną w śmierć sto razy.

Wisznu piorunuje - on idzie i idzie. Dopóki krwi kropla, ycia atom, nerw choć jeden cały - on idzie. Lotosy coraz bli ej, woń coraz mocniejsza, zrywa kwiat rozkoszy - i pada. Niech go wtedy biorą bestie i odmęty, niech go zabije bóg. On doznał nirwany szału, on posiadał niebo miłości! On ył!... Tak się pieśń kończy!...

Gdy kobiety podniosły zamyślane głowy na skrzyp drzwi, Rafała nie było w pokoju.

- Szalony! - wymówiła pierwsza Leonka.

- ebyś słyszała to, co dziś mówił! Boję się!

- Czego?

- Jakiego nieszczęścia z nim. On chory, cię ko chory.

- Biedak! - szepnęła Leonka. - Ta choroba to jego zwykły stan, mo e w tej chwili bardziej wybitny. Nęka go, jak rak toczy hydra szalonej pychy i niedola niewiary.

Kiedy pomyślę, em ja taką była i mo e bym została, gdyby nie wpływ twego narzeczonego, twój i twardej szkoły nieszczęścia, to mnie zgroza ogarnia i al nad nim okropny. Przeklęty ten rozum ludzki i przekłeta wola, niczym nie krępowana!

Wszak on samego siebie nienawidzi i myśl szczęścia ze wstrętem odrzuca! I marnie, marnie zginąć musi!

- Leonko, czy ty się go nie boisz? - zagadnęła Kazia niespokojnie.

- Nie. Znam go dobrze. Zresztą my, pionierki nowych dróg i światów, nie mo emy się bać, bo byśmy nigdy do celu swego nie doszły. Wam tradycje wyrównały tor ycia, osłoniły was szczelnie przed ka dym kamieniem obrazy; nam te kamienie pokrwawiły stopy, a tory własną siłą trzeba było zdobywać! Hej, hej! Między naszą bracią wojującą wykwitnąć muszą trzy rzeczy, rzadko znane kobietom: odwaga, zimna krew i zdrowie jak stal hartowna; a zaniknąć tak e trzy: wra liwość, plotkarstwo i płochość! Inaczej nie będzie nas!

- Zazdroszczę ci tej siły i odwagi. ebym podobną tobie była, stokroć więcej mogłabym innym dopomóc.

- Ej e, nie wywołuj komplementów, bo jak zacznę wyliczać twoje ofiary i moje, będę się musiała wstydzić, a ty enować. Czytajmy lepiej; co gazety.

Pod włoską topolą, w ulicy wiodącej do miasteczka Rafał się zatrzymał, o pień stary oparł i szarą płachtą nocy zakryty - czekał.

Wilgotne powietrze miało ju w sobie balsamiczną woń pączków, wiatr łagodność pieśczoły, śnieg ginał, czarna ziemia wyzierała zewsząd, a rzeczka, latem tak mała i cicha, huczała i pieniała się jak potok górski.

Z miasteczka rozlegały się śpiewki i muzyka, wszystko wkoło radowało się nadchodzącą wiosną, orzeźwiało i weseliło po długiej niewoli zimowej.

Człowiek u topoli nieruchomy czekał. Tak tygrys zaczajony nad potokiem w puszczy czatuje na sarnę spragnioną a nieogłdną!...

Nareszcie wyszła Leonka. Lekki, elastyczny jej krok coraz był

wyraźniejszym. Zapatrzona w ziemię, wbrew poprzedniej swobodzie i wesołości, była zamyślona i powa na. Gdy minęła Rafała, nie dojrzawszy go w ciemności, on się oderwał od topoli, ruchem kocim przesadził rów i szedł za nią.

Drgnęła, wyrwana z zadumy szelestem kroków, i obejrzała się. Poznała go, ale w oczach nie strach mignął, tylko surowy chłód, gniew i obraza.

Nie rzekli do siebie słowa; ruszyła dalej nie zwalniając i nie przyśpieszając kroku. Po chwili, jakby rozdra niona, zwróciła się znowu i spytała spokojnie jeszcze, ale ju z błyskiem w oczach:

- Czy pan towarzyszy mi z wypadku, czy umyślnie?

- Umyślnie.

- Ma mi pan co do powiedzenia?

- Mam!

- Więc słu ę! Nie lubię fałszywych pozycji i nie chcę, by pan mnie ścigał!

Skończmy i rozstańmy się. Czego pan chce ode mnie?

- Chcę pani samej!

- Nie rozumiem pana.

- Kocham panią i przysięgłem sobie zdobyć!

- Podałam panu warunki. Jeśli pan innym się stanie i tak pokocha, jak szlachetny człowiek, gotowam zostać pańską oną. Po co mnie pan prześladuje.

- Ja mieć panią muszę i będę.

Stali naprzeciw siebie i zdawało się, e lada chwila on się rzuci na nią jak tygrys na sarnę. Nie wiadomo, co go hamowało przed ostatecznym szaleństwem.

Rozdrażniona, oburzona, dysząca grozą, spiorunowała go wzrokiem i, odstępując o krok, wybuchnęła:

- Więc do tego doszło między nami! Więc to mi mówi dawny mistrz, co namiętność nazywał złodziejem, a miłość zgubą człowieka? Pamiętam pana słowa! Toć była moja ewangelia młodzieńcza i pierwsza wiara. Wziął mi pan wtedy zasady, Boga, spokój, duszę błotem okrył, serce podeptał i oszydził. O, ja pamiętam! Dziesięć lat bólu mnie to kosztowało, zanim o yłam na nowo. Wtedy byłam szpetną, chudą, zanedbaną dziewczynką, nie patrzył pan na mnie. Teraz wyrosłam, zajęłam pana oczy, podrażliłam nerwy, piękna jestem i ponętna, dla szalu waszego mam być pastwą. Cha, cha! Zostawił mi pan wówczas cześć nietkniętą, a teraz, po latach, i to jedno jedyne, nie zniszczone i nie zabite przez pana, ma iść na ofiarę i łup. Tak, gdzie cierpiało wszystko, niech idzie reszta! Taki los! Cha, cha! Ale teraz ja mówię - nie! Dostyc pan wziął i dostyc cierpiałam przez pana. Czci mojej wam nie oddam, chyba razem z yciem. Mo ecie mnie zabić teraz, ale nie zdobyć. Wolę śmierć stokroć ni tę hańbę ostatnią - z pana rąk.

Nie doprowadzajcie mnie do ostateczności, bo trupa mieć będziecie. Proszę odejść!

On stał i dyszał. Nie wiadomo, czy przez krew huczącą dotarły do niego te słowa, czy je zrozumiał. O krok był od niej i dygotał cały, przecie dłoni nie wyciągnął.

- Szaleję za panią! Nie kochałem nigdy! Teraz ani myślę, ani się zastanawiam, ani czuję nic więcej. Szaleję. Sto razy mogłem mieć panią, sto razy to pragnienie ugasić, głód zaspokoić. Czemu tego nie zrobiłem? Pani musi wiedzieć, ja nie wiem! Mnie coś trzyma jeszcze, ja jeszcze proszę! Odejdę i teraz - jeszcze mogę!

Ale gdy przyjdę, zmógłszy ten głupi lęk czy co to jest, wtedy prosić nie będę, mówić nie będę. Wtedy niech pani broń ma i nie chybi mnie, bo inaczej, kobieto, będziesz moją i adne potęgi ziemi i nieba ciebie nie ochronią przed moją wolą i siłą.

- Oby wtedy śmierć moja nie spadła na pana, ale zdruzgotała piekielną naturę.

Oby pana krew moja nawróciła na dobrą drogę, otworzyła oczy, kiedy ju nic innego pana nie zmieni! Odejdź pan i nie wracaj, chyba inny, bo i ode mnie nie posłyszysz pan więcej ani jednego słowa!

Odwróciła się od niego i odeszła. On się zawahał i skoczyć chciał jak zwierz, gdy nie czuje na sobie wzroku pogromcy. Nie skoczył, zacisnął pięści i w pierś się uderzył klnąc; potem zszedł z drogi i, zapadając po kolana w rozgrzęzłej mazi, poszedł na oślep przed siebie w puste pola i bory.

Minął tydzień, nie wracał; upłynął drugi, nikt go nie spotkał. Nagrobek, ju gotowy, pobłogosławił ksiądz, przestano wspominać Rafała, wierzyli wszyscy, e jak zwykle odszedł ju w świat, nikomu nie rzuciwszy słowa po egnania.

Leonka, zrazu spędzająca bezsenne noce, przestała dr eć i zrywać się na ka dy krok i szelest; sądziła, e się opamiętał i zapomniał; Kazia myślała o nim jak o zmarłym; ksiądz modlił się niekiedy, ale nie

pytał o niego.

ycie szło dalej dawnym trybem dla trojga tych istot, wśród których on się jak meteor i zmora prześliznął; zapełniały to ycie obowiązki cię kie i praca ciągnęła; obraz demona bladł. Tylko Schowankowa, snadź opłacona po królewsku, strzegła klucz od alkierza, gdzie walała się odzie y garść, i czekała go co wieczór, odgrzewając wieczerzę i chłodząc piwo.

Wiosna postąpiła naprzód, zazieleniła smugami łąk, zasnęła sztywne gałęzie zieloną szatką drobnych listków, rozjaśniła swe niebo. Wieczory bywały ciche i ciepłe, przejęte orzeźwiającym tchnieniem, pełne śpiewu i radosnych odgłosów.

Pewnego takiego wieczora drzwi ober y rozwarły się z łoskotem i Rafał

wszedł, obdarty i dziki jak opryszek.

- Pić! - krzyknął do gospodyni, kierując się wprost do alkierza.

Wystraszona i zelektryzowana tonem rozkazu otworzyła mu drzwi, chciała zapalić światło.

- Nie trzeba! - burknął. - Pić dawaj!

Przyniosła piwa, odtrącił butelkę.

- Wódki chcę!

Spełniła w mig ądanie i wróciła do gości, których o tej porze bywało najwięcej.

Rafał wypił szklankę palącego trunku i, jak zwierz w klatce, począł chodzić po ciasnym alkierzu potrącając sprzęty i rozbijając w rozpędzie czoło o ściany.

Schowankowa wsunęła się po godzinie, proponując wieczerzę.

- Pić! - odpowiedział strącając na ziemię pustą butelkę.

Przywykła do jego ądań gwałtownych podała drugą.

Zawołano jej, wyszła, a on za nią drzwi na klucz zamknął i pił, chodząc w kółko bezustannie. W izbie ober y wrzało długi czas, potem z wolna ucichło.

Gospodyni odmawiała pacierze, łajała sługę, liczyła dzienny zarobek, potem zaryglowała drzwi i okna, zgasła światło i odeszła na drugą stronę domu na spoczynek.

Musiało być późno. W domku Brzezowej lampka zgasła w sypialni, zajaśniało w gabinecie Leonki; miasteczko usypiało i z rzadka tylko kur zapiał lub pies zawył, na niebie było chmurno. W alkierzu rozlegały się wciąż kroki. Rafał

drugą pustą butelkę ze stołu strącił i zatrzymał się wprost okna.

Szumiało mu w głowie i mózgu, po żyłach nie krew płynęła, ale wrzątek lawy, przez mgłę tę widział czerwono oświetlone okno naprzeciw.

Pijany był alkoholem i szalem i, na nic ju niepamiętny, gotów do zbrodni.

Otworzył okienko i wysliznął się na pusty dziedziniec. Noc ciepła i wonna rozmarzyła go do reszty. Dysząc poszedł na to samotne światło bez wahania chwili. Zastukał do drzwi. Tak zawsze czynili ci, co przychodzili w nagłych razach po pomoc lekarską.

Słysząc było, e wewnątrz ktoś drzwi otworzył, potem rozległ się stuk jakiś, hałas padającego sprzętu, potem światło zgasło i wszystko ucichło.

Noc minęła i ranek promienny, cichy, jak szczęście pogodny, wstał nad Rahożną. Rafał na zwykłym swoim miejscu w ober y siedział u okna, blady, apatyczny, z brodą pięściami podpartą, patrząc bez myśli przed siebie szklistymi źrenicami pijaka. W zębach gryzł cygaro i nie odpowiadał ani słowa gadatliwej gospodyni, od czasu tylko do czasu spluwając przez zęby.

Wtem, bez adnego wstępu i widocznego powodu, krzyk się podniósł za domem, potem tupotanie nóg biegnących, potem jakaś kobieta wypadła na rynek głośno wołając i machając rękoma. Wokoło niej zebrała się migiem gromadka ciekawych i gwar się zrobił; zewsząd zbiegli się ludzie.

- A tam co się dzieje? - zawołała Schowankowa wybiegając na rynek.

Za domem raz, drugi i trzeci krzyk ten sam co pierwszej się rozległ. Podobny był do ałosnego wycia. Rafał głowę podniósł. Coś go tknęło w tym dźwięku. Nie poruszył się jednak, gdy wtem Schowankowa wpadła zdyszana, łamiąc ręce, i wrzasnęła nieludzkim głosem.

- O Jezu! Słyszysz pan, co się stało? Nasza dobrodziejka, panienska, panna Leonia! O

Jezu!

Jak sprę yna ruszony podskoczył. Czeszkę odtrącił, drzwi sobą rozwarł, wypadł na rynek i o nic nie pytając, rzucił się tam, za ober ę. Na krzyk ten straszny biegł, skoczył do domku. Drzwi stały otworem. Znalazł się w pokoju.

Staął i sam nie wiedział, co się z nim działo i czy tam kto był jeszcze i czy kto jęczał.

W pokoju, na podłodze u okna, le ała Leonka. Chwilę myślał, e omdlała tylko; przypadł do niej. Dotknął rąk odrzuconych - były chłodne; dotknął serca -

stało cicho, a obok na podłodze, straszny pewnik, wałała się flaszeczka z charakterystyczną trupią głową na etykiecie.

Powstał i o krok postąpił, wpatrzony obłąkanym wzrokiem w to ciało sztywne, w tę twarz białą, w sine usta i wielkie zagasłe oczy. Rozpląły się jej włosy krucze po podłodze, a słońce poranne rzeźbiło wyraźnie ka dy rys, ka de skrzywienie oblicza.

Lotos jego le ał zerwany, zwiędły i nie ywy ju . Nie ucieszy jego oczu, nie pociągnie szalem. On przysięgł i ona przysięgła. Dotrzymali oboje. On przez zbrodnię - ona przez śmierć... śmierć... śmierć...

aden głos nie wydobył się z niego. Grom to był, co go zmia d ył, odebrał

wszelkie czucie, pozbawił pamięci. Nic nie słyszał z zewnątrz. A tam w środku czuł ból rosnący, wzbierający, wiercący ka dy nerw, wydzierający mu po kawałku wszystko, co boleć mogło. Chwilami czuł, e go od tego bólu przytomność odbiega, e wariuje, e ginie; to znów te kleszcze poczynały szarpać, wpijać się w głęb, wywlekać, zda się, wnętrzości.

Naprzeciw niego, skulona na ziemi, trzęsąca się, le ała prawie biedna obłąkana. Ona pierwsza rano zobaczyła swe dziecko martwe i wydała ów krzyk przeraźliwy, który ludzi sprowadził. Potem szarpała nie ywą i dźwigać ją chciała, a w końcu usiadła nad nią bezsilna i zgnębiona zupełnie. Z wzburzoną włosami, ledwie odziana, z szeroko rozwartymi źrenicami, bez myśli, nie spuszczała oczu z córki i zawodziła ałosnym głosem:

- To Zudry, Zudry ją zabili! O Bo e, wstąp ty raz jeszcze do nas - na sąd. Wdowa Brzezowa jestem i nikogo ju nie mam, i na sprawiedliwość darmo czekam lat tyle. Leonka, Leonka! Moje ty ostatnie! Panie Bo e, niech Zudry i Ochajny zatrzymają, bo i na co mi ono teraz? Ale sprawiedliwość mi dajcie za całą krzywdę. Ja wszystkie sądy znam. Takie małe i ciasne, i wielkie jak kościoły, ja wszędzie byłam. A teraz wy, ludzie, i Ty, Bo e mój, powiedzcie, gdzie ja teraz to dziecko poniosę? W jakim sądzie mnie za nią sprawiedliwość dadzą?

Powiedzcie, ludzie, powiedzcie! Ja pójdę... tylko sama nie wiem! Mnie jeszcze nikt takiej krzywdy nie zrobił. Pierwszy raz! Powiedzcie, ludzie!

Powiedzcie! Leonka, Leonka! Mówiła ciągle monotonnym, jednostajnym tonem. Czasem tylko jakie słowo krzyknęła donośnie i znowu szemrała półgłosem.

W izbie zbierała się ci ba, wznosiły szlochania i westchnienia głucho.

Tych dwoje, co najbli ej wartowało ciała, nie słyszeli nic, nie widzieli nikogo, tylko ten kwiat blady i skoszony w zaraniu, skar ący się im kurczem bólu i martwością sztywnych rysów.

Wreszcie mę czyzna oczy oderwał i powiódł nimi wokoło. Potem się poruszył, ci bę ramionami roztrącił i wyszedł. Po co miał patrzeć i pozostawać?

Gdzie spojrzał, widział ją, gdzie się obrócił, ból go nie opuszczał. Szedł, szedł, szedł! Przez rynek, przez ulicę, na most. Tam stanął chwilę i znowu szedł, jak automat czy lunatyk.

W głębi jego ju nie bolało - za słaby to wyraz - jego ta męka kładła na ło e i rozsrubowywała członki ze stawów, wyciągała yły po kolei, brała czaszkę w obręcz i zaciskała jak w prasie, palącymi kleszczami ryła po sercu.

Szedł ciągle i ju nie pamiętał, gdzie w głębi puszczy zwałił się bez czucia u stóp świerku, obejmując głowę rękoma, na twarz, piersią wyjąca do ziemi, niezdolny iść dalej, cierpieć dalej, yć dalej.

Chaos był huraganu ognia i wody, kłębiące się odmęty, ziejące czarne otchłanie. Niczym samum pustyni, niczym cyklony równika, niczym trąby powietrzne. Z niezbadanych szczytów Bóg zstępował ze słowem stworzenia, ycia i światłości. Nad chaosem stanął i dłonie wyciągnął wszechpotę ne. I dla tej ziemi przyszedł dzień Genezy.

W otchłani aru i płomieni waliły się przekonania, mądrość, naukowe teorie, doświadczenia ycia; druzgotała je jakaś moc nieznana, mia d yła na proch i popiół ręka wszechwładna! ar zalewał potopy i wody, rozpalając się na wrzątek, kotłując, burząc pod niebiosa, hucząc jak setne gromy... Ogień opadał, gasł - otchłanie się równały, przepaście nikły... Ziemia była pusta, głucha, bez ycia, lecz duch Bo y ju się nad nią unosił w tym pierwszym zaraniu, a ona czekała dysząc, zmęczona, bezsilna, jak dziecko cicha, pierwszego rozkazu:

"Niech się stanie światłość", by zakwitnąć dla Niego.

Chrystus, na krzy u rozpięty w głębi swego przybytku, patrzył pewnego wieczora spod swych cierni krwawych na człowieka, co klęczał u Jego stóp.

Lampka, jak iskierka złotawa, oświecała oblicze Zbawcy pochylone pod cię arem korony tej i grzechów całej ludzkości; i zdawało się temu klęczącemu, e twarz ta nie z drzewa, ale ywa, i do niego się przez swe bóle dobrotliwie uśmiecha; e te ramiona nie gwoździe trzymają, ale e one tak do niego się wyciągają, miłosne i stęsknione.

Patrzył, oczu nie odrywał od tego drzewa, a nad nim łagodny, cichy głos księdza ascety szeptał: "Zmiłuj się nade mną, Panie, bom chory! Uzdrów mię, Panie, bo zmęczone są kości moje..." Z oczu mędrca wzniesionych w górę, rozszerzonych bardzo, jakby wypalonych cierpieniem, ściekły dwie wielkie, gorące, jak ołów cię kie krople, zaświeciły w blasku lampy, zbiegły powoli po bruzdach oblicza. Robotnicy winniczni, wezwani o jedenastej godzinie, wynagrodzeni z pierwszymi na równi, imię Pana swego wymawiali takimi łzami.

- "Zmiłuj się nade mną, Panie, bom chory, bom zbrodniarz, bom potępieniec!"

Ramiona człowieka rozplotły się z piersi, rozszerzył je i, chyląc się, dotknął

zuchwałym czołem z głuchym jękiem zimnego kamienia, i tak rozkrzy owany pozostał.

- Nie będę Cię prosił, Bo e, nie będę! Nie mogę!

- Ale psalm brzmiał dalej, a oblicze Chrystusa promieniało miłosierdziem.

- "Powstanę i zmiłuję się nad nim, bo przyszła chwila naznaczona, przyszedł dzień zbawienia".

KONIEC

Table of Contents

[Rozpoczni](#)